



**MAX  
CZORNYJ**

HISTORIA ILSE KOCH, KOMENDANTOWEJ  
NAZISTOWSKIEGO OBOZU, KTÓREJ  
OKRUCIEŃSTWO STAŁO SIĘ LEGENDĄ

**BESTIA  
Z BUCHEN-  
WALDU**

FILIA

**MAX  
CZORNYJ**

**BEASTIA  
Z BUCHEN-  
WALDU**



**FILIA**



*Ci, którzy protestują, sami są wyczerpani szkodliwymi demonstracjami przeciwko Bogu i reszcie świata, poza tym zapominają o pierwszej zasadzie, która jest podstawowa dla wszelkiego powodzenia; to co robisz, rób dokładnie.*

A. Hitler, *Mein Kampf*,  
tłum. I. Puchalska, P. Marszałek

*Póty nie będę zdrowa,  
Póki tu jest ta mała!  
O! mam już dosyć tego!  
Hej! Niech dworzanie biegną  
Po strzelca najlepszego!*

A. Oppman, *Baśń o Śnieżce i o krasnoludkach*



Wydarzenia w tej książce są oparte na faktach. Często przy lekturze mogą mieć Państwo wrażenie, że to całkowicie nieprawdopodobna historia, że coś takiego nie mogło się zdarzyć i jest zwykłą, wyssaną z palca bajką. Otóż nie. Te najokrutniejsze z możliwych do wyobrażenia bajek wydarzyły się w rzeczywistości. Prawda bywa bardziej przerażająca od najwymyślniejszej fikcji. Człowiek jest zdolny do wszystkiego. Nie wierzycie? Po lekturze nikt nie powinien mieć wątpliwości, że więdźmy naprawdę istnieją. Przynajmniej jedna z nich.



1.

– Karl?

– Tak, kochanie?

– Mam prośbę.

Podchodzę do mojego męża i delikatnie dotykam jego czarnego, doskonale czystego munduru. Nie ma na nim żadnych zagnieceń. Mundur oficera SS to jeden z symboli potęgi Trzeciej Rzeszy i Karl wie, że należy o niego dbać. Ja również o tym wiem.

– Co to za prośba?

Niewinnie wzruszam ramionami. Prowadzę dłoń ku piersi męża, a potem powoli, w dół, gdzie wiem, że znajdę spełnienie każdej zachcianki.

– Ilse, czego chcesz? – doprecyzowuje pytanie lodowatym tonem Karl. Zerka na zegarek i się przeciąga.

Jest piąta dwadzieścia sześć. Za chwilę rozlegnie się sygnał wzywający na poranny apel. Zza okien naszej willi wpada rozproszone światło. Słońce wstaje nad bezkresną puszcza, pośrodku której ulokowano obóz i w której my uwiliśmy swoje miłosne gniazdko. Nie lubię banałów, a tym bardziej nie jestem romantyczką. Jednak czasem nawet przykładowa niemiecka kobieta musi wykazać się odrobiną gaelickiej przebiegłości. Teoria ras oraz cech z nimi związanych ma swoje głębokie uzasadnienie.

– Chodzi mi o drobną zmianę w pomieszczeniach kąpielowych – odzywam się i całuję Karla w podbródek. Delikatnie muskam jego skórę zębami. Wiem, co go kręci najbardziej.

SS-Standartenführer spogląda na mnie rozanielonym wzrokiem. Nabiera głęboko powietrza i ponownie odruchowo się



wyprostowuje. Nic nie może zaburzyć jego harmonogramu dnia. Delikatnie mnie odsuwa, po czym zakłada dłonie za plecy i kieruje się do wyjścia. Bez najmniejszego zainteresowania przechodzi obok wiszących na ścianie dwóch sporych pejzaży Friedricha Lessinga. A może Lissninga? Nieważne. Przed kilkoma dniami zachwycał się nimi doktor Weisser. Dla mnie liczy się tylko, że na rynku sztuki mają ponoć ogromną wartość i że są zgodne z gustem Führera. Zadaniem niemieckiej kobiety jest stworzenie domu, który przyniesie jej rodzinie dumę.

– Kochanie... – Robię kilka kroków za Karlem. – Czy...

Mój mąż zatrzymuje się i zerka na mnie nerwowo.

– Ilse, wiesz, że się śpieszę. Czego konkretnie chcesz?

– Chciałabym, aby z pomieszczenia administracyjnego przewiercono się do umywalni. – Uśmiecham się, mocno wydymając wargi – tak, jak Karl lubi najbardziej. – Już się orientowałam w sytuacji – dodaję natychmiast. – To technicznie wykonalne. Muszę mieć wizjer i podgląd na więźniów.

Karl kładzie dłoń na klamce, jednak widzę, że moja prośba go zaintrygowała. Marszczy czoło i mruży oczy.

– Po co? – pyta zaskoczony.

Już wiem, że wygrałam. Zrobi to dla mnie i nie muszę dalej odgrywać tej scenki, lecz nie potrafię sobie odmówić przyjemności. Mam z góry przygotowaną odpowiedź.

– Chcę zrobić ci niespodziankę. Lubisz niespodzianki, prawda? Jestem pewna, że jeszcze żadna z nich nie zaskoczyła cię tak bardzo.



## 2.

Dziurka z wizjerem ponoć została zamontowana w ten sposób, że kiedy jest się w umywalni, nie można jej dostrzec. Pomieszczenie administracyjne przeniesiono do pokoju obok, natomiast ja zyskałam całkowitą swobodę dostępu do niewielkiego okularu. Nikt nie może mi przeszkadzać. Więźniowie i SS-mani gadają. Przynajmniej na razie mimo uszu puszczam wypowiedane półszepcem komentarze o „królowej obozu”. Przyznam, że nawet mi się podobają. Zresztą niech nazywają mnie, jak się im żywnie podoba.

Tuż po piątej na bocznicy kolejowej zatrzymał się kolejny pociąg z transportem żywego towaru. Karl zgodził się towarzyszyć mi podczas inauguracji nowej zabawy. Kilka minut po szóstej, pobudzona konną przejażdżką po okolicznym lesie, wprowadzam Bucefała do stajni. Z głośników dobiegają tony *Hitler Lied*. Zapewne na placu apelowym właśnie trwa poranne ćwiczenie krnąbrnych brudasów, którzy wczoraj nie wykonali normy w kamieniołomie. Dziś nie mogę przyglądać się temu spektakularnemu widowisku, ale to niewielka strata.

Wpół do siódmej nowi więźniowie, po przeliczeniu oraz zaraportowaniu, mają trafić do umywalni. Nie mogę się doczekać. Głaszczę Bucefała po chrapach i ze szpicrutą w ręce kieruję się ku barakom.

– Karl!

Mój mąż już na mnie czeka. Stoi przed wejściem do dawnych pomieszczeń administracyjnych i spogląda w stronę wieżyczek z gniazdami karabinów maszynowych. Szepcze coś do Hermanna

Hackmanna, swojego adiutanta, ten kiwa głową i pośpiesznie odchodzi.

– Możesz mi wreszcie wytłumaczyć, po co ten cały cyrk?

– To nie takie proste. Dobre niespodzianki mają to do siebie, że długo trzymają w napięciu, prawda?

– Zawsze wolę pełną szczerłość. Nie powinno trzymać się przed sobą nawet przyjemnych sekretów, o ile...

Przerywam ten wywód machnięciem dłoni. Ruszam ku szerokim, drewnianym drzwiom. Z drugiej strony budynku dobiegają pokrzykiwania obozowych oraz nierównomierny stukot kroków. Kryminaliści. Oni nigdy, nawet pod lufami karabinów, nie potrafią równo maszerować. W przeciwieństwie do politycznych, ci często już w bramy obozu wchodzi niemal wojskowym, paradnym krokiem. „Idący na śmierć pozdrawiają cię, cesarze”. Nawet tych cholernych komunistów da radę opanować i odpowiednio wyszkolić.

– Pokaż mi, jak to działa. – Wchodzę do niewielkiego pomieszczenia, w którym stoi jedynie biurko oraz pusty regał. Rozglądam się w poszukiwaniu wizjera. – Gdzie on jest?

Karl mija mnie z założonymi za plecy rękoma, po czym podchodzi do ściany naprzeciw okna. Nic na niej nie widzę.

– Spójrz. – Nachyla się i z uśmiechem podnosi doskonale ukrytą płytkę. Ze środka wyciąga okular, podobny do tych, które mają lornetki. – Zerka przez niego do umywalni.

– Już są? – pytam się, stając obok niego.

– Właśnie wchodzi.

– Doskonale. Wobec tego przedstawienie czas zacząć.

Zacieram dłonie i nachylam się obok Karla Kocha, SS-Standardartenführera, komendanta KL Buchenwald, mojego męża. Jeszcze przez moment potrzymam go w niepewności.



### 3.

Nowi więźniowie powoli wchodzą do umywalni. Wszyscy są nadzy, ich ubrania trafiły do przechowalni, a zamiast nich mają dostać stroje obozowe. Niektórzy rozglądają się niepewnie, inni starają się dowcipkować, kilku ledwie powstrzymuje się od płaczu. Czekają, aż z pryszniców polecą woda. Jest im chłodno, z dworu przez wciąż otwarte drzwi wpada przeciąg. Wiodę wzrokiem po ich skurczonych, nędznych przyrodzeniach. Żałośni idioci.

Czekam, aż zbite w jednym miejscu kłębowisko ciał nieco się rozproszy. Jednak niezrozumiały dla mnie instynkt każe większości z nich stać w kupie. Odrywam wzrok od okularu i zwracam się do Karla.

– Każ im się rozejść. Chcę widzieć ich wszystkich.

Mój mąż wzdycha z rezygnacją. Mimo to posłusznie wychodzi i starannie zamyka za sobą drzwi. Ponownie zerkam do umywalni. Kilku z tych facetów zaczyna mi się podobać. Estetyka to kwestia przyzwyczajenia. Jeśli opatrzymy się z najbrzydszym obrazem, dostrzegamy w nim pewne piękno.

Wtem w umywalni niosą się ostre krzyki SS-manów. Grube ściany je zniekształcają i docierają do mnie jedynie w formie niezrozumiałych dźwięków. Mimo to doskonale rozumiem, jakie komendy padły. Więźniowie niechętnie rozpraszają się po całym pomieszczeniu. Niektórzy z nich coraz częściej nerwowo zerkają na wyloty zamontowanych w suficie dyszy pryszniców. Wreszcie widzę niemal wszystkich. Jest ich około czterdziestu lub pięćdziesięciu, w większości mają nie więcej niż czterdzieści lat. Znaczna część z nich to solidne, postawne chłopiska z szerokimi

ramionami i klatkami piersiowymi zdatnymi wciągnąć więcej powietrza niż miech kowalski. Jednak moją uwagę przykuwa tylko kilku z nich.

Nagle drzwi się zamykają i na twarzach więźniów momentalnie pojawia się niepewność. Najwyraźniej poniosła się wśród nich jedna z tych wyssanych z palca plotek o masowych eksterminacjach. Nie rozumiem, jak można nas posądzać o podobną niedelikatność.

– Gotowe.

Wyrwana z zamyślenia niemal podskakuję. Nie słyszałam, gdy Karl wrócił do pomieszczenia. Często porusza się cicho jak kot, co wyraźnie sprawia mu przyjemność.

– Dziękuję – szepczę. – A teraz spójrz.

Odsuwam się od okularu i czekam, aż Karl wygodnie się przy nim ulokuje. Obejmuje go krótkimi, ale doskonale wypielęgowanymi palcami.

– Czy któryś z nich zwraca twoją szczególną uwagę?

Wzrusza ramionami.

– A bo ja wiem? Banda świń, które trzeba nauczyć dyscypliny.

W zainstalowanych w ścianach rurach zaczyna szumieć. Uśmiecham się i kładę dłoń na plecach męża.

– Zaczęli kąpiel?

– Tak.

– Czy widzisz tego wielkiego chłopa o wyglądzie marynarza?

Karl delikatnie porusza okularami i cicho coś mruczy. Jak zwykle jest nieco rozdrażniony.

– Tego z tą ohydną brodą i wielkim tatuażem na piersi?

– Właśnie tego. Ten tatuaż przedstawia wynurzający się z fal statek oraz latarnię morską.

– Może i tak. – Karl zaczyna się niecierpliwić. – Co z tego?

Czas na przejście do sedna. Odwracam się w stronę okna i wkładam dłonie do kieszeni bryczesów.

– Oddaj mi go na własność. Chcę z nim zrobić, co tylko zapragnę.

Karl odsuwa się od okularu i spogląda na mnie skonsternowany.

– To twoja niespodzianka? – pyta ostro.

Podchodzę do niego i całuję go prosto w usta.

– Właśnie tak. Musisz mi jeszcze chwilę zaufać. Już naprawdę niedługo.

Namyśla się tylko przez moment, po czym z aprobatą macha ręką.

– Niech ci będzie. Patrząc po gębie, to pewnie jakiś drobny złodziej albo sutener. Mamusia nie powinna po nim zbyt mocno płakać.





#### 4.

– Więzień numer jedenaście czterdzieści siedem. Helmut Pilker, zamieszkały w Berlinie, przy Bismarckstraße, lat trzydzieści pięć, kawaler, skazany za rozboje oraz udział w organizacji przestępczej. Adnotacja: „powrót niepożądany”.

SS-Sturmscharführer wymownie odchrząkuje. Odsuwa dokumenty na bok, po czym zerka na mnie z zaciekawieniem.

– Czy chciałaby pani wiedzieć coś jeszcze, komendantowo?

Przecząco kręcę głową. Karl kazał mi odbyć tę rozmowę osobiście, samemu nie angażując się w moje intrygi. Dokładnie tak to określił – intrygi! Stwierdził, że nie ma na nie czasu i żebym nie zawracała mu więcej głowy tą cholerną niespodzianką. Od jakiegoś czasu z trudem się dogadujemy. Jednak nie robi mi to większej różnicy. Niespodzianka dla niego to jednocześnie prezent dla mnie. Wpadłam na jego pomysł przy okazji rozmowy z doktorem Fritschem, ale nie ubiegajmy wydarzeń.

– Czy adnotacja „powrót niepożądany” – zniżam dyskretnie głos – oznacza dokładnie to, co myślę?

SS-Sturmscharführer opiera łokcie na biurku. Mierzy mnie wzrokiem, jakby chciał ocenić, jako kto zadaje to pytanie.

– To ciekawość służbowa. – Staram się rozwiać jego wątpliwości.  
– Ale, jeśli to istotne, mój mąż wie o wszystkim.

Sierżant sztabowy komendantury wreszcie podejmuje decyzję. Zerka ponad moim ramieniem, czy drzwi są zamknięte, po czym odzywa się niskim, lecz cichym głosem.

– Ta adnotacja oznacza dokładnie to, co ma pani na myśli.

– Doskonale. – Uśmiecham się. – W takim wypadku nie powinniśmy mieć żadnych problemów.

– Chyba nie rozumiem, pani komendantowo.

Podnoszę się z krzesła i zaczynam się powoli przechadzać po niewielkim pomieszczeniu. Przez okno wpada przyjemne, niezbyt ostre słońce. Z dworu dobiegają komendy wyrzucane raz po raz przez głośniki. Na swoich plecach czuję wzrok SS-Sturmscharführera. Wiem, że mój obcisły, czarny strój jeździecki robi na mężczyznach wrażenie. Zatrzymuję się przy parapecie i przez chwilę zerkam na pusty plac na tyłach obozu. W oddali ciągnie się pasmo niewysokich wzgórz porośniętych lasem. Z tej perspektywy drzewa wydają się dosłownie granatowe. Te bliższe, intensywnie zielone, niemal wdzierają się na teren obozu niczym dżungla.

Raz, dwa, trzy. Sierżant powinien się już na mnie napatrzeć. Gwałtownie odwracam się do niego i mrużę oczy.

– Musimy się pozbyć tego Helmuta Pilкера. To sprawa interesu narodowego.

– Interesu narodowego?

– Nie jestem upoważniona, by powiedzieć choćby słowo więcej. Mój mąż... – Wstrzymuję głos, starając się zebrać myśli. Pal diabli. Nawet jeżeli ten wojskowy urzędnik zwróciłby się do Karla, on szybko go zbędzie. – Może pan uzyskać więcej informacji od komendanta.

SS-Sturmscharführer choć siedzi, pręży się jak struna.

– Nie, oczywiście, że nie ma takiej potrzeby. – W zakłopotaniu wydyma wargi. – Jednak zdaje sobie pani sprawę, że staramy się tu o pozory.

– Wiem, wiem – parskam. – No tak, pozory! A rozkazy? A interes narodowy?

– Oczywiście, rozumiem je doskonale.

– I?

Sierżant sztabowy komendantury przeczesuje dłonią jasne, sypkie włosy. Ma co najwyżej trzydzieści lat i zastanawiam się, jaką drogą znalazł się właśnie w tym miejscu. Kto go poparł? Z kim się zadawał, by dostać tę wymarzoną posadkę obozowego urzędasza? Wiem, że mój mąż jakiś czas temu wciągnął go w swoje interesy, ale nie mam pojęcia, jak bardzo mogę mu zaufać. Nagle podnosi się od biurka, zerka na wiszący nad regałem portret Adolfa Hitlera i delikatnie się do mnie uśmiecha. Jego błękitne oczy błyszczą drapieżnie.

– Pozbędziemy się go – oznajmia, nie siląc się nawet na szept. – Zgodnie z rozkazem.

– Będę miała jeszcze jedną prośbę.

Gdy ją przekazuję, SS-Sturmscharführer uśmiecha się znacznie szerzej.



## 5.

– Podaj mi lornetkę.

Wartownik natychmiast spełnia mój rozkaz i pręży się na baczność.

– Spocznij.

Właśnie trwa poranny apel i lada moment powinno się rozpocząć wyreżyserowane przeze mnie przedstawienie. Zerkam w stronę, gdzie spędzono ostatni transport więźniów. W większości zostali zakwaterowani w tym samym baraku i trafili do tego samego komanda. Wśród nich jednak nigdzie nie widzę Helmuta Pilkera. Kilkukrotnie lustruję stłoczoną grupę mężczyzn, wciąż onieśmielonych panującym w obozie rygorem. Kolejno przyglądam się ich twarzom. Dopiero po chwili uświadamiam sobie swój błąd. Poszukiwałam wielkiego, barczystego marynarza ze szczeciniastą brodą. Tymczasem wszyscy więźniowie bez wyjątku zostali starannie ostrzyżeni. Teraz już nie mam wątpliwości, Helmut Pilker to górujący nad otoczeniem dryblas o zaskakująco pociągłej i dość sympatycznej twarzy. Dzięki powiększeniu lornetki dostrzegam fragment tatuażu na jego prawej dłoni.

Pogłos komend rzucanych przez głośniki niesie się po okolicy. Jeszcze kilka miesięcy temu płoszyły ptaki, które całymi stadami zrywały się z koron drzew. Teraz natura zdaje się do wszystkiego przyzwyczajona. Szczekaczki – tak mówią o nich więźniowie i coś w tym jest.

Czapki z głów. Baczność. W lewo patrz!

Więźniowie bez mrugnięcia okiem wykonują kolejne rozkazy. Mój mąż maszeruje przed zgromadzonymi, spoglądając kolejno w ich twarze. Każdy stara się uniknąć jego wzroku i nagle robi się mały, niemal znika, kuląc się w sobie. Nawet wielki Pilker spuszcza głowę. Gdy komendant opuszcza plac, przez głośniki zostaje wywołany jego numer – jedenaście czterdzieści siedem. Pilker natychmiast staje na baczność. Po chwili podchodzi do niego kapo, który przekazuje mu rozkaz zgodnie z obmyślonym przeze mnie planem. Więzień ma zostać przykładownie ukarany za brak szacunku do komendanta. To, jak się zachowywał w trakcie apelu, nie miało żadnego znaczenia. Co by nie zrobił, jego los został z góry ukartowany. Zresztą być może właśnie w ten sposób przez Boga ukartowany jest los nas wszystkich? Wiele opowiadała mi o tym jedna z ciotek, żarliwych ewangeliczek. Bzdury.

Pilker występuje przed szereg i przez chwilę stara się dyskutować z kapo. Ten jest jednak zbyt dobrze obeznany z zasadami rządzącymi tym fragmentem wszechświata. Zdziela go z całej siły w twarz. Pilker wstrzymuje złość, po czym zaczyna posłusznie skakać, jednocześnie klaszcząc nad głową. To jedna ze standardowych, obozowych form nagany. Tak zwane żabki – wymierzane od jednej w górę. Oczywiście kara jednej oznacza kwadrans podskoków, a często bywa zwielokrotniana nawet do ośmiu, czyli dwóch godzin ćwiczeń, których przerwanie równa się karcerowi, zesłaniu do bunkra lub przymusowej głodówce, w zależności od humoru wymierzającego. Pilker otrzymał ich dwanaście.

Muszę być cierpliwa. Za trzy godziny zobaczymy, jak bardzo jest wytrzymały.





## 6.

Dwanaście kwadransów żabek nie wykończyło Pilkera. Nie wykończyło go również kilka kilometrów, które musiał przebyć, przenosząc w tę i w tę gruz w kamieniołomie. Wydawał się tym wręcz pobudzony. Od czasu do czasu słyszałam o takich przypadkach, niezłomnych bohaterach, którzy myśleli, że przedłużając swoją agonię, czegoś dowiodą. Trudno, to jego sprawa.

Przez lornetkę ponownie obserwuję, jak cały zlany potem, chwiejąc się na nogach, pcha taczkę. Inni więźniowie, jakby wyczuwając, że jest przeklęty, trzymają się od niego z daleka. Niektórzy robią to wiedzeni naturalnym instynktem przetrwania, inni nauczeni doświadczeniem. Na jedno wychodzi.

Upór tego wielkoluda zaczyna mnie coraz bardziej irytować. Wiodę wzrokiem po jego obrzmiałych z wysiłku mięśniach ramion, po bladej twarzy i przez cały czas odliczam sekundy jego życia. Jego uporu.

Sześć.

Siedem.

Kiedy padniesz z wysiłku, sukinsynu? Kiedy będą mogli cię dobić?

Widzę, że mężczyzna coraz częściej robi krótkie przerwy, ale nie są dość zauważalne, by można go było za nie ukarać. Przynajmniej nie tak łatwo, by nie wzbudzić zamieszania wśród innych więźniów, a tego przede wszystkim mamy unikać.

– Idę tam – oznajmiam i oddaję lornetkę Hackmannowi.

Adiutant mojego męża został najwyraźniej wysłany na przespiegi, żeby zorientować się w moich działaniach. Oficjalnie ma mnie eskortować, co jest bzdurą samą w sobie. Funkcja SS-Aufseherin upoważnia mnie do samodzielnego poruszania się po terenie obozu bez jakiegokolwiek obstawy. Ale niech będzie. Nie przeszkadza mi to. Wiem, że Karl dał mi wolną rękę i z pewnością dotrzyma słowa.

– Czy pani komendantowa...

Zbywam Hackmanna machnięciem dłoni.

– Niech pan wraca do swoich obowiązków. Jestem dorosłą dziewczynką.

Nie czekając na jego reakcję, szybkim krokiem kieruję się ku wąskiemu wejściu do kamieniołomu. Dwóch wartowników przeży się na baczność i mi salutuje. Uśmiecham się do nich poufale. Jednego kojarzę z widzenia, a drugi, pewnie około dwudziestoletni młokos, jest mi całkowicie obcy. Berlin nieustannie dostarcza nam świeżego narybku.

Na mój widok więźniowie przerywają pracę i ściągają czapki. Kłaniają się, gotowi zrobić, co tylko im każe. Doskonale wiedzą, kim jestem. Ich kapo rusza w moją stronę, lecz zbywam go lekceważącym gestem. Interesuje mnie tylko jeden człowiek.

– On. – Wskazuję właśnie na niego.

Helmut Pilker widzi mnie po raz pierwszy. Najwyraźniej został już właściwie przeszkolony, gdyż stoi na baczność, z czapką w ręce i ze wzrokiem wbitym w ziemię, ale wiem, że mnie widzi. Więźniowie mają swoje sposoby, aby jednym przelotnym spojrzeniem ocenić sytuację i wychwycić zaskakującą liczbę szczegółów.

– Podejź do mnie – nakazuję. – Jedenaście czterdzieści siedem, do ciebie mówię.

Pilker, dysząc ze zmęczenia, rusza w moją stronę. Płaczą mu się nogi, a po twarzy płyną strugi potu.

– Szybciej! – krzyczę ostro. – Nie nauczono cię, że w obozie wszelkie polecenia wykonuje się biegiem?

Zaciskam w dłoni szpicrutę i macham nią. Rzemienie ze świstem przecinają powietrze tuż obok twarzy więźnia. Pilker karnie staje niespełna metr przede mną.

– Bliżej – nakazuję.

Skrepowany niemal niezauważalnie porusza się w moją stronę.

– Bliżej – syczę.

Obozowy oraz inni więźniowie bacznie się nam przyglądają. Wyłapuję te ukradkowe, wystraszone spojrzenia. Pilker niemal dotyka ciałem mojego ciała. Góruje nade mną co najmniej o dwie głowy, a jego szerokie ramiona nie pozostawiają wątpliwości, że mógłby mnie zabić jednym ruchem. Mimo to boi się mnie tak, jak regularnie bity pies swego właściciela. Odrzucam do tyłu włosy i spoglądam mu w oczy. Natychmiast odwraca wzrok.

– Nie masz po co walczyć – szepczę, aby usłyszał mnie tylko on. Na szczęście brzęk łopat oraz kilofów tłumi moje słowa. – Rozumiesz, jedenaście czterdzieści siedem? Musisz umrzeć, bo ja tego chcę. Nie stawiaj się, chyba że chcesz uczynić to umieranie jeszcze bardziej męczącym.

Odwracam się i powoli zawracam w stronę obozu. Staram się stłumić narastający gniew. Oby ta gnida się mnie posłuchała i zdechła. Dla swojego dobra.



## 7.

– Potrzebuję perfum oraz kilku nowych sukni. Wszystkie, które mam, są już przechodzone albo podarte. Zresztą nie wypada, żebym pokazała się w nich po raz kolejny.

Wiem, że Karl właśnie spisuje listę rzeczy, które jego ludzie mają nabyć w Paryżu. Podobne zamówienia składa co kilka tygodni. Ubrania, alkohole, czasem meble lub rozmaite antyki. W Paryżu wszystko wydaje się lepsze, ciekawsze, otoczone nimbem owego francuskiego luksusu, o którym często świadczy jedynie etykieta. Istotne jest, że do naszego domu docierają skrzynie opatrzone adnotacją *Paris, Frankreich*, co zawsze robi właściwe wrażenie. Wiem, że w obozie, w tym małym świecie, nic nie uchodzi powszechnej uwadze. Niemal nic.

Karl kreśli piórem kilka słów, po czym się do mnie odwraca.

– Bizuteria? – pyta obojętnym tonem, jakby robił listę zakupów na targ warzywny.

– Nie, tym razem dziękuję.

– Inne kosmetyki prócz perfum?

Zastanawiam się i po chwili dodaję kilka niezbędnych pozycji. Karl wszystko skrętnie notuje, wreszcie składa kartkę na pół. Wstaje od masywnego biurka nabytego w jakimś podsalszburskim pałacu. Jeszcze nie zdążyliśmy się całkowicie urządzić, ale lubię tę willę. Wiem, że ma potencjał, a nam się przecież nigdzie nie śpieszy. Zamierzamy zostać tu na dłużej.

Karl przeczesuje palcami rzadkie, jasne włosy i przygląda mundur. Jest ledwie po czterdziestce, lecz wygląda na znacznie starszego. Ma masywną twarz, policzki, które sprawiają wrażenie,

jakby były wiecznie opuchnięte, i wąskie usta. Jego urodę można określić jako męską albo, precyzyjniej mówiąc, surową. Jego twarz rozpromienia się, gdy do pokoju wchodzi nasz piaskowy dog. Pies radośnie merda ogonem i podchodzi do Karla, by ten pogłaskał go po łbie. To ich rytuał.

Mój mąż sięga do biurka, wyjmując jakiś przysmak i daje go psu. System przekupstw oraz zdobywania względów sprawdza się nie tylko w środowisku ludzi. To uniwersalna zasada, którą można uratować życie lub uczynić je znacznie piękniejszym.

– Dobra psinka, bardzo dobra!

Karl zerka na zegarek i ciężko wzdycha. Nagle coś mu się przypomina. Łypie na mnie swoim charakterystycznym, przenikliwym spojrzeniem spod lekko pochylonej głowy.

– Co z tym twoim więźniem? – dopytuje. – Z tym od niespodzianki...

Od dwóch dni czekam, żeby poruszył ten temat. Teatralnie obchodzę dwa wyściełane ratanem krzesła i opieram się o hebanowy stolik. Wymownie przewracam oczami.

– Ciągłe żyje? – Kąciki ust Karla drżą w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

Kiwam głową.

– Sukinsyn nie chce umrzeć.

– Nie wiem, dlaczego uwzięłaś się właśnie na niego.

– To element niespodzianki, nie pamiętasz?

Karl daje psu jeszcze jeden przysmak i kieruje się do drzwi. Zatrzymuje się w progu, po czym opiera się o futrynę.

– Wszystko jedno, ale co ci da jego śmierć? Ten człowiek nie ma dla nas żadnego znaczenia. Wpadasz w nerwicę, Ilse, chyba doszukujesz się wrogów tam, gdzie ich nie ma.

– On nie jest naszym wrogiem – cedzę. – Wręcz przeciwnie. Ale musi umrzeć, a ty obiecałeś mi w tym pomóc.

– Pogadaj z Wagnerem. – Karl otwiera drzwi. – On zna sprawę i wie, co robić w podobnych sytuacjach.

Erich Wagner to jeden z obozowych lekarzy. Najwyraźniej moja niespodzianka zaciekała Karla bardziej, niż sądziłam.

– Ach, potrzebuję jeszcze jedną rzecz z Paryża – rzucam, gdy wychodzi na korytarz. – To nic wielkiego.





## 8.

– Pani mąż, komendantowo, opowiadał mi o pewnym przypadku.

Nerwowo kiwam głową. W pomieszczeniu, gdzie się znajdujemy, cuchnie środkami chemicznymi oraz słodkawą wonią medykamentów. Wagner jest ubrany w biały, rozpięty kitel, pod którym ma mundur. Jest bliskim przyjacielem Karla, więc mogę mieć do niego pełne zaufanie.

– Musi się pan go pozbyć – jęczę, jakbym nie miała żadnej godności. – Ten człowiek nie chce umrzeć, a ja nie mogę dłużej czekać. Już wszystko uzgodniłam z doktorem Müllerem i...

Ach, zapomniałam ci chyba o tym wspomnieć. W moją niespodziankę musiałam wtajemniczyć więcej osób, a każda z nich wydaje się rozentuzjasmowana. To absolutnie wąskie i oddane sobie grono, blisko związane z moim mężem. Wiem jednak, że jeżeli kogoś o to proszę, nie zdradzi mu moich planów. Wszystko w imię doskonałej zabawy oraz urozmaicenia dnia na tym urokliwym zadupiu.

Słyszę, że Helmut Pilker zostaje przez głośniki wezwany do dyżurki obozowego lekarza. Zerkam na Wagnera, a ten uśmiecha się do mnie porozumiewawczo.

– Wszystko jest już gotowe, komendantowo. Proszę się o nic nie martwić.

– Jestem pełna podziwu.

Wagner odwraca się do drzwi i cicho pod nosem liczy. Nagle rozlega się pukanie, a w drzwiach staje jeden z kapo. Za jego plecami dostrzegam zwalistą sylwetkę Pilkera. Nim lekarz pozwala mu wejść, ukradkiem daje mi znak, bym schowała się za

plócienną przesłoną. Zapewne woli uniknąć zbędnego zamieszania i podejrzeń pacjenta.

Gdy tylko wchodzę za przepierzenie, słyszę, jak swoim spokojnym, łagodnym głosem Wagner zaprasza Pilkera do środka.

– Słyszałem, że przez dwa dni nie dawano panu spokoju – mówi, przechodząc w głąb pomieszczenia. – Proszę usiąść. Nie interesuje mnie, czym i komu pan podpadł, ale moim zadaniem jest uczynienie więźniów jak najbardziej sprawnymi do pracy na rzecz Rzeszy.

– Jestem sprawny.

Pilker ma zaskakująco wysoki, niemal piskliwy głos. Mówi z wyraźnym trudem i robi przerwy, aby zaczerpnąć powietrza.

– Po tym, co panu zrobiono, z pewnością nie jest pan na tyle sprawny, na ile mógłby być. – Wagner mówi zaskakująco gładko, jakby z góry wszystko starannie opracował. Poza tym zwraca się do więźnia formalnie, co na terenie obozu jest niespotykane. – Proszę nie myśleć, że robię to z dobroci serca dla takich kryminalistów jak pan. Z jednej strony to zawodowe powołanie, a z drugiej obowiązek związany ze stanowiskiem, jakie mi tu powierzono.

– Co chce pan zrobić?

– Nie sądzę, bym musiał odpowiadać na pańskie pytania. Jedenaście czterdzieści siedem.

Siadam na metalowym obłazącym z farby stołku i niemal wstrzymując oddech, przysłuchuję się dalszej rozmowie. Wagner przeprowadza klasyczny wywiad lekarski, następnie każe Pilkerowi zdjąć bluzę.

– Procedury bezpieczeństwa nakazują, bym skrępował pańskie ręce oraz nogi.

Nie wiem, czy więzień nie ma siły protestować, czy raczej wziął sobie do serca moje słowa, ale zdaje się, że potulnie wykonuje kolejne polecenia lekarza. Nie odzywa się, lecz co jakiś czas ciężko posapuje.

– Ten zastrzyk wzmocni pańskie serce po wysiłku. Pozwoli organizmowi szybciej się zregenerować. Jutro będzie pan mógł zasuwać w kamieniołomie od rana do późnej nocy, a ja będę miał pewność, że nie zostanę zerwany z łóżka do stwierdzenia zgonu.

Uśmiecham się pod nosem. Wagner rozgrywa to wręcz mistrzowsko.

– Proszę siedzieć spokojnie – ciągnie z zawodowym znudzeniem.  
– O, już po wszystkim, zaraz poczuje się pan lepiej i będzie mógł wrócić na apel. – Nagle podnosi głos. – Pani komendantowo, może już pani wyjść. Pacjent jest całkowicie niegroźny.

Odślaniam przesłone i spoglądam na przywiązanego do skórzanego fotela Pilкера. Na jego twarzy rysuje się przerażenie.



## 9.

Pilker usiłuje się szarpać, lecz skórzane więzy krępują jego ruchy. Nie jest w stanie solidnie drgnąć. Z jego gardła dobywa się stłumiony krzyk, który momentalnie cichnie.

– To kwestia rozluźniającego działania ipeiprofiny – wyjaśnia Wagner. – Mówiąc obrazowo, jego gardło się rozszerza, co prawda, może oddychać, lecz mówienie lub krzyk przypominają usiłowanie gwizdania w wiadro. Nie wiem, czy to do końca jasne porównanie.

– Chyba zrozumiałam.

Na bladą twarz Pilkera występują czerwone rumieńce. Mężczyzna wygina palce, by wreszcie kurczowo zacisnąć je na oparciu. Jego oczy wybałuszają się. Tatuż na obnażonej klatce piersiowej wydyma się wraz z coraz mocniej przyśpieszonymi oddechami.

– Ile to potrwa? – pytam, splatając dłonie na piersi.

– Normalnie zgon następuje po minucie lub dwóch, jednak w tym przypadku ze względu na masę pacjenta czas może się nieco wydłużyć.

Użyte w tym kontekście słowo „pacjent” sprawia, że nie mogę pohamować uśmiechu. Pilker oddycha coraz szybciej i cicho bełkocze. Ma wzrok wbity we mnie, ale zdaje się już mnie nie dostrzegać, jakby patrzył gdzieś znacznie dalej. Żyły na jego skroniach obrzmiewają, a wargi przybierają sinofioletowy kolor. Przyglądam mu się uważnie, z zafascynowaniem obserwując kolejne zmiany. Szeroko rozwarte nozdrza odsłaniają mrok dziurek nosa, z których wycieka śluz. Nagle dostrzegam, że obozowe spodnie Pilkera są kompletnie przemoknięte,

a w powietrzu unosi się zapach fekaliiów. Wagner dostrzega, że z niesmakiem przykładam dłoń do ust.

– To dowód, że zbliżamy się do końca – oznajmia, porządkując w metalowej misce jakieś narzędzia. Brzęczy nimi, wreszcie odkłada miskę na szafkę i myje ręce. – Dzięki użytemu środkowi jako przyczynę zgonu będziemy mogli wpisać zawał serca. To naprawdę był zastrzyk oddziałujący na jego wydolność.

– Podziwiam pańską przezorność, doktorze.

– Nawet gdyby ktoś zarządził ekshumację, nie stwierdzi, co się tak naprawdę stało.

Ciało Pilkera zaczyna drżeć. Jego palce konwulsyjnie stukają o oparcie fotela, a żyły na szyi są tak wielkie, jakby miały zaraz eksplodować. Zastanawiam się, czy nas słyszy.

– W tym przypadku nie ma mowy o ekshumacji. – Odchrząkuję, gdyż odór staje się nie do zniesienia. – Będę miała do pana jeszcze jedną prośbę.

– Co tylko pani zapragnie, komendantowo.

Wagner żartobliwie puszcza do mnie oko. Już od pewnego czasu zauważyłam, że zachowuje się względem mnie dość dwuznacznie. Może kiedyś i na niego przyjdzie pora. Najpierw muszę zobaczyć, jak bardzo potrafi się wykazać w spełnianiu moich zachcianek.

Tłumaczę, o co mi chodzi, a on żywiołowo kiwa głową.

– Tak, rzeczywiście – odzywa się wreszcie. – Jednak w tym niezbędna będzie pomoc doktora Müllera. On jest wyjątkowym specjalistą.



## 10.

Na tyłach obozowego ambulatorium istnieje pomieszczenie, którego drzwi nie zostały opatrzone żadną tabliczką. Zazwyczaj są zamknięte, aby nawet przez przypadek do środka nie dostał się nikt nieupoważniony. Oczywiście ja nie potrzebuję żadnych przepustek. Wystarcza moje nazwisko.

Doktor Müller ma około pięćdziesięciu lat, a jego skronie są przyprószone siwizną. Jest tęgim, ale wyjątkowo energicznym mężczyzną, który stanowi uosobienie wyobrażenia chirurga. Być może zresztą kiedyś był chirurgiem, lecz teraz zajmuje się czymś zupełnie innym. Powierzone przeze mnie zadanie przyjął bez jakichkolwiek uwag, nawet z pewnym zadowoleniem, jakie odczuwają zawodowcy, przed którymi pojawia się nowe, niecodzienne wyzwanie. Poza tym już kiedyś o tym rozmawialiśmy i wydawał się zaintrygowany. Po części to on stanowił dla mnie inspirację.

– Na pewno chce pani być przy tym obecna? – pyta, przebierając dłonią w metalowym pojemniku z narzędziami. – Oczywiście nie mam nic przeciwko, ale sądzę, że...

Wchodzę mu w zdanie:

– Proszę się nie obawiać. Jestem tego piekielnie ciekawa.

Piekielnie to może niezbyt fortunne określenie, ale mniejsza z tym. Müller wydaje się usatysfakcjonowany moją reakcją. Nie dodaję, że wolę nad wszystkim czuwać osobiście, bo nawet do najlepszych specjalistów nie można mieć pełnego zaufania.

Doktor wyciąga długi skalpel i obraca go w dłoniach. Powoli nachyla się nad metalowym stołem, na którym spoczywa



nieruchome ciało Helmuta Pilкера. Nawet po śmierci jego muskulatura robi wrażenie. Zresztą nie tylko muskulatura, co mogę docenić dopiero teraz, gdy jest całkowicie nagi. Sądzę, że ciało jest jeszcze ciepłe, ale nie zamierzam tego sprawdzać. Opieram się plecami o ścianę i w milczeniu przyglądam się działaniom doktora.

Müller robi podłużne nacięcie łączące obojczyki zmarłego, po czym zatacza łuk i schodzi w dół ku biodru. Dziwnie jest obserwować ostrze wchodzące w ciało, z którego niemal nie wypływa krew. Gdzieś tam pojawiają się jedynie maleńkie krople. Doktor z miną starego wygi przygląda się swojemu dziełu. Wsuwa pod skórę palce jak kobieta starająca się naciągnąć na stole pomięty obrus. Jego ruchy są szybkie i pewne. Wyciąga jedną dłoń i przegłąda nią pierś Pilкера – tę pierś, która jeszcze kilka godzin temu wciągała ogromne hausty powietrza. Przez chwilę przygląda się tatużowi, wiodąc palcem po konturze statku. Wreszcie zerka na mnie, jakby upewniał się, czy nadal się mu przyglądam. Czy może w międzyczasie nie zrezygnowałam z podglądania lub, co gorsza, nie zemdlałam. Nigdy by się nie przyznał do tych myśli, a ja nigdy bym się nie przyznała, że je przejrzałam.

Nie, doktorku, nie jest mi ani trochę niedobrze.

Wręcz przeciwnie. Uśmiecham się, pokazując, że wszystko w porządku. W trupach nie ma nic obrzydliwego, a jeśli mogą się do czegoś przydać, stają się tak samo obojętne jak blok marmuru lub kawał drewna.

– Czy tyle wystarczy? – Müller zakreśla skalpelem w powietrzu linię, po której zamierza prowadzić dalsze cięcie. – Obawiam się, że to wszystko, co mogę zrobić.

– Ani centymetra więcej?

– Niestety.

Przygryzam usta i kiwam głową.

– Pan tu rządzi, doktorze.

Müller, połączony moimi słowami, niezwłocznie wraca do pracy. Prowadzi szybkie, płytkie cięcie, po czym odkłada skalpel. Sięga po narzędzie przypominające piłę. Wkłada ją pod płat skóry, usuwając kolejne przyczepy mięśniowe, wykrawając fałdy żółtego tłuszczu oraz białe ścięgna. Od czasu do czasu posapuje, chyba tylko po to, by zagłuszyć nieprzyjemne jego zdaniem plaśnięcia oraz cmoknięcia wydobywające się z ciała. Nagle wyprostowuje się i zdejmuje rękawiczki.

– Pani wybaczy, ale czasem wygodnie pracować bez nich. Wtedy mam lepsze czucie.

Nie patrząc na mnie, wkłada gołe dłonie pod nacięty płat skóry Pilkera. Widać, jak się poruszają na brzuchu oraz po piersi mężczyzny. Pełzają pod tatuażem niczym wielkie robaki. Müller najwyraźniej sprawdza, czy usunął wszystkie niepotrzebne tkanki. Wie, że musi być dokładny i przy tym zadaniu nie ma najmniejszego pola do błędu.

– Za moment wszystko będzie gotowe.

Wyciąga dłonie, strzepuje je w stronę misy z wodą i ściąga z nich resztki poharatanych wnętrzości Pilkera. Grymas zadowolenia przemyka po jego twarzy. Przedstawienie zmierza do końca, więc mogę wrócić do swoich codziennych zajęć.

– Doskonale. – Kiwam porozumiewawczo głową i kieruję się ku drzwiom. Przesuwam metalową sztabę. – Czy poradzi sobie pan z dalszą pracą?

Słyszę, że Müller idzie za mną.

– Oczywiście – odpowiada z pełnym przekonaniem.

– Kiedy mogę spodziewać się rezultatów?

– Za tydzień lub dwa. Przy tej pracy pośpiech nie jest wskazany. Nie zależy mi na pośpiechu. Czekam na przesyłkę z Paryża, która ma zawierać rzeczy niezbędne, bym dokończyła swoją niespodziankę. Karl będzie wniebowzięty.



## 11.

Dokładnie tydzień przed urodzinami Karla wszystko jest gotowe. Od dwóch dni słońce praży jak w piekle, na niebie nie ma ani jednej chmury, a noce są parne i duszne. Podobno wczoraj rekordowa liczba więźniów zasłała lub zmarła z wycieńczenia. Doktor Müller obiecał informować mnie o najciekawszych okazach, ale teraz nie mam czasu się nad nimi zastanawiać. Nie można jednych przyjemności tłumić pragnieniem innych. Tego nauczyłam się w niezbyt kolorowych czasach dzieciństwa i zawsze staram się cieszyć tym, co mam.

Z pakunkiem w ręce przemierzam obozowy dziedziniec. Plac apelowy jest pusty. Dochodzi czwarta po południu i większość więźniów teraz pracuje. Nieliczni leżą w lazarecie lub ambulatorium. Kilkunastu odbywa kary w bunkrze lub karczerze. Tak wygląda tutejsza codzienność.

Mam ochotę na przejażdżkę konno, lecz nie chcę katować Bucefała jazdą w taki skwar. Niech odpoczywa. Nawet nasz dog zaszył się w ciemnym kącie willi i wynurza się tylko, aby wychłęptać wodę albo pożreć kolejną porcję mięsa. Spaceruje go nie interesują. Wszystko, nawet przyroda, zastygło w upalnym odrętwieniu.

Paczka z Paryża przyszła w najlepszym momencie. Karl nie dopytywał o jej zawartość, najwyraźniej zrezygnowany moimi tajemnicami. Kolejne transporty przybyłe z całych Niemiec przysporzyły mu w ostatnim czasie wiele pracy. Jednocześnie wiem, że przepuszcza ogromne sumy na grze w karty i ruletkę.

Nie zawsze trzyma się regulaminu tak mocno, jak można by przypuszczać. Wszyscy mamy swoje sekrety.

Wchodzę do willi i nie zważając na wiszące na ścianach dzieła sztuki, kieruję się prosto do jego gabinetu. Drzwi są otwarte, więc z daleka dostrzegam, że siedzi przy biurku. Przekłada jakieś dokumenty i pali papierosa. Na blacie po jego prawej stoi butelka wina. Zdaje się, że to jeden z jego ulubionych bordeaux z winnicy Château Lafite-Rothschild. Nawet porządne winnice są w tych cholernych żydowskich rękach.

– Karl...

Porusza się w fotelu, ale się nie odwraca. Dokonuje jakichś obszernych skreśleń.

– Tak? – pyta zamyślony.

– Mam coś dla ciebie. To owa niespodzianka, którą przygotowywałam od pewnego czasu. Pamiętasz?

– Mhm.

– Karl. Jestem tu. Oderwij się na chwilę od tej roboty.

– Już.

Niechętnie rzuca pióro na biurko i wstaje. Taksuje mnie zaciekawionym spojrzeniem, które zatrzymuje na trzymanym przeze mnie pakunku.

– Co to jest? – pyta cierpko.

– Abyś się przekonał, muszę wszystko odpowiednio przygotować.

Starannie zamykam drzwi i stawiam paczkę tuż przy jego biurku. Z zadowoleniem stwierdzam, że tuż obok jest gniazdko elektryczne. Podnoszę się, po czym zasłaniam grube story. W pokoju zapada półmrok, choć wolałabym, aby było zupełnie ciemno. Trudno. Nie wytrzymam z niespodzianką do nocy.

– Udusimy się w tym zaduchu.

Nie widzę dobrze twarzy Karla, lecz wiem, że skrzywił się z niezadowoleniem. Jest niecierpliwy i nie lubi podobnych wygłupów. Wolałby mieć wszystko natychmiast wyłożone na tacy.

– To nie potrwa długo. Zaczekaj.

– Ilse, mam mnóstwo pracy i naprawdę...

– Karl, odwróć się.

Parska, lecz posłusznie odwraca się do mnie plecami. Wtedy otwieram pakunek i wyciągam jego zawartość. Po plecach przebiega mnie przyjemny dreszcz. Co za doskonała robota, co za finezja, co za pomysł!

Naciskam przycisk i lampka się zapala. Nim na to pozwalam, Karl ponownie się odwraca. Z dumą wskazuję na mój prezent.

– Z Paryża przyszła baza oraz nóżka, którą w warsztacie przytwierdzili więźniowie – wyjaśniam. – Abażur to mój pomysł, ale nieoceniona okazała się pomoc doktorów Müllera i Wagnera. Jeśli ci przypadnie do gustu, możemy robić ich więcej.

Światło rozprasza się przez doskonale wyprawioną, cienką skórę. Tatuaz ze statkiem oraz latarnią morską jest doskonale widoczny. To piękny wzór. Jestem naprawdę zadowolona. Karl spleta ręce na piersi i z delikatnym uśmiechem kiwa głową.

– To fantastyczne, Ilse. – Przytula mnie i całuje w czoło. – Ci gnoje wreszcie do czegoś mogą się przydać! Powinniśmy urządzić tak cały dom, nie sądzisz?

Widzę, że jego zachwyty jest całkowicie szczery.

*Jako pierwszy zdjęcie lampki z abażurem z ludzkiej, tatuowanej skóry opublikował „Newsweek” już w 1945 r. Był to tylko początek mroźnych krew w żyłach odkryć.*

# **WIEDŹMA Z BUCHENWALDU**





## 12.

Urodziłam się dwudziestego drugiego września tysiąc dziewięćset szóstego roku w Dreźnie. To dobry początek dla znacznie poważniejszych wyznań, ale we wszystkim należy być poukładanym. Tego nauczył mnie ojciec, ciężko pracujący robotnik, który nigdy nie sięgał po alkohol. To ważne. Widziałam całe rzesze rodzin zmarnowanych przez alkoholizm ojców. Zaczynało się od popijania wieczorami, po pracy, a kończyło nieustannym pijaństwem niepozwalającym pracować ani normalnie funkcjonować. Tak rodziła się kasta bezrobotnych żałosnych wyrzutków, którzy doprowadzili się do tego stanu tylko na własne życzenie. Gardziłam nimi.

Moim pierwszym wspomnieniem jest tramwaj sunący po krętych torach na Theaterplatz. Miał dwukolorowe, biało-żółte boki oraz wielkie okna bez szyb. Przypominał ogromny otwarty powóz ciągnięty przez konie. W tym wspomnieniu konie ciągnęły jednak tylko niewielką bryczkę wyjeżdżającą z bocznej ulicy. Woźnica był pijany lub może chciał komuś zaimponować i w pewnym momencie stracił kontrolę nad zwierzętami. Być może spłoszył je jakiś huk, który jednak nie utkwiał mi w pamięci. Dość rzec, że konie wyrwały do przodu, a potem w bok, prosto pod koła nadjeżdżającego tramwaju. Zderzenie nie było silne, lecz masa pojazdu powaliła jednego z gniadoszy, a następnie pełen pasażerów tramwaj przejechał po jego podkulonych z bólu nogach. Nigdy nie zapomnę krzyku podróżnych, rozpaczliwego rżenia zwierzęcia oraz wyrazu twarzy woźnicy, który wypadł z bryczki i z otwartą gębą przypatrywał się sytuacji.

Nie wiem, co stało się później. Chciałabym wierzyć, że koń przeżył, że ściągnięto go, złożono jego połamane kończyny i dożył swych dni w pachnącej sianem stajni. Wiem też, że ta historia z pewnością potoczyła się zupełnie inaczej. Koń jeżdżący w zaprzęgu był takim samym robotnikiem, jak mój ojciec czy dziesiątki tysięcy innych ludzi, przydatnych tylko wtedy, gdy są zdadni do pracy. Konie jednak nie mogły tworzyć związków zawodowych i grupować się w partiach, co robili niezdatni do pracy lub leniwi robotnicy. Mój ojciec brzydził się nimi. Ilekroć przechodziliśmy obok tłumu, w którym pojawiały się czerwone sztandary, splotał, powtarzając, że przez takich jak oni tracą wszyscy. Przez takich jak oni i przez Żydów. Choć czasem zdaje się, że chodziło dokładnie o te same osoby.

Mimo wszystko miałam całkiem przyjemne dzieciństwo. Oczywiście, nie opływało w luksusy, lecz nigdy nie brakowało jedzenia, a do tego z żelazną regularnością wypłat dostawałam od ojca prezenty – lalki lub wyrabiane w Szwarcwaldzie pajacyki. Miałam ich całą kolekcję, którą niestety kurz czasu przykrył w nieznanym mi miejscu. Z przyjemnością podarowałabym je moim dzieciom.

Byłam ładną, uroczą dziewczynką. Pamiętam, że wuj Otto, szczypiąc mnie w policzek, nazywał mnie „słodką blondyneczką”, co zresztą stanowiło jedno z najczęściej padających określeń. Gdy patrzę na zdjęcia z tamtego czasu, rzeczywiście trudno oprzeć się dziecięcemu, uroczemu czarowi. Krągła buzia, falowane blond włosy, niebieskie oczy, a do tego widoczne nawet na czarno-białych fotografiach delikatne piegi. Podobno chłopcy od najmłodszych lat za mną szaleli. Nie opierałam się im. Zawsze lubiłam ich towarzystwo i często bawiłam się z nieco starszymi kolegami mojego brata, Johana. Pamiętam, że jedną z pierwszych zabaw

było porównywanie różnic między moim oraz ich ciałem. W tamtych czasach nikt nie przykładął wagi do tego, czym na podwórzach zajmują się proste, robotnicze dzieci. Dzięki temu szybko, naprawdę szybko, poznawałam życie. A wraz z nim wszelkie jego uroki. To upodobanie zostało mi na zawsze.



### 13.

Pamiętam nerwową atmosferę czerwca oraz lipca czternastego roku. Rodzicom zdaje się, że ośmiolatki niewiele rozumieją, więc nie starają się utrzymywać przed nimi sekretów lub robią to niezbyt dokładnie. Dlatego z ich rozmów wyłapywałam kolejne słowa brzmiące jak sygnały alarmowe. Wojna, zamach, ultimatum, mobilizacja. Wszystkie padały wypowiedziane podniesionym tonem, choć, zdaje się, nikt nie robił tego umyślnie. Czasem ludzie, rozmawiając ze sobą, niemal niezauważalnie krzyczą. Z tego krzyku dziecko, nie do końca rozumiejące znaczenie słów, wyciąga odpowiednie wnioski. Składa je w całość, a do jego serca, żołądka i duszy wlewa się podświadomy strach, którego za wszelką cenę chcą mu zaoszczędzić rodzice.

Pamiętam dudnienie do drzwi i matkę wymieniającą z ojcem ukradkowe spojrzenia. Siedzieliśmy wtedy przy obiedzie, tata od kilku dni nie pracował, a upływ czasu zdawało się przepełniać nerwowe oczekiwanie. Skumulowało się w tym krótkim momencie, w tych paru sekundach, gdy rodzice zastygli nad talerzami gorącej kartoflanki.

Pierwsza podniosła się od stołu mama, lecz ojciec dał jej znać, by siadła. Poprawił koszulę i powiódł po nas spłoszonym spojrzeniem. Spłoszone spojrzenie – tak mogę opisać je najdokładniej. Widywałam je później wielokrotnie u zwierzyny, która umykała przed pogonią, ale wiedziała już, że nie ma z nią żadnych szans. Ojciec też wiedział.

– Jedzcie dalej, ja otworzę – szepnął, po czym skierował się do przedpokoju. – No, powiedziałem, jedzcie!

Mimo to żadne z nas nie posłuchało. Mama, Johan i ja jakbyśmy się zmówili, odłożyliśmy łyżki, nasłuchując krótkiej rozmowy toczącej się w sąsiednim pomieszczeniu. Jak na robotników tamtego czasu nasze mieszkanie było naprawdę duże oraz przestronne. Mama dbała o to, by na stole w salonie zawsze stały kwiaty, żeby było czysto i schludnie. Pamiętam światło słoneczne padające na wyblaknięty bawarski landszaft w sypialni rodziców. Tak, wiem, odbiegam od tematu, ale niełatwo mi o nim myśleć.

Ojciec wrócił do stołu i bez słowa usiadł. W dłoni trzymał rozdartą kopertę, z której wyciągnął list. Nie zwrócił uwagi, że przez cały ten czas żadne z nas nie zjadło choć łyżki. Westchnął, rozłożył kartkę i przebiegł ją wzrokiem. Właściwie jedynie na nią zerknął, a jego twarz momentalnie wykrzywił grymas, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej.

– To to? – zapytała szyfrem matka.

– To to – odparł w jej nowym języku ojciec.

– Kiedy?

– W ciągu dwóch dni. Będę potrzebował jedynie koca.

Wtedy mama rozplakała się, jakby nagle przydusił ją ciężar porozumiewania się w nieznanym języku. Otarła łzy z policzków, spojrzała na mnie oraz na Johana i ponownie wybuchła płaczem. Kompletnie nic z tego nie rozumiałam.





## 14.

Dwa dni po owym obiedzie przerwany przez list oraz po tajemniczej wymianie zdań rodziców tata wszedł do pokoju, który dzieliłam z bratem. Był ubrany w jasne, wełniane spodnie i marynarkę. Na głowie miał kapelusz. Przez ostatnią godzinę słyszeliśmy, że się dokądś wybiera, krząta w łazience i starannie goli, ale coś powstrzymywało nas przed wyściubieniem nosów za drzwi.

– Dzieci... – odezwał się tonem, jakim nigdy do nas nie mówił.

Natychmiast obydwójce poderwaliśmy się z łóżek i rzuciliśmy się w jego stronę. Mama stała z tyłu, na korytarzyku. Miała podkrążone, zapuchnięte oczy.

– Johan, chodź tu.

Nieco mnie ubodło, że tata zwrócił się najpierw do mojego brata, ale szybko przyznałam w duszy, że w tej chwili powinnam mu wybaczyć wszystko. Nie wiedziałam dlaczego, ale czułam, że właśnie tak powinno być. Nie możemy się teraz kłócić. Musimy być dobrzy, posłuszni i powinniśmy starać się uśmiechać.

Ojciec przez chwilę mówił coś szeptem do Johana, a ten kiwał głową. Powstrzymywał łzy i wychodziło mu to całkiem dobrze. Wreszcie tata poklepał go po ramieniu, ucałował w czubek głowy, a następnie zwrócił się do mnie:

– Kochanie...

Szeroko rozłożył ręce, czekając, bym do niego podeszła. Zrobiłam to z pewnym ociąganiem, jakbym celebrowała te wspólne sekundy przed długotrwałą rozłąką. Dzieci naprawdę wiedzą więcej, niż się dorosłym wydaje.

Tata wziął mnie na ręce i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Nie martw się. Tata wróci za kilka tygodni lub najdalej za miesiąc.

– Tato...

– Tak, kochanie?

– Jak długo to miesiąc?

Ojciec uśmiechnął się i porozumiewawczo spojrzał na matkę. Nie należał do tych ludzi, którzy opowiadają dzieciom nieziemskie historie w taki sposób, jakby sami w nie wierzyli.

– Miesiąc to znacznie mniej, niż zostało do Bożego Narodzenia. – Matka starała się uratować sytuację. – A najważniejsze, żebyśmy święta spędzili razem, prawda? Im tatuś szybciej pojedzie, tym szybciej wróci.

Zastanowiłam się chwilę, dokonując w swojej pięcioletniej głowie abstrakcyjnych kalkulacji. Tygodnie dzieliłam przez pory roku, dodawałam do nich święta, myślałam o niedawnych urodzinach (a więc na kolejne znów będziemy razem!), wreszcie uśmiechnęłam się i przytulając do taty, wyraziłam aprobatę.

– Dobrze, niech będzie miesiąc. Ale nie więcej.

Ojciec wrócił po trzech latach. Starszy co najmniej o dziesięć, lecz to temat na odrębną historię.



## 15.

To nie było tak, że ojca przez te trzy wojenne lata w ogóle nie było w domu. Pojawiał się na kilku przepustkach, coraz bardziej zmęczony i załamany. Za każdym razem czegoś mu ubywało. Trudno to wytłumaczyć, lecz po prostu jakby było go mniej i mniej, jakby zastępował go ktoś inny. Zmieniał się. Stał się nerwowy, nie mógł spać, w nocy z sypialni rodziców słyszałam krzyki. W ciągu dni nie odzywał się, a kiedy miał wracać do wojska, na front lub gdziekolwiek go wysyłano wpadał w dziwne pobudzenie. Bez końca polerował swoją srebrną papierośnicę, która ponoć przynosiła mu szczęście. Pamiętam, że była na niej jakaś dedykacja, zdaje się od dziadka, a za każdym razem, gdy widziałam ją ponownie, napis stawał się bledszy. Ciągłe polerowanie wreszcie niemal zupełnie go wytarło. Jakiś czas później matka wsunęła mu ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdy leżał zimny i sztywny w skromnej, dębowej trumnie. Ale wróćmy do sedna, niech tą historią rządzi porządek.

Ojciec na dobre wrócił do domu w połowie osiemnastego roku. Wojna jeszcze trwała w najlepsze, lecz czterdziestolatek bez dwóch palców u prawej dłoni oraz z metalowymi odłamkami w obu nogach nie mógł do niczego się przydać. To znaczy myślę, że znalazłoby się dla niego jakieś miejsce, jakaś drobna rola, jaką mógłby wypełniać nawet inwalida, ale przepisy jasno nakazywały jego odesłanie do domu. W tamtym czasie władza już nie miała dość siły, by zmieniać jakiegokolwiek regulacje, i cały świat zdawał się trwać jedynie siłą rozpędu. Cesarstwo chwiało się w posadach, w naszej dzielnicy coraz częściej odbywały się demonstracje pod

czerwonymi sztandarami, a co gorsza, coraz częściej brali w nich udział młodzi mężczyźni. Defetyści i dezertrzy, którzy powinni być na froncie z ojcami oraz braćmi. Przeklęte bydło, pozbawione zasad. Ani policja, ani żandarmeria nie miały dość ludzi, by ich wyłapywać i karać.

Pamiętam pewną niedzielę, gdy wracając z kościoła, zboczyłyśmy z mamą w boczną uliczkę. Był to dobry skrót, by dojść do naszej kamienicy, a jednocześnie najgorszy fragment robotniczej dzielnicy. Znaćcie je z wszystkich miast i wszelkich czasów. Te brudne, pełne śmieci zakamarki, cuchnące uryną oraz fekaliami, w których snują się ludzie przypominający cienie. Tyle że te cienie są niebezpieczne. Mogą wynurzyć się z każdej dziury i zadać ci cios nożem prosto w serce lub, co dzieje się znacznie częściej, prosto w plecy. Robactwo miast.

Przeszłyśmy przez rząd podwórzy i obchodząc teren ogromnej szwalni, skręciłyśmy ku naszej kamienicy. Po jednej stronie mijałyśmy zabudowania fabryczne, a po drugiej ciągnęły się kamienice z powybijanymi oknami oraz osmolonymi murami. Na niektórych balkonach łopotały czerwone sztandary, co dowodziło, że rewir ten jest całkowicie wyjęty spod prawa. Spod stóp co rusz wybiegały nam szczury i idąc, musiałyśmy uważać, by nie nadepnąć na jednego z nich. Nie pamiętam, dlaczego mama wybrała właśnie tę drogę, ale zdaje mi się, że tamtego dnia na głównych ulicach trwały regularne starcia manifestantów z siłami porządkowymi. W powietrzu niosły się szczęk wystrzałów oraz wrzawa okrzyków.

Kiedy przechodziłyśmy pod obłupanymi z tynku, obskurnymi balkonami, nagle dostrzegłam nad nami jakiś cień. W zaułku kręciło się kilku podchmielonych mężczyzn. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co się dzieje. Dwóch z nich coś trzymało, reszta,

rechocząc, się temu przyglądała. Wszyscy spoglądali nieco w górę, ponad naszymi głowami. Powiodłam wzrokiem za ich wzrokiem i przebiegł mnie dreszcz.

Z nieba spadł nieboszczyk. Jego stopy niemal uderzyły mnie w czoło, odtańczyły jakiś szaleńczy taniec, po czym zamaryły w bezruchu. Nim matka zdążyła mnie odciągnąć, dostrzegłam jego poobijaną, nabrzmiałą twarz. Spojrzałam w wybałuszone oczy oraz wywalony na wierzch język. Wisielec obrócił się, demonstrując światu zawieszoną na piersi tabliczkę z napisem „Agitator wojenny”.

Pijani mężczyźni wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Zataczając się, ruszyli w naszą stronę i matka, ciągnąc mnie za rękę, zaczęła biec. Uciekałyśmy przed ich obscenicznymi krzykami. Uciekałyśmy przed wyzwiskami i groźbami. To było moje pierwsze spotkanie z bydlęm nazywającym siebie komunistami. Nigdy go nie zapomniałam i wierzę mi, w obozie mam większy szacunek do więźniów kryminalnych niż do tej zarazy.

Mój ojciec wrócił dwa lub trzy dni później. Mógł chodzić, lecz sprawiało mu to niewyobrażalny ból. Było wiadome, że już nigdy nie będzie zdolny pracować. W tamtym momencie zaczął się walić nie tylko świat za oknem, ale i w naszym przytulnym, dotąd bezpiecznym mieszkaniu. Wdarło się do niego cierpienie.



## 16.

W pewnym momencie po prostu skończyły się pieniądze. Rząd przestał wypłacać zapomogi i renty, nie było już cesarstwa, nie było pracy, nie było nadziei. Ojciec nie odzywał się już od wielu dni. Wolałabym, aby krzyczał lub złościł się, lecz on leżał na łóżku w pokoju, do którego dokwaterowano robotnika z jakiegoś miasteczka w Nadrenii. Matka niemal codziennie płakała, choć czasem znikwała na kilka godzin, by wrócić z kilkoma ziemniakami i mlekiem kupionym od przyjeżdżających z okolicy Żydów.

Na ulicach bez przerwy odbywały się manifestacje, okna drżały od wyrzucanych przez skrzeczące megafony sloganów, a chodniki pokrywały się plamami krwi.

– Ilse, kochanie...

Tamtego popołudnia mama spojrzała na mnie w sposób, w jaki nigdy nie patrzyła. Była zrezygnowana i zawstydzona. Siedziała przy stole kuchennym nad garnkiem, w którym leżało kilka obranych warzyw.

– Tak, mamó?

– Wiem, że masz dopiero piętnaście lat. Wiem, że nie mam prawa ci tego robić, ale...

Zawahała się i spuściła głowę. Podeszłam do niej, ale gdy wyciągnęłam dłonie, by ją przytulić, odsunęła się.

– Powinnaś pójść do pracy. Lubnerowa powiedziała mi w sekrecie, że jutro mają szukać pracowników fabryki papierosów, w Friedrichstadt.

Friedrichstadt był dzielnicą odległą od naszej kamienicy o co najmniej pół godziny drogi piechotą. Mimo to nie zamierzałam



protestować.

– Chodzi o ten śmieszny budynek, w kształcie meczetu, czy jak to się tam nazywa... – ciągnęła mama. – Wiesz, o którym mowa? Ponoć warunki pracy są tam bardzo dobre, a właściciele zapewniają nawet świadczenia dodatkowe.

Doskonale wiedziałam, o jaki budynek chodzi. Każdy dreźnieńczyk znał Yenidze, zwieńczony szklaną kopułą, ze śmieszną wieżyczką i całym mrowiem pracowników uchodzących za największych szczęściarzy w mieście. Każdy chciał pracować dla Hugona Zietza i jego Tabak- und Cigarettenfabrik. Wiedziały o tym nawet najmłodsze dzieci, czego moja matka nie dopuszczała do świadomości.

– Dobrze, jutro tam pójde.

– Dam ci pieniądze na tramwaj.

– Nie, pójde na piechotę. To wcale nie tak daleko.

Mama wstała od stołu i energicznie przyciągnęła mnie do siebie. Pocałowała mnie w głowę dokładnie w momencie, gdy z pokoju ojca dobiegł okropny, szorstki kaszel. Nie wspomniałam, że w tamtym czasie matka spała ze mną oraz Johanem.

– Zaniosę mu wody... – szepnęła, ściskając moje ramię. – Dziękuję ci, Ilse.

Nie odezwałam się. Byłam głodna i czekałam na obiad, choć wiedziałam, że wszystko, co dostanę, to kawałek marchewki zmieszanej z ziemniakami. Chyba że jakimś cudem mój brat przyniósłby coś ze sobą w przerwie pracy. Zdarzało się, że jego pryncypał rozdawał sztuki mięsa, lecz wtedy było prawdziwe święto. Najczęściej przynosił bochenek chleba lub obrzydliwą marmoladę zrobioną z czegoś, co nie miało nic wspólnego z owocami. Johan pracował, a w zamian za to otrzymywał

skromne utrzymanie w jednej z fabryk. To i tak było wiele, gdyż nie obciążał nieistniejącego budżetu rodziców.

Następnego dnia zostałam zatrudniona w wytwórni papierosów i rozpoczął się dwuletni okres, gdy wstawałam o czwartej rano, by pracować do szóstej wieczorem. Hugon Zietz często pojawiał się na hali produkcyjnej, by porozmawiać ze swoimi robotnikami. Był dobrym człowiekiem, który nienawidził Żydów i komunistów. To dzięki tej nienawiści oraz swoim błękitnym oczom dostawałam regularną wypłatę.



## 17.

Po dwóch latach pracy w fabryce papierosów trafiłam do innego świata. Znajoma znajomej znajomego (wiesz, jak to działa) założyła księgarnię i potrzebowała kogoś do pomocy. Księgarnia? Pomoc? Przecież to brzmi kompletnie niewiarygodnie, jeśli wspomnieć tamte czasy, gdy ludzie nie mieli pieniędzy na kromkę chleba. Owszem, na kromkę chleba nie, lecz na polityczne biuletyny, odezwy i partyjne paszkwile zawsze wyszperali dość grosza. A jeśli akurat byli całkowicie spłukani, udawali się w jeden z owych wspomnianych już ciemnych zaułków, by zdobyć go od kogoś bogatszego o te parę miedziaków. Im człowiek był biedniejszy, tym mocniej chłonał otaczającą go rzeczywistość. Tymczasem rzeczywistość przesiąknięta była polityką, powstającymi i rozpadającymi się partiami, złością, rozczarowaniem oraz frazesami, które trafiały do serc, lecz nie do żołądków.

W mojej księgarni nie było miejsca na wycpociny Marksa albo Engelsa. Dość nasłuchiwałam się o nich od mieszkającego z nami robotnika. Był to sympatyczny, miły człowiek, który w Dreźnie znalazł się przez przypadek i za wszelką cenę musiał zdobyć środki do życia. Zatrudnił się w fabryce tekstyliów, lecz środowisko, w którym przebywał, wessało go w politykę, przetrawiło i po roku wypuło jako łachmaniarza, który ostał się w naszym mieszkaniu tylko dzięki litości rodziców. A właściwie dzięki litości mojej matki, bo ojciec nie interesował się już niczym, co znajdowało się dalej niż skraj jego spierzchniętych, oplutych krwią ust. Nie interesowało go również, że któregoś dnia ów

sympatyczny robotnik zaciągnął mnie na swoje łóżko (odległe o półtora metra od łóżka ojca) i pokazał mi, czym jest prawdziwa fizyczna bliskość. Przyznam się, że nie opierałam się mu, doświadczona już od dzieciństwa bliskością przyjaciół mojego brata. W życiu należy odnajdować przyjemność. Nawet jeżeli zdaje się, że pod nogi sypią ci się kłody, wskakuj na nie i tańcz. Powiedział mi to ktoś mądry, komu w pewnym czasie bezgranicznie ufałam. Nie mylił się, choć taniec nie zawsze jest możliwy.

Mimo że wcześniej nie przeczytałam zbyt wielu książek, pracując w księgarni, szybko je polubiłam. Przeglądałam biuletyny, czytywałam historie Karola Maya, rozprawy Nietzschego, a nawet zafascynowała mnie poezja Schillera oraz Hölderlina. Za Goethem natomiast nigdy nie przepadałam. Do dziś pamiętam emocje towarzyszące lekturze prac Mesmera o zwierzęcym magnetyzmie oraz wynurzenia Kenera o spirytyzmie, duchach i zjawiskach paranormalnych. Dla niespełna osiemnastoletniej, choć już mocno doświadczonej przez życie dziewczyny, był to całkowicie nowy świat. Świat, który miałam polubić na zawsze.

Co istotne, polubiłam również samo towarzystwo książek. Ich zapach, fakturę papieru oraz okładek. Dobrze się czułam między wielkimi regałami wypełnionymi wiedzą całego świata, który sam w sobie przecież stanowił niezmiennie zagadkę. Książki potrafią rozbudzić w chłonnym młodym umyśle fascynację na wiele, wiele lat. Być może nawet do końca życia.

Myślę o tym nawet teraz, niemal dwie dekady później, gdy napawam się pięknem biblioteki, którą urządzamy z Karlem w naszej buchenwaldzkiej willi. Wybaczcie brak chronologii tej opowieści, ale to ważne. Pewne fakty nie mogą mi uciec. Są

historie, które muszą zostać opowiedziane. Wkrótce przyjdzie czas na historię pewnej książki.



## 18.

– Kolekcjonujemy egzemplarze pierwszego wydania *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. A właściwie pierwszego nakładu, gdyż pierwsze wydanie, które trafiło do czytelników, było dość skromne. Postanowiono zaoszczędzić na okładce i nie prezentuje się okazale.

Doktor Waldemar Hoven jest częstym gościem naszej willi, ale dopiero dziś dostąpił przysłowiowego zaszczytu obejrzenia naszego księgozbioru. To rzadki przywilej, dostępny tylko naszym najbliższym przyjaciołom. Karl uważa, że biblioteka to pomieszczenie niemal tak intymne jak sypialnia. Dla mnie nie ma aż takiego znaczenia, lecz podoba mi się nimb tajemnicy, jaką udało się nam wokół niej wytworzyć. Po przekroczeniu progu Hoven napuszył się i wręcz zauważalnie urósł z dumy, że wprowadziliśmy go tak daleko. To nasza zapłata za jego wierną, a przede wszystkim dyskretną pomoc przy pozyskiwaniu kolejnych materiałów na abażury. Zapewne domyśla się, że jego bezpośrednią konkurencją są doktorzy Müller oraz Wagner, ale to zdrowa konkurencja.

– Kiedyś miałem piękny egzemplarz Biblii... – mówi, po czym natychmiast się reflektuje. – To obrzydliwy wymysł semickiego sentymentalizmu zmierzającego do spisywania wszelkich podań oraz legend, lecz...

Karl unosi dłoń.

– Doktorze, doktorze... W tym gronie nie musimy sobie nic wyjaśniać. Niektóre egzemplarze Biblii to rzeczywiście dzieła sztuki.



Hoven uśmiecha się porozumiewawczo. Błyszczą mu oczy.

– Kiedyś bardziej drogocenne egzemplarze trzymano w bibliotekach na łańcuchach. Żeby nikt sobie ich nie pożyczył. Oczywiście bez zgody właściciela...

– Nic dziwnego, skoro można było za nie kupić wioskę lub kilkadziesiąt dusz.

– Pomyślcie! – Klaszczę uderzona nagłą myślą. – Kilkadziesiąt dusz w zamian za egzemplarz Biblii. Czy to nie kuriozum?

– A bo ja wiem? – Hoven wzrusza ramionami. – Chyba nie, zważywszy, że człowiek racjonalny powinien traktować ją jak każdą inną książkę. A że te były oprawione w miękką skórę oraz drogie kamienie... Właśnie mój egzemplarz miał pozostałość takiego mocowania.

– Co się z nim stało? – dopytuje Karl.

– Sprzedałem go.

– Ot tak? Wydawało się, że byłeś z nim związany.

Hoven przez chwilę milczy, zastanawiając się, czy w głosie mojego męża aby nie kryje się ironia. To zastanowienie jest dosłownie wypisane na jego twarzy. Wreszcie dopija wino i odstawia kieliszek na blat osiemnastowiecznego palisandrowego stolika.

– Był dla mnie cenny, gdyż należał do mojego wuja, księdza. On otrzymał go od jakiegoś księcia, któremu udzielił ostatniego namaszczenia. A może była to tylko spowiedź? Nie wiem.

– Miałeś wuja księdza?

Karl uśmiecha się drapieźnie. Wiem, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia, lecz czasem lubi pobudzać emocje u rozmówców. Syci się iskierką strachu podsyconą na moment w Hovenie. Lekarz purpurowieje, zerka pod światło na opróżniony kieliszek po winie i przenosi spojrzenie gdzieś za okno.

- Rodzina się od niego odcięła.
- A może to on odciął się od rodziny?
- Nie, nie... Panie Standartenführer, wywodzę się z rozległej rodziny, która...

Karl wybucha śmiechem. Kładzie dłoń na ramieniu naszego gościa i przyjacielsko go poklepuje.

– Rozpręż się wreszcie, Wald. Jesteśmy w tym świecie tak samo mocno zakorzenieni. Ja również miałem w rodzinie duchownych, choć ewangelików, i nie robię z tego problemu. Zdaje się, że tylko nieliczni mogą pochwalić się obecnością w rodowodzie kapłanów Odyna lub Thora.

Mój mąż puszcza do Hovena oko. Jest lekko podchmielony i skory do żartów.

– Swoją drogą, jesteście pełni uznania dla twojej pracy. – Przechodzi do sedna, na co zniecierpliwiona czekam od dwóch kwadransów. – Mówiłem o encyklopedii, a ty wspomniałeś o oprawach Biblii...

Doktor ponownie ożywia się, odprężony entuzjazmem Karla.

– Tak, tak... Czy wiecie, że najcenniejsze wykonywano ze skóry jagniąt wyrwanych z brzuchów ciężarnych matek? Były najcieńsze i najdelikatniejsze.

– Właśnie... – Mój mąż podchodzi do niewielkiej komody z czasów cesarstwa francuskiego (albo Ludwika któregoś, co za różnica) i otwiera szufladę. Budując napięcie, przez chwilę szpera w środku. – Ilse wpadła na pewien pomysł.

– To pan mnie zainspirował, doktorze – odzywam się, zalotnie się do niego uśmiechając. – Naprawdę jestem panu wdzięczna za okazywaną zawsze pomoc.

– Ależ to nic...

– Nieprawda. W dzisiejszych czasach... A zresztą, nie rozwodząc się, Karl, daj doktorowi nasz upominek.

Karl wreszcie wyciąga z szuflady egzemplarz *Mein Kampf*, oprawiony w piękną, doskonale garbowaną skórę, na której widoczne są kolorowe tatuaże. Doktor Müller przeszedł sam siebie.

– Ponoć na tę oprawę zużyto trzech czerwonych – rzucam, po czym wybucham śmiechem.

Po chwili śmiejemy się wszyscy, a Hoven syci oczy i dłonie fakturą książki. Zdaje się, że ozywają w nim wspomnienia Biblii oprawionej w skórę jagniąt wyrwanych z brzuchów matek.

*Prezenty w postaci książek (w tym głównie egzemplarzy Mein Kampf Adolfa Hitlera) oprawionych w ludzką skórę były regularnie rozdawane przez Kochów najbliższym współpracownikom oraz najważniejszym gościom. Książkę Josias zu Waldeck und Pyrmont odmówił przyjęcia jednej z nich.*



## 19.

### DREZNO, DWADZIEŚCIA LAT WCZEŚNIEJ

Ojciec kurczył się każdego dnia. Można by stworzyć z tego całkiem zabawny opis, wręcz anegdotę, lecz obserwując, jak ten silny, apodyktyczny mężczyzna staje się cieniem samego siebie, nie potrafiłam hamować łez. Po pracy zawsze starałam się zejść do jego pokoju i spędzić z nim chociaż chwilę. Nie zważałam na dokwaterowanego do niego człowieka (był to już kolejny z gości, poprzedni sam się wyprowadził), siadywałam w nogach łóżka, po czym oddawałam się myślom. Nie wiem, czego dotyczyły. Nastolatki pewnie myślą o wielu sprawach i wszystkie z nich są tak nieistotne, że z perspektywy lat w ogóle się tych rozważań nie pamięta. Wtedy zazwyczaj wydają się szalenie ważne, poświęcamy im wiele czasu tak, jak pierwszym miłośnikom oraz listom pełnym flirtu. Z czasem tracimy tę zdolność.

– Ilse...

Szorstki, charkoczący głos ojca wyrwał mnie z zadumy. Drgnęłam, a on uspokajająco wyciągnął ku mnie dłoń. Kochał mnie, tego byłam pewna, choć nie potrafił już tego okazać w żaden inny sposób. Uśmiechnął się, co było tak wyjątkowe, że pomyślałam, iż może nagle wyzdrowiał. Oto nadszedł przełom w chorobie i ojciec zaraz podniesie się z łóżka, gwizdząc zapamiętaną przeze mnie z dzieciństwa melodię.

– Tato! Jak się czujesz?

Dopiero wtedy zrozumiałam, że przychodząc do ojca, niemal zawsze odruchowo milczałam. Mijając próg pokoju, nie witałam się z nim ani nie pytałam go o zdrowie. Wiedząc, że mi nie

odpowie, wolałam w ogóle się nie odzywać. Być może to był błąd. Może odpowiadałby mi, choć robiłby to jedynie w myślach, a przecież i to byłoby dobre.

– Poczytaj mi.

– Co takiego? – Zerknęłam na leżącego obok robotnika, który wydawał się kompletnie niezadowolony z rozwoju wydarzeń. – Co miałabym ci poczytać?

W domu nie było zbyt wielu książek, ale byłam gotowa zdobyć tę, jaka by się ojcu tylko zamarzyła. On jednak skinął głową w stronę szafki przy łóżku. Leżało na niej opasłe tomiszcze z wyborem fragmentów z Pisma Świętego. Wcześniej nie zwróciłam na nie żadnej uwagi, lecz zdziwiłam się, gdyż ojciec nigdy nie był religijny. Od lat nie uczestniczył w mszy, choć jego siostra udzielała się w jednej z ewangelickich gmin.

– Zakładka... – wybełkotał.

Między strony rzeczywiście była wsunięta kartka, właściwie fragment wyrwany z gazety, złożony na pół i wystający nad grzbiet. Nie wiedziałam, czy to matka czytywała ojcu ani w jaki sposób ta książka znalazła się na szafce. Otworzyłam ją w zaznaczonym miejscu.

– Tato, lepiej się czujesz?

Kiwnął głową. Jego policzki pokryte szczeciną zarostu dosłownie przywierały do zębów, a oczy się zapadły. Był potwornie chudy. Przez ostatnie tygodnie niemal w ogóle na niego nie patrzyłam.

– Może przyniosę ci coś do jedzenia?

– Nie – szepnął. – Czytaj.

Wobec tego przyglądałam stronie i zaczęłam czytać fragment Księgi Koheleta. Nie znałam go, lecz kolejne wersy pochłaniały mnie swoją wymową. Nie pomyśl, że czułam przy tym jakieś religijne napięcie, ekstazę lub przeżyłam nawrócenie. Wręcz

przeciwnie. Dla mnie to księga, która mimo pozornego piękna może zrazić do wiary najzagorzalszych wyznawców.

*Boga się bój  
i przykazań Jego przestrzegaj,  
bo cały w tym człowiek!  
Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd,  
wszystko, choć ukryte:  
czy dobre było, czy złe*[\[1\]](#).

Ostatnie wersy przeczytałam dwa razy, choć zdaje się, że za drugim razem już tylko w myślach.

– Nie wiem, czemu chciałeś posłuchać właśnie tego fragmentu – mruknełam. – To... Strasznie ponure i w ogóle mi się nie podoba. Nic, tylko sobie w łeb strzelić.

Uśmiechnęłam się i zamknęłam księgę. Odłożyłam ją na szafkę, po czym odwróciłam się do ojca.

– Tato...

Ojciec miał szeroko otwarte usta i półprzymknięte oczy. Spoglądał gdzieś w pustkę, lecz jego spojrzenie niczego nie mogło widzieć. Nie oddychał. Zerwałam się z łóżka, wzywając pomocy, lecz jemu nic już nie mogło pomóc. Został wezwany na sąd.

[\[1\]](#) Biblia Tysiąclecia, Koh 12,13–14.





## 20.

Pamiętam pogrzeb. Przyszło na niego kilkadziesiąt osób, w większości towarzyszy mojego ojca z wojska. Te kilka lat spędzonych na froncie potrafiło zbliżyć bardziej niż najdłuższe przyjaźnie. Przyciszonymi głosami odśpiewano kilka pieśni – jakby te były zakazane, ksiądz niewiele głośniejszym głosem odmówił szereg modlitw, a potem nastąpiła zupełna cisza.

Matka usiadła na kamiennej ławce i schowała twarz w dłoniach. Nie płakała. Była raczej stępała z wściekłości. Zapewne znasz ten stan, gdy nienawidzi się całego świata, wszystkich ludzi, a przede wszystkim Boga.

Nagle matka się wyprostowała i krzywo się uśmiechnęła. Ukradkiem wyjęła z kieszeni płaszcza książkę z fragmentami Biblii, którą czytałam ojcu w chwili, kiedy umierał. Przekartkowała ją, śmiejąc się do siebie jak wariatka. A może była szalona, a ja nigdy nie dopuszczałam tego do myśli? Nie pamiętam, czy mój brat znajdował się wtedy gdzieś koło nas, ale mam wrażenie, jakby cały świat zacisnął się tylko do tej niewielkiej przestrzeni przy grobie i naszej dwójki.

– Mamo... – Położyłam dłoń na jej ramieniu i delikatnie zacisnęłam palce. – Chodźmy. Musimy wracać.

– Nie. Jeszcze nie.

– Ale...

Matka potrząsnęła książką, jakby ta była winna śmierci ojca.

– Nie tylko ty mu czytałaś te bzdury – wycedziła. – Nie wiem, czy szukał w tym sensu, czy ulgi, ale wiem, że straciliśmy czas,

kiedy mogliśmy ze sobą rozmawiać. Albo chociaż posiedzieć w milczeniu.

Zacisnęła usta, po czym powoli się podniosła. Podeszła do rozkopanego wciąż grobu i minęła grabarzy. Stała nad wykopem. Po chwili wściekłymi ruchami zaczęła wyrywać kolejne kartki z książki. Mięła je i ciskała do wnętrza grobu.

– Co ci po nich? Słyszysz?! Co ci po nich, do cholery?!

Oniemiała stałam kilka metrów dalej, zaciskając pięści i bojąc się odezwać choć słowem. Patrzyłam na kolejne papierowe kulki, które znikwały w ciemności. W tej samej ciemności, w której przed godziną znikła trumna z ciałem mojego ojca. Choćby nie wiem jak święte zawierały słowa, te nie mogły nikogo wskrzesić z martwych. Przynajmniej teraz. A co mi było po wskrzeszaniu kogokolwiek za sto czy tysiąc lat? Perspektywa wieczności nie jest ani trochę kusząca w konfrontacji z choćby minutą milczącej śmierci. Śmierć z pewnością istnieje, a wieczność to tylko konfabulacje.

Amen.



## 21.

Pewnie nieco cię dziwi, że znalazłam się tu, gdzie jestem, i stałam się tym, kim jestem. „Wiedźma”, „suka”, „wilczyca” – to tylko niektóre epitety, którymi jestem obrzucana za plecami. I tylko czasem reaguję, sprawiając, że ktoś je wypowiadający trafia na stryczek lub dostaje dwadzieścia batów. Jestem miłosierna? Raczej nie. Łaskawa? Może trochę. Z pewnością nie zostałam stworzona na obraz ani podobieństwo żydowskiego Boga.

Wróćmy jednak do ciasnej, drezdeńskiej księgarni, w której półki ugiwały się pod ciężarem biuletynów politycznych, odezw oraz manifestów. Pamiętasz o niej?

– Dziś ty zamykasz – oznajmiła mi Anna, wysoka brunetka z zawsze pomalowanymi na czerwono ustami oraz czerwoną apaszką. – Wiesz, gdzie są klucze.

– Wiem, ale...

– Zostań chociaż do szóstej.

Anna była córką człowieka, który wyłożył na tę księgarnię pieniądze, który kupił lokal, a przede wszystkim, który kierował do niej wielu swoich współpracowników. Chcący się mu podlizać młodzikowie kupowali całe naręczka książek, byle tylko ich pryncypał się o tym dowiedział. Ponoć, czytając, można było wkraść się w jego łaski. W końcu cały świat jest uzależniony od przychylności innych światów i dalekich gwiazd. Nie skłamię, mówiąc, że nie pamiętam, gdzie wyczytałam tę sentencję, lecz bardzo mi się spodobała.

– I pamiętaj, że jutro otwieramy o siódmej.

Anna zarzuciła na ramię lakierowaną torebkę i spojrzała na mnie w doskonale zrozumiały sposób, jej spojrzenie mogło oznaczać tylko jedno – to ja otwieram jutro o szóstej. Delikatnie kiwnęłam głową. Niech jej będzie. Praca w księgarni i tak jest o niebo lepsza niż harówka w fabryce papierosów, choćby się miało w niej najlepszą opiekę społeczną pod słońcem.

Gdy Anna wyszła, zabrałam się za porządkowanie tytułów poprzekładanych w ciągu dnia przez klientów. To ważna praca, gdyż wiele osób, jeżeli nie trafi na szukaną pozycję tam, gdzie być powinna, po prostu opuszcza księgarnie. Nie zapyta się o jej dostępność, nie rozejrzy za czymś innym, lecz bez słowa się ulotni. Widziałam to wiele razy. Jednocześnie porządkowanie książek nie tylko alfabetycznie, ale również według tematów, uczy staranności i organizacji. Tak prosta czynność potrafi ukierunkować całe życie. Szczególnie jeśli lubi się ją niemal w kompulsywny sposób, o czym dyskutowałam z pewnym starszym jegomościem o błyszczących, mętnych oczach. Zdaje się, był to profesor filozofii. Zawsze lubiłam rozmowy z klientami, szczególnie jeśli dotyczyły tematów, o których nie miałam pojęcia. Kompulsywne zachowania, teoria gradacji moralnej, mechanika polityczna...

Z zamyślenia wyrwało mnie brzęknięcie dzwonka przy drzwiach. Do środka wszedł krępy, krótko ostrzyżony trzydziestolatek z okularami na haczykowatym nosie. Natychmiast, dziarskim krokiem, zwrócił się w moją stronę. Pośpiesznie zesłam z kilkustopniowej drabinki i przygładziłam spódnice.

- Czy jest *Duch pruski a socjalizm?* – zapytał bez przywitania.
  - Spenglera?
  - Tak, właśnie jego.
  - Zdaje się, że niedawno sprzedał się ostatni egzemplarz...
- Proszę zaczekać.

Już kiedyś widziałam tego człowieka i miałam wrażenie, że pytał o tę samą pozycję. Chyba nawet ją kupił, ale może coś mi się plątało. W każdym razie zabrałam się za przeszukiwanie regału, gdzie powinna się znajdować, oczywiście o ile nie została sprzedana. Przez cały czas mężczyzna lustrował mnie łakomym, niemal lubieżnym wzrokiem. Dostrzegałam to kątem oka, lecz sprawiało mi to prawdziwą przyjemność. Umyślnie przysunęłam drabinkę i weszłam na nią, prezentując mu się z nowej perspektywy. Mężczyzna zaczął nerwowym krokiem przechadzać się w tę i z powrotem po księgarni. Nie spuszczał jednak ze mnie wzroku. Nagle zatrzymał się i stuknął obcasami wypolerowanych butów.

– Czy zechce mi pani towarzyszyć na wiecu NSDAP? – wypalił jednym tchem.

Nie odwracając się od regału, uśmiechnęłam się.

– Pracuję dziś co najmniej do szóstej.

– To nie problem. Wiec jest w sobotę o trzeciej po południu. Kwadrans wcześniej będę na panią czekał przed kościołem Marii Panny, dobrze?

Niemal słyszałam, jak uchodzi z niego napięcie.



## 22.

– Wybory już za niecały miesiąc. Musimy zdobyć co najmniej dwadzieścia procent głosów, aby mieć realny wpływ na państwo. Z takim poparciem bez względu na wszystko staniemy się dogodnym koalicjantem dla wszelkich partii z wyjątkiem żydokomunistycznych tworców niszczących Niemcy. Do Drezna miał przyjechać Adolf Hitler, ale ponoć jakieś ważne wydarzenia zatrzymały go w Monachium. Mimo to niektórzy zebrani mają nadzieję, że Hitler pojawi się wieczorem, na samo zakończenie, uświetniając cały wiec. Oby...

Usta towarzyszącego mi Waltera Hoppa nie zamykały się od kilku minut. Mężczyzna nadawał niemal bez przerwy, jakby chciał zagłuszyć skrzępowanie lub za wszelką cenę uniknąć niezręcznej ciszy. Cisza nam jednak nie groziła. Zebrany na placu ogromny tłum co chwilę wznosił nowe okrzyki, z ustawionej na ulicy prowizorycznej mównicy przemawiał ubrany w bojówkarski mundur członek NSDAP. Jego słowa odbijały się echem od murów otaczających plac kamienic.

Było zimno, w powietrzu unosiły się drobinki śniegu, a niebo zaległa gęsta warstwa stalowych chmur. Mimo to zdawało się, że na wiec ciągnie nieprzebrana rzesza ludzi. Nigdy nie widziałam podobnego zbiorowiska. Nawet tuż po Wielkiej Wojnie, gdy miasto zalewały demonstracje, wydawały się one mniejsze, a uczestniczący w nich ludzie mniej zdeterminowani. Na twarzach zebranych tamtego lutowego dnia widziałam zacięcie i bezgraniczne oddanie sprawie. Jeśli ci się wydaje, że tych emocji



nie można wyczytać z ludzkich rysów, popatrz po portretach lub zdjęciach z tamtych czasów.

Nastrój tłumu szybko mi się udzielił. Wpadłam w nerwowe podniecenie i łapczywie chłonełam słowa przemawiającego. Mówił z pełnym przekonaniem, nie pozostawiał miejsca na wątpliwości, że NSDAP musi przejąć władzę, abyśmy mogli dumnie podnieść głowy. Gdy wspólnie zwyciężymy, przyszłość Niemiec zarysuje się w należnych pięknych barwach. Na gruzach weimarskiej hańby powstanie tysiącletnia Rzesza. Do ostatecznego zwycięstwa z komunizmem i żydostwem mógł poprowadzić nas tylko jeden człowiek, człowiek, który całe życie poświęcił idei Wielkich Niemiec, Adolf Hitler.

Burza oklasków zlała się z wygłaszanymi przez policyjne megafony nakazami rozejścia się. Dokoła placu pojawili się żandarmi.

– To nielegalny wiec? – zapytałam Hoppa.

Sprzed wielu lat pamiętałam demonstracje rozpędzane kulami karabinów i potrząsanymi w powietrzu bagnetami.

Walter poprawił okulary i wzruszył ramionami.

– Oni nie chcą, by narodowosocjalistyczne poglądy były kiedykolwiek legalne. Boją się ich i używają wszelkich środków, by stłamsić bunt w zarodku. Ale nasz bunt już dawno stał się...

Przestałam go słuchać. Odwróciłam się w stronę kilkudziesięciosobowej grupy mężczyzn w partyjnych mundurach NSDAP, którzy pewnym krokiem ruszyli w stronę żandarmów. Własnymi ciałami odgradzili od nich gęstniejący tłum. Oto prawdziwi mężczyźni – pomyślałam mimochodem. Tak, byli to ludzie, którzy przeciwstawiali się oprawcom i bękartom pohańbionego reżimu wpychającym twarz Niemców w błoto.

Moje myśli zlewały się ze słowami wykrzykiwanymi z mównicy. Skandowane hasła stawały się coraz bardziej agresywne, a partyjni bojówkarze stali już ledwie kilka kroków od kordonu żandarmerii. Chciałam do nich dołączyć. Chciałam stanąć z nimi ramię w ramię, by walczyć z upodleniem, które sprowadzono na naród. Czy mój ojciec skonał właśnie dla takiej przyszłości? Nawet jeśli nie miał zamiaru iść na front, jeśli wołał być z nami w domu, stało się inaczej i przelana przez niego krew nie mogła pójść na marne. Nie godziłam się z tym.

– I nie zgodzimy się nigdy! – Niosło się echem. – Będziemy walczyć aż do końca, do ostatecznego zwycięstwa, które przyjdzie albo za naszego życia, albo wraz z naszą śmiercią.

Tysiące osób uniosło dłonie, wykonując nazistowskie pozdrowienie. Dołączyłam do nich, z całej piersi krzycząc: „*Sieg Heil!*”. *Sieg Heil. Sieg Heil.*



## 23.

Walter z głośnym sapnięciem zacisnął dłonie na moich piersiach. Skrzywiłam się z bólu, ale nie zaprotestowałam. Było mi naprawdę dobrze. Chyba tak dobrze jak nigdy wcześniej. Wszedł ze mnie i głęboko nabrał powietrza. Opadł na łóżko, wciąż obejmując mnie jedną ręką.

– Chciałbym ci kogoś przedstawić – odezwał się, gdy jeszcze potok emocji przetaczał się przez moją głowę.

– Przedstawić?

– Tak, tak.

Całkowicie nagi usiadł na skraju łóżka i sięgnął ku lampce nocnej. Słyszałam, jak przebiera dłonią w poszukiwaniu włącznika. Nagle przytłumione przez gruby, mleczny klosz światło wypełniło pokój.

– To Albert Heiner. Mój przyjaciel i w pewnej mierze... przełożony.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że w sporym, przestronnym pomieszczeniu na poddaszu jednej z drezdeńskich kamienic był ktoś jeszcze. Wysoki, szczupły mężczyzna siedział na łóżku pod przeciwną ścianą. Dotąd nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie odezwał się ani chyba nawet nie poruszył. Odruchowo zasłoniłam się kołdrą, co wywołało na jego twarzy przelotny uśmiech. Podniósł się kilka centymetrów i wykonał coś przypominającego komediancki ukłon.

– Co, do kurwy... – Spojrzałam wyzywająco na Waltera, lecz ten nie zwrócił na to uwagi. Właśnie zapinał guziki koszuli.

– Słyszałem, że jest pani w pełni oddana naszej sprawie, sprawie zwycięstwa.

Mężczyzna na drugim łóżku wyciągnął papierośnicę i wyjął z niej cygaretkę. Po chwili pomieszczenie wypełnił gęsty, słodkawy dym.

– Nie mamy przed sobą tajemnic – ciągnął miłym, ciepłym głosem. – Tylko pełne braterstwo może pomóc nam w naszej walce.

– Pieprzę wasze braterstwo.

Zerwałam się z łóżka i okrywszy kołdrą, sięgnęłam po leżące na podłodze ubrania. Nie wiedziałam, czy w mieszkaniu jest toaleta. Walter założył okulary, po czym przyjrzał mi się, jakby widział mnie po raz pierwszy. Po chwili porozumiewawczo zerknął na Heinera. Ten uśmiechnął się, szeroko odsłaniając nierówne zęby.

– Mamy dla pani propozycję.

Wściekła odrzuciłam kołdrę i nie zważając na nagość, zrobiłam kilka kroków w jego stronę. Zamachnęłam się, chcąc wymierzyć mu policzek, lecz w ostatniej chwili się uchylił.

– Nie jestem dziwką – wycodziłam.

– Pani się co do nas myli. Walter, powiedziałaś jej?

– Wypuście mnie.

Pośpiesznie zaczęłam się ubierać. W rzeczywistości wcale nie czułam się tak skrępowana, jaką starałam się grać. Zbutwiałe społeczne zasady, średniowieczne reguły, kazały mi spłoszyć i zrobić awanturę. W głębi duszy nie rozumiałam jednak, jaki miałby być jej powód. To, że drugi facet przysłuchiwał się naszym igraszkom? Że teraz łączywie przyglądał się moim kształtom? Przecież właśnie po to została stworzona kobieta – aby kusić mężczyzn. Moja ciotka powtarzała, że to nie jabłko było pokusą, lecz Ewa. Nawet jeżeli te zabobony były wyssane z palca, tkwiła

w nich jakaś metaforyczna prawda. Dzięki pracy w księgarni zaczęłam myśleć schematami, prawda?

– Chcieliśmy zaproponować pani pracę – odezwał się Heiner.

Coś kazało mi nadal pozować na obrażoną.

– Nie szukam pracy.

– Jesteś pewna? – Walter podszedł do mnie i pojednawczo wyciągnął dłoń. – Do końca życia chcesz siedzieć w tej cuchnącej grzybem księgarni?

Przygłodziłam sukienkę, udając gotową do wyjścia. Rozejrzałam się w poszukiwaniu torebki.

– Struktury partyjne w naszym okręgu rozrosły się do pokaźnych rozmiarów. – Heiner wstał z łóżka i stanął obok Waltera. Przewyższał go co najmniej o głowę. – Gauleiter Saksonii potrzebuje nowej sekretarki. Czy pani umie szybko pisać na maszynie?

– Nie jestem zainteresowana pracą dla partii.

Wtedy Walter wymienił kwotę, a ja już wiedziałam, że moje dni w ciasnej księgarni dobiegły końca.

*Ilse Koch w kwietniu 1932 r. po kilku tygodniach pracy jako sekretarka wstąpiła w szeregi NSDAP. Numer jej legitymacji: 1130836.*



## 24.

Pierwsze spotkanie z Albertem Heinerem, krótki romans z Walterem, niepewne kroki w całkowicie nowym świecie – świecie wielkiej partii, która wkrótce sięgnie po władzę nad Niemcami, a potem nad światem, wszystko to przypomina mi się, gdy stoję przed bramą obozu w Buchenwaldzie. Przez las maszeruje kolumna nowych więźniów. Słyszę pokrzykiwania żołnierzy oraz wściekłe ujadanie psów.

Wszystko jest już gotowe. Strażnicy w wieżyczkach mają naładowane karabiny i są gotowi utemperować każdego szaleńca skorego do uciezki lub buntu. To się jednak nie zdarza. Odkąd przebywam w tym miejscu, odnotowano jedynie jedną próbę samowolnego oddalenia się od obozu. Więzień w ciągu dwóch kwadransów został wytropiony przez psy, a jego truchło zwisało z jednej z wieżyczek przez kolejny tydzień do momentu, aż głowa nie oderwała się od korpusu.

Wszelka niesubordynacja będzie karana śmiercią. To pierwsze, co osadzeni słyszą po wyjściu z pociągów lub ciężarówek, którymi są tu transportowani. Od tej zasady nie ma odstępstw. Zresztą w tym miejscu nie ma odstępstw od żadnej z zasad.

Ciepły wiatr niesie intensywny zapach drzew iglastych. Przyjemnie jest wystawić twarz do słońca i oddychać pełną piersią. Energiczne pokrzykiwania są coraz bliżej. Psom eskorty odpowiadają szczekaniem psy strażników pozostałych w obozie. Z megafonów dobywa się muzyka, owa kpiarsko–wesoła piosenka, którą Karl nakazał odtwarzać, ilekroć do Buchenwaldu przybywa nowy transport. To nasza drobna tradycja.



Otwieram oczy i widzę kolumnę więźniów wynurzającą się spomiędzy drzew. Jest ich nie więcej niż stu, potrafię już określić liczebność maszerujących zbitek ludzkich. Widzę kudłate, zawnszone żydowskie twarze, widzę przerażone spojrzenia i dobiega mnie stłumiony płacz. Dlaczego w tej chwili ktoś zawsze musi płakać?

Wartownicy otwierają dwuskrzydłową bramę, która jęczy i trzeszczy. Przechodzę obok nich, obserwując maszerujących. Większość ma wzrok wbity w ziemię, jakby szukała na niej ratunku. Jednak dla tej ponurej hałastry nie ma ani nadziei, ani ratunku. Nagle czuję do nich narastającą odrazę pomieszana z owym dziwnym pobudzeniem, które czułam wtedy, gdy zdałam sobie sprawę, że w pomieszczeniu na poddaszu oprócz mnie i Waltera jest ktoś jeszcze. A potem gdy na swoim ciele poczułam wzrok Alberta.

Wybucham śmiechem. Przechodzący kilka metrów obok mnie mężczyźni jeszcze niżej pochylają głowy. Strażnicy zapewne poinstruowali ich, że nie mają prawa na mnie spoglądać choćby przez moment. A może już w pociągu poniosła się między nimi podobna plotka? Zawszeni Żydzi nie mają prawa patrzeć na niemiecką kobietę.

Śmieję się jeszcze głośniej. Powoli zdejmuję bluzkę i rzucam ją w stronę bramy. Kilku mężczyzn łypie na mnie kątem oka, by po chwili wbić spojrzenia jeszcze mocniej w ziemię.

Uśmiecham się do Untersturmführera, z którym przed paroma dniami spędziłam kilka przyjemnych godzin. Oficer odpowiada mi niemal niezauważalnym skinieniem głową. Odchodzi na bok, by zgodnie z procedurą przekazać kolumnę pod rozkazy oficera obozowego.

– Pieprzone bydło!

Nikt nie reaguje na mój krzyk, jakby mnie w ogóle tu nie było. W porządku. Niech wam będzie. Zdejmuję bryczesy, po czym ruszam wzdłuż kolumny więźniów. Idąc, ściągam biustonosz. Teraz dostrzegam kilka spojrzeń. Pełnych pożądania, strachu oraz wstydu. Nigdy nie widzieliście takiej mieszanki. Moją uwagę przykuwa około trzydziestoletni brodaty Żyd. Jego ciemne, niemal czarne oczy dosłownie błyszczą. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, natychmiast odwraca wzrok, lecz nie może się powstrzymać i po chwili ponownie na mnie zerka.

Przechodzę między żołnierzami i błyskawicznie dopadam do zuchwalca. Szarpiąc, wyciągam go z kolumny. Chwytam go za długie, kręcone włosy i ciągnę po ziemi.

– Ty sukinsynu, nie wiesz, że nie wolno ci patrzeć na niemiecką kobietę?! Ty gnoju!

Kopię go w brzuch i znów chwytam za włosy. Przeciagam kolejne metry, a on nie śmie mi się przeciwstawić. Leży na ziemi niczym szmaciana lalka. Spośród maszerujących nikt nie spogląda w naszą stronę. Więźniowie w kompletnym milczeniu przekraczają bramy obozu. Ucichł nawet płacz. W powietrzu unosi się jedynie strach oraz rozpacz. Tylko psy ujadają coraz głośniej, a wtórująca im powitalna piosenka na powrót leci z megafonów.

Dyszę ze zmęczenia. Spoglądam na zakrwawioną twarz skulonego więźnia i wyszukuję wzrokiem Untersturmführera. Przyglądał się tej scenie z właściwym sobie uśmieszkiem, stojąc tuż obok bramy. Ponownie kiwa mi głową.

– Zabierzcie stąd to ścierwo – cedzę. – Widzieliście, że patrzył na mnie jak na jakąś dziwkę? Należy mu się za to solidna kara.

Jeszcze raz kopię Żyda, tym razem w okolice krocza. Mężczyzna zwija się z bólu. Pejsy zasłaniają mu twarz. Śmieć.



## 25.

Dwa drewniane słupy łączy długa belka, do której przywiązuje się skórzane pasy. To rodzaj pręgierza umieszczonego na placu apelowym od strony baraku administracyjnego. Miejsce nie jest przypadkowe. Gdy wykonuje się tu karę, jej przebieg mogą obserwować tysiące osób, co ma, że tak powiem, edukacyjne znaczenie.

Numer dwieście trzydzieści dwa jedenaście to numer, jaki z góry przydzielono kudłatemu trzydziestolatkowi, który śmiał na mnie spojrzeć. Wiem, że niektórzy funkcjonariusze obozu nie podzielają mojego zamiłowania do karania więźniów, lecz nie mają nic do gadania. Muszą przypatrywać się kaźniom skazańca tak, jak wszyscy. To kwestia pragmatyzmu. Nikt nie chce zostać oskarżony o brak ducha zwycięstwa lub podważanie autorytetu komendanta. Przecież powszechnie wiadomo, że moje rozkazy są rozkazami Karla Kocha, SS-Standartenführera, mojego męża.

– Jakiegokolwiek złamanie dyscypliny jest surowo karane – ryczą głośniki. – Więźniowie mają zakaz spoglądania na korpus SS oraz władze obozu.

– Tak jest!

Okrzyk wydobyty z gardeł osadzonych nie brzmi przekonująco, co samo w sobie mogłoby być powodem zarządzenia kilkudniowej przymusowej głodówki, ale dziś wystarczy kara tylko dla dwieście trzydzieści dwa jedenaście.

Mężczyzna jest rozebrany do pasa, a jego nadgarstki opinają skórzane pasy przytwierdzone do drewnianej konstrukcji. Musi się pochylać, choć zazwyczaj już po pierwszych razach karani

padają na kolana. Tak dzieje się i w tym przypadku. Łysy obozowy nie wstrzymuje ręki, uderzając długim, nabitym metalowymi wypustkami pasem. Już po pierwszym razie na plecach skazańca pojawiają się krwawe plamki.

– Jeden! – szczeka z głośnika.

Kolejny cios powoduje, że dwieście trzydzieści dwa jedenaście zaciska dłonie. Zapewne tak mocno, że wbija sobie paznokcie w skórę. Pochyla głowę i jego wciąż nieogolone włosy opadają do przodu, zasłaniając mu twarz.

– Dwa!

Mężczyzna wygina się w koci grzbiet, a krwawe plamy po bokach jego kręgosłupa zaczynają się powiększać. Kilka strużek krwi spływa ku jego piersi. Podchodzę bliżej, by wszystko widzieć jeszcze lepiej. Może ten śmieć zechce spojrzeć na mnie raz jeszcze.

– Trzy!

– Cztery!

– Pięć!

Z piersi skazanego dobywa się rozpaczliwy krzyk przebijający ponad echo odliczania przez megafon. Na jego plecach prócz krwi skrzy się pot. Mężczyzna z trudem nabiera powietrze, a z nosa skapuje mu śluz. Jego żebra stają się doskonale widoczne pod cienką, zarumienioną skórą.

– Sześć!

– Siedem!

– Osiem!

Słyszę trzask zaciskanych z całej siły zębów. Skazaniec zaczyna drzeć, jego oddech staje się przyśpieszony i płytki. Odkasłuje krwią.

– Dziewięć!

Bat wyrywa kawał skóry z pleców dwieście trzydzieści dwa jedenaście. Odsłonięty zostają napięty mięsień oraz białe ścięgno. Jednak po chwili wszystko przysłania coraz obficie brocząca krew. Mężczyzna staje się niemal zupełnie bezwładny. Właściwie już nie klęczy, lecz tkwi w jednej pozycji, podtrzymywany przez napięte pasy jak szmaciana lalka. Wymyślony przeze mnie bat z metalowymi wypustkami sprawdza się lepiej, niż sądziłam.

– Dziesięć!

– Jedenaście!

Bat zahacza się o naderwany płat skóry i obozowy musi z całej siły szarpnąć, by go uwolnić. Wyrywa przy tym niemal regularny kwadrat o wielkości mniej więcej dwóch pięści. Zdaje mi się, że przez chwilę dostrzegam szarą biel kości. Po ciele dwieście trzydzieści dwa jedenaście przebiega dreszcz i nagle mężczyzna nieruchomieje. Dzieje się to dokładnie w momencie, gdy trzynaste uderzenie spada na jego nienaruszony dotąd kark. Bezwładne ciało wygina się w nienaturalnej pozycji, zawieszona na skórzanych pasach oraz wsparte na opadniętej głowie.

Obozowy wyprostowuje się i spogląda na mnie pytająco.

– Miało być piętnaście! – krzyczę. – Piętnaście to piętnaście!

Mężczyzna zaciska usta, po czym wymierza kolejny cios. Już bez przekonania i entuzjazmu, które towarzyszyły pierwszym razem. Po jego twarzy ścieka pot. Nie patrzy na skazańca. Wbija wzrok gdzieś w ziemię obok niego.

Wreszcie piętnasty bat kończy przedstawienie. Na terenie obozu zapada kompletna cisza. Spoglądam po zwartej grupie więźniów, oczekując wyzywających spojrzeń, lecz wszyscy zdają się niemal pochyleni w pokłonie.

– Zabierzcie go do Hovena – nakazuję. – On wie, co z nim zrobić.



## 26.

– Wydaje mi się, że bez tatuaży nie będzie należytego efektu. Prawdę powiedziawszy, nie jestem przekonany. Oczywiście, jeśli tylko tego sobie pani życzy komendantowo, poradzę sobie. Ale nie rękę za rezultat finalny.

Wkładam dłonie do kieszeni i wzdycham. Hoven ma rację. Zastanawiałam się nad stworzeniem galerii obrazów z ludzkiej skóry, lecz nikt nie zwróciłby na nie uwagi. Byłyby jeszcze bardziej nijakie niż płótna Friedricha Lessinga (a może Lessnera?), niż czarno-białe grafiki Goi oraz Dürera. A ja chcę by zwracały uwagę i by przykuwały wzrok. Chcę czegoś imponującego.

– Może znalazłby się ktoś, kto potrafiłby na nich malować?

– Ludzie malują na różnych rzeczach. Rodzaj płótna nikogo nie interesuje.

Hoven rozumie tok moich myśli. Wie, co jest dla mnie ważne, i właściwie odczytuje intencje. Sam również się zastanawia. W zadumie gładzi się po podbródku. Przygryza usta i powoli wypuszcza powietrze. Przez cały czas spogląda na leżące na metalowym stole zakrwawione ciało numeru dwieście trzydzieści dwa jedenaście. Kwadrans temu stwierdził jego zgon. Najprawdopodobniej na skutek bólu oraz przeciążenia organizmu mężczyźnie pękło serce. Hoven użył dokładnie tego zwrotu, choć natychmiast zastrzegł, że wyraża się nieprecyzyjnie i medycznie to znacznie bardziej skomplikowany proces. Mimo to sprawiał wrażenie dziwnie zafascynowanego tym zgonem. Najwidoczniej są jeszcze rodzaje śmierci, które wywierają na nim wrażenie.



– Dobrze, że nie miał tatuaży – dodał wreszcie. – Wtedy byłoby czego żałować, bat poprzecinał skórę w tylu miejscach, że nie dałoby się z nimi nic zrobić. Przypominałyby puzzle.

Przez kolejne minuty wymyślaliśmy zastosowania dla zwłok tego człowieka. Nie wiem, dlaczego to robiliśmy. Przecież w obozie dziennie umierają nierzadko dziesiątki osób, lecz ten zawszony Żyd, numer dwieście trzydzieści dwa jedenaście, zafascynował nas oboje. Może to kwestia ciekawej twarzy otulonej kudłatymi, posklejanymi krwią oraz śluzem włosami? Może chodzi o nietypowe rysy, które aż zioną semicką urodą, lecz jednocześnie mają w sobie coś egzotycznego? Lekko rozchylone, pełne wargi odsłaniają duże zęby. Jedno oko jest obrzmiałe i opuchnięte, a drugie półotwarte. Przez chwilę miałam wrażenie, że na mnie spogląda, lecz szybko odsunęłam od siebie ten zabobon. Nie zamknęłam go ani nie położyłam na nim obola. Ten śmieć nie jest tego warty.

Już wiem. Pstrykam palcami i w głowie klaruje mi się myśl, że trup wygląda jak Jezus. Gdyby Jezus oczywiście kiedykolwiek w ogóle istniał, po rzymskiej kaźni przypominałby właśnie tego człowieka. Ta myśl nagle nie daje mi spokoju. Jezus po biczowaniu i zdjęciu z krzyża. Brakuje mu tylko głębokiej rany boku, ale to przecież niewielka różnica.

Dlaczego sztuka sakralna przedstawia Chrystusa niemal jak Aryczyka, z pociągłą twarzą i błękitnymi oczami? Przecież to się nie trzyma kupy i tylko podkreśla, jak kompletnie wyssaną z palca historyjką są przekazy biblijne. A może wcale nie? Nigdy nie wyzbyłam się nutki religijnego mistycyzmu. Pewnie zachowam ją do końca swoich dni, jak większość kobiet wychowanych w rodzinach podobnych do mojej. Na zebraniach partii dyskutowano o tym wielokrotnie i postanowiono nie prowadzić

bezwzględnej walki z kościołem. Zabobon musi umrzeć naturalną śmiercią, a ta nieuchronnie przychodzi na każdego i na wszystko – w obliczu zetknięcia z nowymi dogmatami. Boga musiało coś lub ktoś zastąpić. *Gott ist tot*. Amen.

Uśmiecham się i dotykam policzka więźnia. Wciąż jest ciepły, ale mam wrażenie, że pokrył go lepki śluz. Mimo to nie cofam dłoni i prowadzę palec ku jego ustom. Wargi są suche oraz chropowate. Chwytam je, po czym wyginam spoglądając na zakrwawione zęby. Wydaje się, że przynajmniej te przednie są całe.

– Wiemy, jak się nazywał? – pytam, wyłamując się poza obozowy protokół. Więźniowie nie mają imion ani nazwisk, lecz numery. Tu. Jednak za bramą, w świecie, z którego przybył, miał imię oraz nazwisko, a ja jestem ich ciekawa.

Hoven zerka w stronę szafki z dokumentami, lecz zaraz kręci głową.

– Nie. Ostatnio nie dostaję takich danych, lecz wszystkie zostają w komendanturze. Proszę zapytać Standartenführera.

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

– Zdaje się, że ma pani jakiś pomysł, komendantowo?

Wymownie cmokam. Nachylam się nad zwłokami jakbym chciała je pocałować. Wciągam zapach krwi oraz potu.

– Czy możemy pozbawić ciało smrodu zgnilizny? – pytam.

Hoven mruży oczy i spleta ręce na piersi.

– Co ma pani na myśli? Stworzenie preparatu? Zanurzenie w formalinie?

– Nie do końca.

– Pani tajemniczość zaczyna mnie intrygować. Ba, intryguje mnie od dawna.

Lekarz co jakiś czas stara się mnie kokietować. Pozwalam mu na to, lecz nie zwracam też na niego szczególnej uwagi. Jest mi potrzebny i to wszystko. Dawne przygody muszą pozostać tylko wspomnieniem. Choć zawsze będę podkreślała jego ogromny profesjonalizm i zaangażowanie.

– Müller i Wagner zrobili dla mojego męża kolejny abażur – stwierdzam obojętnym tonem. – Wyselekcjonowali więźnia z cholernie ciekawym tatuażem, a jako konstrukcji użyli kości. Całość wyszła naprawdę imponująco.

– To brzmi jak wyzwanie.

– Być może. Coraz częściej mam wrażenie, że moje pożycie z mężem sprowadza się do rywalizacji, które z nas bardziej zaskoczy drugie.

– Naszym ograniczeniem jest tylko wyobraźnia, prawda?

Klepię Hovena po ramieniu. On i te jego bon moty. Sypie nimi jak z rękawa, wydymając chwilę później wargi, niczym małpka oczekująca pochwał lub wyrazów uznania. Teraz jednak mu ich oszczędzę. Będzie musiał się bardziej postarać.

– Doktorze...

Zniżam głos, jakby ściany mogły mieć uszy. Tak naprawdę chyba nie chcę, by usłyszał mnie leżący metr dalej, martwy mężczyzna. Numer. Bez historii i imienia, lecz z intrygującymi rysami twarzy. Niczym Jezus.

Z każdym moim słowem Hoven wydaje się coraz bardziej pobudzony. Nie wiem tylko, czy mój pomysł go nie przytłacza. Wreszcie kiwa głową i z poważną miną spogląda mi prosto w oczy.

– Zrobię, co w mojej mocy – mówi.



## 27.

– Za zwycięstwo! – Heiner wznosił kieliszek wina i po chwili brzęknęło szkło.

Razem z Walterem oraz jego młodziutką dziewczyną Heike opijaliśmy trzydzieści siedem procent poparcia uzyskane przez NSDAP w wyborach do Reichstagu. Po świętowaniu w jednej z drezdeńskich piwiarni przenieśliśmy się do mojego mieszkania. Wszyscy byliśmy mocno wstawieni. Już dawno minęła północ, ale szampański nastrój sprawiał, że nie zamierzaliśmy się rozchodzić.

– Teraz wszyscy awansowaliśmy – rzucił Walter.

Jego słowa zabrzmiały dwuznacznie i nikt ich nie skomentował. Mimo to wychyliliśmy trunki do dna, po czym Heiner uzupełnił kieliszki. Na ulicy ktoś pijackim tonem śpiewał hymn, a po chwili dołączyły do niego kolejne głosy. Walter wyprostował się, otworzył okno i również ryknął w rytmie muzyki Haydna. Po chwili śpiewaliśmy wszyscy, wznosząc co chwilę kieliszki i przerywając pieśń, by wychylić ich zawartość.

– Przyszłość jest nasza. Wreszcie widzę ją w kolorowych barwach – Heiner objął mnie i pocałował w policzek. – Przyznam się, że aż do dzisiaj nie do końca wierzyłem w zwycięstwo. Pragnąłem go, dałbym za nie wszystko, ale myślałem, że będzie zbyt wiele przeciwności.

– Było ich zbyt wiele – cedzi Walter. – Ale pokonaliśmy je wszystkie.

– Teraz Hitler musi dogadać się z Hindenburgiem i zmienimy ten kraj. Koniec z Weimarem, koniec z hańbą!

– Walka trwa!

Głosy pod oknami powtórzyły ostatnie slogany Heinera.

Heike zaczesła włosy za uszy i przyciągnęła Waltera do siebie. Zdjęła z niego marynarkę, po czym zaczęli się namiętnie całować. Heiner spojrzał na mnie wyzywająco. Zawsze będę pamiętała to przeszywające spojrzenie, które rzucało mi wyzwanie. A już wtedy nie było wyzwań, którym nie mogłabym sprostać. Objęłam go i pocałowałam w podbródek. Po chwili mój język wędrował ku jego wargom, które jednak ominął. Delikatnie ugryzłam go w szyję.

Walter cisnął przez okno kieliszek, który rozbił się o bruk. Kątem oka widziałam, jak obejmuje Heike, po czym oboje kładą się na podłodze. Pod plecy dziewczyny podłożył swoją marynarkę. Zaczęli się rozbierać. Heiner, nakręcony tą sceną, wsunął ręce pod moją bluzkę. Wahałam się tylko przez moment, lecz natychmiast odrzuciłam wątpliwości. Taki był świat. Należał do zwycięzców, którzy nie oglądają się na normy społeczne i zgniliznę narzuconą przez dawne systemy wartości. Należało je wszystkie zburzyć, by móc wznieść na nich nowe świątynie pełne świeżego ducha. Myślałam hasłami, które padały na wiecach lub które wcześniej wyczytałam w jednej z tysięcy publikacji prężących się niczym żołnierze na półkach księgarni.

– Kocham cię.

Większość ludzi uważa, że te słowa nie powinny paść w momencie, gdy przyjaciel twojego chłopaka gładzi cię po łydce, a drugą dłonią ściska pierś swojej dziewczyny. Jednak tak właśnie to wyglądało i nie miałam nic przeciwko.

– Ja też cię kocham.

Położyliśmy się na podłodze obok Waltera i Heike. Deski wyściełała coraz grubsza warstwa naszych ubrań. Heike pocałowała mnie jako pierwsza. Poczułam ciepło i wilgoć jej języka w swoim uchu. To ona zdjęła mój biustonosz i zaczęła mnie

pieścić. Heiner przez chwilę się temu przyglądał, wreszcie jego dłoń powędrowała ku kroczu dziewczyny leżącej obok Waltera. Nasze ciała zaczęły się splatać w rozmaitych formach i konfiguracjach. Stawaliśmy się jednością, by po chwili rozpleść się, nabrać tchu lub ewentualnie wychylić wino, wtedy już wprost z butelki. Pamiętam tylko przebłyski tych scen. Zlewają się w poszatowany obraz, którego nieistniejące fragmenty później jedynie sobie wyobrażałam. Wiem jednak, że rzeczywistość była jeszcze piękniejsza. Nigdy nie czułam się tak wolna oraz tak szczęśliwa. Pulsowałam od seksualnego napięcia i cała byłam tym seksualnym napięciem. Nasze jęki zagłuszyły śpiewany po raz kolejny na ulicy hymn. Przez kwadrans, a może przez godzinę, nie liczyło się nic poza naszą czwórką, a całym naszym wszechświatem był mój niewielki pokój.





**28.**

Nieco ponad dwa lata po przejęciu władzy przez NSDAP nadal pracowałam jako sekretarka, lecz moja pensja istotnie wzrosła i mówiono, że jestem nieoficjalną prawą ręką Gauleitera. Było w tym pewnie wiele przesady, fakt faktem często mu pomagałam po godzinach, a z czasem połączył nas nawet krótki romans. Heiner oraz Walter byli wtedy przeszłością. Walter został aresztowany za jakieś malwersacje i osadzony jako jeden z pierwszych więźniów Dachau. Natomiast Heiner wyjechał do Berlina, gdzie otrzymał ciepłą posadkę w jednym z ministerstw. Nie namawiał mnie, żebym jechała wraz z nim, a ja nie miałam na to specjalnej ochoty. Rozstaliśmy się w przyjaznej atmosferze, nie robiąc sobie żadnych wyrzutów. Mogliśmy się sobie jeszcze przydać.

Tak naszedł rok trzydziesty piąty oraz dzień wielkiego święta. Martin Mutschmann, Gauleiter Saksonii, organizował wielki wiec z okazji przyjazdu do Drezna Reichsführera, Heinricha Himmlera. Siedziałam w swoim gabinecie, porządkując notatki oraz szczytując kilka wersji przemówienia Gauleitera. Była to standardowa procedura, dzięki której możliwe było wybranie tego tekstu, który najbardziej odpowiadał rozwojowi wydarzeń. Zazwyczaj przewidywaliśmy trzy lub cztery warianty, zależne od treści przemówień gości oraz ogólnego nastroju. Od ponad roku był to jeden z moich głównych obowiązków i czułam, że jestem w tym naprawdę dobra.

Drzwi otworzyły się nagle, a chwilę później usłyszałam kroki. Nie podniosłam się znad papierów, pewna, że do środka jak

zwykle bez zapowiedzi wszedł Martin. Skreśliłam zdanie, które uznałam za zbędne. W tamtym czasie podlegało mi pięć stenotypistek, gotowych przepisać choćby kilkanaście stron tekstu w ciągu kilku minut. Wszystko musiało być zrobione natychmiast i perfekcyjnie. Nie akceptowaliśmy błędów.

– Panno Köhler...

Ktoś odchrząknął i dopiero podniosłam wzrok. W progu niewielkiego gabinetu stał Martin, a obok niego drugi, niezbyt wysoki, smukły mężczyzna z okrągłymi okularami na nosie oraz szczeciniastym wąsem. Nie miałam wątpliwości, że przypatruje mi się sam Heinrich Himmler.

Jak oparzona poderwałam się od biurka i uniosłam dłoń w geście pozdrowienia. Zdawało mi się, że Reichsführer uśmiechnął się do mnie, choć było to ledwie zauważalne drgnięcie kącików ust. Zrobił kilka kroków i wyciągnął do mnie dłoń. Wymieniliśmy uściski.

– Gauleiter Mutschmann opowiadał mi o pani mnóstwo wspaniałych rzeczy, ale nie dodał, że jest pani iście wzorową Aryjką.

Taksujące spojrzenie Himmlera zawstydziło mnie. Co z tego, że miałam za sobą liczne romanse oraz wieloosobowe konfiguracje miłosne, skoro właśnie spoglądał na mnie jeden z najpotężniejszych ludzi świata. Drugi człowiek Rzeszy po Adolfie Hitlerze. Ów słynny „Najwierniejszy z wiernych”.

– Dziękuję, panie Reichsführer.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem – Himmler wypowiedział te słowa do mojego szefa. – Uwielbiam kobiety o tak doskonałej urodzie. – Odwrócił się do mnie i z uznaniem kiwnął głową. – Powinna mieć pani wiele dzieci, ku chwale Tysiącletniej Rzeszy.

– Tak, panie Reichsführer.

Moja drętwość oraz służbowa postawa chyba również mu imponowały. Poklepał Mutschmanna po ramieniu, po czym szybko cofnął się w stronę korytarza. Nie miałam pojęcia, że delegacja już przyjechała. Musieli zjawić się przed czasem, jak trupa Himmlera miała ponoć w zwyczaju. Liczył się element zaskoczenia i możliwość dokonania wizytacji, zanim wszystko zostało wyreżyserowane. Dlatego większość spotkań, na które przyjeżdżał Reichsführer dopinano na ostatni guzik jeszcze poprzedniego dnia. Mój szef jednak nie był skory do takiej nadgorliwości, a wręcz traktował ją jako coś uwłaczającego. Nie wydawał się przy tym ani przez moment spięty.

– Karl!

Himmler przywołał kogoś ostrym tonem i po chwili na korytarzu rozległy się głośne, ciężkie kroki. Kilka sekund później do mojego gabinetu wszedł krępy, łysiejący mężczyzna z mocnymi rysami twarzy oraz sztywną, dumną postawą.

– Oto Standartenführer Karl Koch. – Himmler dokonał krótkiej prezentacji. – Jeden z moich najlepszych ludzi i, mogę chyba tak dodać, przyjaciel.

Koch puchł z dumy. Prężył się, spoglądając mi prosto w oczy.

– Karl, to pani...

– Ilse Köhler – dodał Gauleiter.

– Właśnie, Ilse Köhler. W takim razie już dokonałem oficjalnego zapoznania i może państwo zostaniecie sami? Mam nadzieję, że uda się wam miło porozmawiać, gdy ja wraz z Gauleiterem dokonam dalszej wizytacji urzędu. Dobrze?

Karl spojrział na mnie nieco zmieszany, a ja z aprobatą skinęłam głową.

– Oczywiście, panie Reichsführer! – Wykonałam nieokreślony gest w stronę drzwi do pomieszczeń służbowych. – Czy ma pan

ochotę na kawę, panie Standartenführer? A może na coś innego?

Za plecami Karla delikatnie zamknęły się drzwi. Zostaliśmy sami.



## 29.

Być może była to miłość od pierwszego wejrzenia. Taka sama, jak kiedyś połączyła mnie z Heinerem, robotnikiem dokwaterowanym do rodziców lub z przyjaciółmi mojego brata. Karl wydawał się jednak najlepszym, co mogło mnie spotkać. Miał za sobą doświadczenie w obozie w Sachsenburgu, a od niedawna kierował berlińskim więzieniem Columbia-Haus. Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, awansował na komendanta w Esterwegen. Świat stał przed nim otworem, a wraz z nim czekał na mnie. Nie mogłam zepsuć danej mi szansy.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał Karl, nawet na mnie nie patrząc, wkładając swoją czarną bluzę mundurową.

Siedziałam wtedy przy stole i przeglądałam jego najnowszy raport. Był to jeden z moich drobnych, nudnych obowiązków, z których wywiązywałam się z największą skwapliwością.

Jego pytanie ani trochę mnie nie zaskoczyło. Właściwie spodziewałam się, że może paść w każdej chwili. Miałam również gotową odpowiedź.

– Jeśli uważasz, że powinniśmy być małżeństwem, jestem gotowa.

Nawet miłość od pierwszego wejrzenia nie może zanadto wryć się w serce i zamienić w tkliwy romantyzm. To byłoby niegodne współczesnej, niemieckiej kobiety. Karl doskonale to rozumiał.

– Tak właśnie uważam – stwierdził, poprawiając kaburę.

Wtedy też po raz pierwszy od kilku minut na mnie spojrział. Uśmiechnął się łagodnie, po czym poszedł do mnie i pocałował mnie w czoło. Podał mi dłoń, bym wstała.

– Jesteś najlepszym, co mogło mi się przytrafić.

Żadnych „kocham cię”, żadnych tkliwych wyznań. Po prostu czysty pragmatyzm, jaki powinien kierować każdym rozsądnym człowiekiem. Jesteśmy najlepszym, co nam się może przydarzyć, więc powinniśmy wziąć ślub. A wszystko to z namaszczenia drugiej osoby w całej Rzeszy. Czy mogłam być szczęśliwsza?

No, powiedz mi, czy mogłam być szczęśliwsza?





### 30.

Ślub, oczywiście cywilny, w imię Adolfa Hitlera i Trzeciej Rzeszy, wzięliśmy dwudziestego piątego maja trzydziestego szóstego roku. Wydaje mi się, że byliśmy szczęśliwi. Być może nie było to właściwe ludom słowiańskim szczęście ludzi upojonych miłością oraz uczuciem. Byliśmy szczęśliwi w sposób, w jaki szczęśliwi bywają przedsiębiorcy zawiązujący nową spółkę rokującą dobry zarobek, a przed wszystkim obiecującą przyszłość.

Już po kilku miesiącach pojawiły się plotki, że mój mąż ma zostać komendantem nowo powstałego obozu w Buchenwaldzie. O tym miejscu chodziły rozmaite plotki. Ponoć położony wśród lasów oraz wzgórz obóz miał separować od świata najgorszych przestępców; kanalie polityczne oraz zbrodnicze bestie. Miały się w nim znajdować rozmaite narzędzia służące do przywracania tych degeneratów społeczeństwu, czyli do stającej się tak popularną resocjalizacji. Nie mieliśmy pojęcia, co to za narzędzia, lecz używało się właśnie tego określenia, jednocześnie, ilekroć padało, porozumiewawczo się uśmiechając. Nie stanowiło tajemnicy, że na terenie obozu znajduje się kamieniołom, który miał zapewnić osadzonym pracę oraz skutecznie pozbawić ich sił do ucieczki. Wiele rozmawialiśmy o tym cudownym miejscu. Karl snuł plany, a ja skwapliwie go zachęcałam do ich rozwijania.

– Dziś świętujemy!

Pocałował mnie w kark i pogładził po ramieniu. Leżałam na boku, zmęczona po całonocnej pijatyce z jego towarzyszami. Teraz najwyraźniej mieliśmy ponownie świętować stanie się oficjalnym tego, co już świętowaliśmy jako nieoficjalne. Pogmatwane? Być

może, ale właśnie w ten sposób przez ostatnie miesiące toczyło się moje życie.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Pochylał się nade mną, z zaczerwienioną twarzą, błyszczącymi oczami i cuchnącym alkoholem oddechem.

– Kiedy? – zapytałam krótko.

– Pod koniec lipca – odparł, szczerząc drapieżnie zęby. – Dostanę awans oraz komendanturę Buchenwaldu.

– Jak się ciszę!

Naprawdę się cieszyłam. Byłam z niego piekielnie dumna. Odrzuciłam kołdrę i przyciągnęłam go do siebie. Namiętnie pocałowałam go w usta.

– Karl! Gratulacje, czy to znaczy, że my... Że...

– Tak, przeprowadzamy się. Zgodnie z umową mamy dostać tymczasowy dom, ale już mogę zarządzić budowę willi. Zajmą się tym pierwsi więźniowie.

– To wspaniale! Nasza willa? Czy wyobrażasz sobie, jak ją urządzimy?

Karl był zbyt praktyczny, aby myśleć o urządzeniu miejsca, w którym się mieszka. Skoro dostawał dach nad głową, należało zapewnić, by był należycie solidny i elegancki. Nic więcej. To, co znajdzie się pod nim, zostawiał mnie – lub przynajmniej wtedy miałam takie wrażenie.

– W sypialni chciałabym, aby ustawić mnóstwo kwiatów – trajkotałam podekscytowana i zapewne wciąż nieco pijana. – Zgodzisz się na to, prawda? Chciałabym czuć ich zapach, zanim jeszcze się wyjdzie do ogrodu. I zawsze marzyłam o łóżku z baldachimem, wiesz, takim, jakie opisywane są w dawnych legendach.

Karl jedynie się uśmiechał, gładząc mnie po policzku. Delikatnie kiwał głową. Wreszcie się wyprostował i machnął jakimiś papierami.

– Muszę się tym zająć. Gdy się z tym uporam, będziemy się mogli zabawić.

– Może zrobmy to teraz? Przecież to tylko dokumenty...

– To – uniósł papiery nad głowę – nasza przyszłość. Mam złożyć zamówienia na materiały budowlane oraz potrzebną nam wyprawkę. Rozumiesz? Chcesz zrobić to razem ze mną? Wszystko sponsoruje Rzesza.

Zerwałam się z łóżka, po czym pobiegłam za nim do gabinetu. Po chwili popijaliśmy szampana i przekrzykiwaliśmy się, wymieniając kolejne niezbędne dla nas rzeczy. Tkaniny, meble, lampy...

– Nie możemy przesadzić, Ilse. – Raz po raz powtarzał Karl. – Władza nie lubi rozpusty, musimy być ostrożni.

Dokładnie pamiętam te słowa. Brzmią mi w uszach, gdy stoimy u progu naszej sypialni w buchenwaldzkiej willi. Drzwi są zamknięte, a moja niespodzianka czeka w środku. Hoven, zgodnie z obietnicą, dał z siebie wszystko i wiem, że Karl będzie pod wrażeniem. Dlatego dozuję napięcie, całując go w płatek ucha. Nie ma to jak się urządzić po swojemu. Do tego z pełną ostrożnością i oszczędnością. Nie angażując ani grosza państwowych pieniędzy. Zazwyczaj potrzeba jedynie nieco wyobraźni. I więźniów, o których świat nie chce pamiętać.



## 31.

Pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku zaszłam w ciążę. To było zupełnie nowe doświadczenie. Zaburzenie kobiecego rytmu, rosnący brzuch, świadomość życia wzrastającego w moim ciele. A z czasem również jego namacalne dowody – kopnięcia oraz ruchy. Karl wydawał się wniebowzięty, choć, jak to zapewne w takich sytuacjach zazwyczaj bywa, dobrą miną maskował zmieszanie. Był już po czterdziestce i chyba nigdy nie zastanawiał się nad posiadaniem dzieci. Od początku pocieszałam go, że niczego nie mogą zmienić.

– Jak go nazwiemy?

Nie wiem dlaczego, ale nie dopuszczał myśli, że mogłaby urodzić się córka. Jego pierworodnym musiał być syn, jakby było to wpisane w jakieś prawo natury.

– Otto – odparłam niemal mechanicznie. – Tak się nazywał jeden z moich wujów, wyjątkowo zacny człowiek.

– Nie wiem, czy zacni ludzie dobrze sobie radzą w życiu.

Karl spojrzał na mnie spode łba i się uśmiechnął. Od kilku minut trzymał dłoń na moim brzuchu.

– Może Heinrich? – zaproponowałam.

– Heinrich Koch... – szepnął, jednak po chwili namysłu pokręcił głową. – To zbyt popularne.

– W takim razie co ty proponujesz?

– Sam nie wiem. Myślałem nad tym przez ostatnie dni i nic mi nie odpowiada.

– Mamy jeszcze nieco czasu. W końcu coś przyjdzie nam do głowy i od razu poczujemy, że to imię jest właściwe.

Karl z lekceważeniem machnął ręką. Wstał od łóżka i podążył ku wyjściu. W tamtym czasie obóz zaczynał już tętnić życiem, więc z pokoju, w którym leżałam, co chwilę słyszałam wyrzucane przez megafony komendy.

– Muszę iść – odezwał się, zatrzymując się w progu. – Będziemy nad tym myśleć.

– Tak, Karl. Idź już i o nic się nie martw.

Skinął głową i nie mówiąc nic więcej, wyszedł. Kilka minut później zaczęła się akcja porodowa, choć lekarz wyznaczył termin na za ponad dwa tygodnie. Tego nikt nie mógł się spodziewać. Dziecko nie dawało żadnych sygnałów, że będzie chciało wydostać się na świat przed czasem. Ale przecież nierzadko tak właśnie bywa – szczególnie gdy ma się dwójkę niecierpliwych rodziców.

W ciągu kilku minut pojawiło się przy mnie dwóch lekarzy oraz cały zastęp pielęgniarek. Z opowieści wiem, że Karla o wszystkim powiadomiono w chwili, gdy wszedł do obozowej kancelarii. Miał ciężko sapnąć i powiedzieć jedno znamienne zdanie: „Byle nie krzyczała jak suka”. Rzecz jasna, chodziło o mnie. Nie wiem, czy gdybym wiedziała o tej reakcji, to zachowałabym się inaczej. Pewnie nie. Karl wszedł do mojego pokoju dopiero, gdy lekarze zaprosili go do środka, a cały panujący wokół bałagan został przynajmniej prowizorycznie uprzątnięty.

W ramionach trzymałam zdrowego, choć maleńkiego chłopca. Mój mąż podszedł do nas i wyciągnął ku niemu dłoń. Cofnął ją jednak, jakby się bał, że może zrobić mu krzywdę.

– Dotknij go... – szepnęłam.

Nie zrobił tego. Zamiast syna, to mnie pogładził po policzku. Usiadł na łóżku i cicho parsknął, po czym w zadumie pokręcił głową.

– Mam pomysł – odezwał się ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Tak?

Chłopiec kwilił, więc Karl mówił coraz głośniej, nie kryjąc narastającej irytacji.

– Dziś rano czytałem o pewnym tureckim mieście, które po Wielkiej Wojnie zostało wyzwolone przez Turków spod władzy czerwonoarmistów.

– I?

To miasto nazywało się Artwin. Tak samo nazwaliśmy naszego syna.





## 32.

Karl, przygryzając wargę, spogląda na to samo łóżko, w którym przed dwoma laty urodziłam mu pierworodnego. Teraz mebel nieco się różni od oryginału. Na bokach jego wezgłowia zamontowane zostały ozdoby. Doktor Hoven spisał się wzorowo, choć nie sądziłam, że efekt będzie aż tak piorunujący.

Głowy numerów dwieście trzydzieści dwa jedenaście oraz tysiąc pięćdziesiąt w trakcie procesu konserwowania skurczyły się do rozmiarów niewielkich grejpfrutów. Jedna jest łysa i gładko ogolona, druga kudłata i z brodą. Przypominają zabawki, jakieś niesamowite miniaturki stworzone przez czarodzieja. Oto głowy karłów lub liliputów. Ich oczy są zamknięte, a powieki zaklejone, gdyż zgodnie ze słowami Hovena nie dało się ich właściwie zabezpieczyć. Nie chciałam, by zastąpiono je sztuczną masą lub jakimiś śmieciami. Stawiałam na autentyzm. I to właśnie autentyzm robi piorunujące wrażenie.

– Zaskoczyłaś mnie, Ilse. – Karl chwyta moją dłoń i kręci głową.  
– Na to bym nie wpadł. Widziałem coś podobnego na zdjęciach z Afryki albo Ameryki Południowej, jakieś plemiona konserwowały głowy swoich wodzów, ale to... Powinno zrobić na wszystkich nadzwyczajne wrażenie.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – stwierdzam z naciskiem. – Hoven zapewnił mnie, że gdybyśmy wyrazili zapotrzebowanie na kolejne eksponaty, praca pójdzie mu sprawniej. Zdaje się, że w przypadku tej dwójki miał jakieś problemy z właściwym oczyszczeniem wnętrza czaszki.

– Chciałabyś mieć ich więcej?

– Moglibyśmy rozdawać je jako prezenty. Każdy, kto powinien, już słyszał o naszych wyrobach ze skóry, ale to... To coś zupełnie nowego. Wieść dotarłaby pewnie do samego Reichsführera.

– Nie wiem, czy Reichsführer poparłby przechowywanie semickich czaszek w domu. Do tego w sypialni.

Kładę dłoń na piersi Karla, lecz zaraz się cofam. Zabawowo grożę mu palcem.

– To nie są czaszki, lecz całe, kompletne głowy.

– Zwał, jak zwał. To coś więcej niż żydowska pomoc domowa.

– To się nazywa pośmiertna użyteczność, prawda? Człowiek może okazać się miniaturowym dziełem sztuki, przynajmniej w rękach niemieckich mistrzów pokroju Hovena.

Karl nie wydaje się przekonany. Mimo to wiem, że głowy mu się podobają. Dotyka włosów numeru dwieście trzydzieści dwa jedenaście i przepuszcza je między palcami. Czaszka skurczyła się, przez co włosy zdają się dłuższe i grubsze. Przed oczami staje mi moje pierwsze spotkanie z tym wówczas pełnym życia kudłaczem. Pamiętam przesiąknięty pożądaniem wzrok. Będę o nim pamiętała zawsze, ilekroć położymy się z Karlem do tego łóżka. Podnieca mnie sama myśl o tym spojrzeniu zamkniętych, zaszytych oczu. Nawet po śmierci...

– Mamy chwilę? – Chwytam Karla za dłoń i ciągnę go ku łóżku.

– Ilse, zaraz muszę wracać do komendantury.

– Zaraz nie znaczy natychmiast.

Rozpinam jego szeroki, wojskowy pas i guzik spodni. Siadam na łóżku, pozwalając, by zacisnął dłonie na moich ramionach. Jest mój. Cały mój – teraz i na zawsze. Tak samo jak te przekłete, martwe numery.

*Zakonserwowane, zminiaturyzowane głowy więźniów odkryto w sypialni Kochów po wyzwoleniu obozu. Stanowiły jeden z dowodów w procesie buchenwaldzkim. Zostały uwiecznione na fotografiach załączonych do akt procesu.*



### 33.

– Smakuje ci?

Karl zatrzymuje widelec w pół drogi do ust i przygląda się z zaciekawieniem kęsowi. To sznycel wołowy przyrządzony w winie oraz ziołach. Kucharka ściśle przestrzegła podyktowanego przeze mnie przepisu. Czasem lubię mieć decydujący wpływ na dania. Od wielu miesięcy niczego nie ugotowałam, ale nie odpowiada mi menu narzucone przez obcą kobietę. Czuję się jak w restauracji, w której nikt nie pyta, na co mam ochotę, tylko podstawia posiłki pod nos.

– Całkiem dobre.

Wiem, że Karl nie zwraca uwagi na to, co je. Mógłby dostać kawałek skórzanego buta i przeżułby go z takim samym smakiem jak sznycel. Dla niego istotne jest tylko, by był najedzony. Zwraca natomiast uwagę na wino, w którym potrafi wyróżnić zaskakująco wiele nut smakowych. Coś, co dla mnie jest po prostu słodkie lub gorzkie, dla niego ma posmak porzeczek, kardamonu, cytrusów i tak dalej.

– Helga przyrządziła to danie według przepisu mojej babci. Od dziecka uwielbiałam te sznycele, choć podawano je tylko w święta.

– I tak dobrze.

Karl nawet na mnie nie patrzy. Ponownie raz za razem pochłania danie, popijając je winem. Nagle odkłada sztućce i ociera usta serwetką.

– Ilse...

– Tak?

– Zwrócono mi na coś uwagę.

Cholera. Nigdy nie mówił do mnie w ten sposób i nigdy nie robił mi żadnych wyrzutów, a już teraz, zanim powiedział, o co chodzi, wiem, że temat sprowadza się do mnie.

– Kto ci zwrócił uwagę? – odbijam piłeczkę.

– Nieważne. – Opiera się łokciami o stół i w końcu na mnie spogląda. Jego spojrzenie jest jak zawsze zimne. – Chodzi o Arwina. Podobno nie spędzasz z nim w ogóle czasu. Nie karmisz go, a on potrzebuje mleka matki.

Wymownie parskam i wstaję od stołu. Nikt nie będzie mi mówił, jak powinnam wychowywać dziecko. To akurat wyłącznie sprawa kobiety. Pewnie ta przekłeta Gudrun albo Berta doniosła na mnie do Karla. Powinnam się z nimi policzyć.

– Co to znaczy, że nie spędzam z nim czasu?! – krzyczę. – Przewijam go i kąpię, podczas gdy ty włóczysz się nie wiadomo gdzie.

– Ilse, ja tu pracuję.

– Ja też. Zapominasz, że również pełnię tu funkcję? Czy, żeby ci o tym przypomnieć, powinnam założyć mundur?

Miałam go na sobie dwa lub trzy razy i może przez to Karl myśli, że pełnię tu rolę jedynie gospodyni domowej. Co miałabym robić? Śpiewać kołysanki i godzinami karmić małego? Specjalnie w tym celu sprowadziłam z Drezna opiekunki.

– Chcę, żeby widziano cię z naszym synem – cedzi Karl. – I żebyś karmiła go piersią, jak na matkę przystało. Nic więcej.

– Zmusisz mnie? – Spoglądam na niego wyzywająco. – Nie rozumiesz, że nienawidzę tego cholernego uczucia, gdy bezzębne stworzenie ssie mi cycka? Dlatego spuszcza mu mleko.

– Wystarczająco dużo?

Dość mam tego przesłuchania. Nie wiem, kto ani co dokładnie o mnie nagadał Karlowi, lecz to już stanowcza przesada.

W pierwszej chwili mam ochotę pójść po Artwina i przynieść go mężowi, pokazując, że mały ma się nie najgorzej, a przynajmniej na tyle dobrze, że potrafi bez przerwy ryczeć, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Uznaję to jednak za zbędne dramatyzowanie.

– Może ty go przytul i ponoś na rękach – warczę. – Pobaw się z nim. No, dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie masz na to ochoty?

– Przestań.

– Nawet nie zaczęłam. – Szybkim krokiem wychodzę z jadalni i kieruję się ku wyjściu. – Niech ten, kto ci na mnie nagadał, zajmie się lepiej swoim dzieckiem.

– Ilse...

Nie odzywam się już. Szarpię za klamkę, wychodzę na skąpany w słońcu taras i trzaskam drzwiami.

Nienawidzę dzieci, choć wiem, że ich posiadanie to obowiązek. Ten cholerny świat jest urządony w bezmyślny sposób. Rozumiem zwierzęta, które podrzucają młode innym. Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego Karl nie chce się do mnie zbliżyć po tym, jak byłam w ciąży. Brzydzę się nim oraz sobą. Jestem wściekła.

Skoro mu nie odpowiadam, muszę się zmienić. I wiem, jak to zrobić. Ten pomysł przyszedł mi do głowy już jakiś czas temu. Teraz nadszedł właściwy moment, by go zrealizować.





### 34.

Początkowe pragnienie zachowania pozorów szybko zaczęło wszystkim ciążyć. Wymyślanie kar za byle naruszenie regulaminu, katowanie fizyczne oraz psychiczne, mające na celu uśmiercenie więźniów, to wszystko trwało zbyt długo. Czasem trafiali się tacy osadzeni, którzy wbrew prawu natury żyli, choć od dawna powinni być martwi. Dźwigali nieprawdopodobne ciężary, wytrzymywali dziesiątki batów oraz trwającą wiele, naprawdę wiele dni głodówkę. Zewnętrzne inspekcje, o ile w ogóle się pojawiały, nie zważały na stan więźniów oraz śmiertelność wśród nich. Istotne było tylko, czy raporty zgadzają się ze stanem faktycznym. Czy tysiąc osadzonych w ciągu minuty uformuje dziesięć stuosobowych kolumn, czy wyrabiane są normy pozyskiwanego kamienia oraz wykonanych w obozowej szwalni mundurów. Cała reszta nie miała znaczenia. Z pewną dbałością należało traktować jedynie zagranicznych więźniów politycznych. Pojawiało się ich kilku, większość zdaje się na osobiste żądanie kanclerza. Tych trzymaliśmy w odosobnieniu, by w razie ewentualnego zwolnienia nie mogli zbyt wiele opowiedzieć o funkcjonowaniu obozu.

– Widziałam kilku nowych osadzonych z ciekawymi tatuażami – relacjonuję Hovenowi, który pochyla się nad aparaturą chemiczną. – Dwa z nich były kolorowe i przypominały te dalekowschodnie obrazki.

- Podobały się pani, komendantowo?
- Z pewnością były interesujące.

Hoven coś cicho mruczy. Jest całkowicie skupiony na pracy i wiem, że prowadzi ze mną rozmowę niemal automatycznie. To typ naukowca, dla którego doświadczenia bywają całym światem.

– Co pan robi, doktorze?

– To tylko... Porównuję próbki krwi po podaniu szczepionki na błonicę.

– Kolejne zlecenie?

Wiem, że go rozpraszam, i sprawia mi to pewną przyjemność. Już kiedyś rozmawialiśmy o jego doświadczeniach, lecz nigdy nie wnikałam w szczegóły. Tyfus, dyzenteria, ospa, leczenie oparzeń... Więźniowie służyli za doskonały materiał badawczy.

– Władze nakazały mi pozyskanie preparatów dla Marburger Behringsgewerke. – Hoven odrywa wzrok od mikroskopu i przeciera oczy. – Wydaje mi się, że możemy dokonać istotnego postępu.

– Opracować szczepionkę?

– Zrozumieć pewne mechanizmy... Czasem nie jesteśmy świadomi, jak bardzo pomocna może być natura. Toksyna błonicza, nazywana czasem nieprawidłowo jadem, to doskonała trucizna. Dawka śmiertelna nie przekracza mikrograma na kilogram masy zakażonego człowieka. Wytwarzają ją pałeczki *Corynebacterium diphtheriae*, które...

– Proszę sobie darować, doktorze. I tak nic z tego nie rozumiem.

Na twarzy Hovena dostrzegam zniecierpliwienie. Ponownie sięga do mikroskopu, lecz nagle sobie o czymś przypomina. Znacząco odchrząkuje.

– A właśnie. – Usiłuje pstryknąć palcami, lecz przeszkadzają mu w tym rękawiczki. – Doktor Wagner chciał się z panią zobaczyć. Zdaje się, że jego pomysł powinien panią zainteresować, komendantowo.

– Co to za pomysł?

– Nie chciałbym wdawać się w szczegóły. – Lekarz ponownie spogląda przez mikroskop na preparaty. – Nie wiem, na ile to tajemnica. Proszę do niego zajrzeć, jest w swojej pracowni.



### 35.

Erich Wagner nie przypomina klasycznego naukowca, jakim jest Hoven. Jest młody, zdaje się, że nie ma nawet trzydziestu lat i reprezentuje ten typ mężczyzny, który wie, że inteligencją oraz urokiem osobistym może zdobyć wszystko. Gdy wchodzę do jego ogromnej pracowni, zastaję go przy wielkim aparacie fotograficznym stojącym na metalowym statywie. Majstruje coś przy nim, zerkając jednocześnie do leżącej obok teczki.

– Pani komendantowa! – wita mnie z szerokim uśmiechem.

Podchodzę do niego i wskazuję na aparat.

– Czyżby zamierzał pan przejąć rolę obozowego fotografa?

– Może? Właściwie czemu by nie!

– Doktor Hoven powiedział, że chciał się pan ze mną zobaczyć. – Staję obok metalowego łóżka, na którym leżą przykryte prześcieradłem zwłoki. Widzę jedynie wystające spod poprzecieranego płótna, sinofioletowe stopy. – Mógł pan zajść do naszej willi, zawsze z chęcią pana przyjmę.

Wiem, że moje słowa brzmią dwuznacznie i podoba mi się rumieniec wyrastający na twarzy tego młodzika.

– Tak, oczywiście... – Wagner spuszcza wzrok. – Jednak, prawdę mówiąc, liczyłem, że przyjdzie pani właśnie tutaj. Chciałem coś pani pokazać, Aufseherin.

– Ilse. – Wyciągam do niego dłoń. – Kiedy jesteśmy we dwójkę, proszę mówić do mnie po imieniu, a tytuły zostawić na oficjalne spotkania.

– Oczywiście. Wobec tego proszę mi mówić Erich albo... Jak tam pani... jak tam chcesz.

Wagner wyprostowuje się i otrząsa jak ochlapany wodą kot. Uśmiecha się, odzyskując rezon. W ułamku sekundy następuje w nim zaskakująca przemiana.

– Proszę wybaczyć, zdaje się, że przez ostatnie tygodnie za dużo przyzwyczałem się do obcowania z trupami i straciłem właściwe manieri. – Sięga do szafki, po czym wyjmuje z niej dwie kryształowe szklanki oraz butelkę koniaku. – Napijemy się?

– Czy mamy okazję?

– Mam nadzieję, że tak.

Wagner podaje mi szklankę pełną intensywnie pachnącego alkoholu. Upijam łyk i mlaszczę z uznaniem.

– Dobry. Naprawdę dobry. – Zerkam na butelkę, lecz lekarz odstawił ją tak, żebym nie widziała etykiety. Zapewne to towar z przemytu lub pozyskany metodami, o których woli nie rozmawiać. Wszyscy coś o tym wiemy. – Więc co to za okazja?

– Coś specjalnie dla ciebie, Ilse.

– Widzę, że bratamy się w zaskakująco szybkim tempie.

Wagner wciąż się uśmiecha. Po jego niedawnym skrępowaniu nie ma już nawet śladu. Przesuwa statyw aparatu i sięga po teczkę, którą przeglądał, gdy weszłam do pomieszczenia.

– Czyżbyś robił zdjęcia zwłok? – dopytuję. – To mogłoby być interesujące, ale dość banalne...

– Nie jestem aż tak banalny.

Stoimy zaledwie o krok od siebie. Przez chwilę spoglądamy sobie w oczy, a mnie przypomina się oskarżycielski ton Karła. Wraz z nim pojawia się świadomość tego, jak teraz wygląda moje nagie ciało. Z fałdami na brzuchu, obwisłymi, pełnymi mleka piersiami oraz nabrzmiałymi udami. Właśnie przez to nienawidzę swojego syna i nie potrafię się do niego na dłużej zbliżyć. Odebrał mi to, co

ceńłam w sobie najbardziej. Piękno. Owo aryjskie piękno, które urzekło samego Heinricha Himmlera.

– Wobec tego co chciałeś mi pokazać?

Wagner otwiera szufladę i wyciąga z niej plik kartek. Podaje mi go, zastygając w teatralnym ukłonie.

– Proszę na to spojrzeć, komendantowo. – Odchrząkuje i się poprawia. – Spójrz na to, Ilse.





## 36.

– Strach sprawia, że wszystko się komplikuje i wydłuża. A ja nie lubię komplikacji.

– W takim razie należy pozbyć się strachu, dobrze rozumiem?

– Dokładnie tak.

Wagner wymownie na mnie spogląda. Gestem pokazuje, bym przejrzała podany mi przed chwilą plik kartek. Jego twarz zdradza napięcie, oczy się lśnią, a równe białe zęby przygryzają wargę.

– Co też ty wymyśliłeś...

Odkładam kartę tytułową i przebiegam wzrokiem stroną zapisaną maszynopisem. Na marginesach są liczne, dodane piórem uwagi. Nie mogę ich rozczytać.

– Proszę przerzucić ten bełkot. Chodzi mi o samo sedno.

Posłusznie przekładam kilka stron i wreszcie trafiam na plik fotografii. Są różnej wielkości, lecz na wszystkich utrwalono rozmaite tatuaże. Motywy marynistyczne, florystyczne, zwierzęce, wreszcie wzory przypominające plemienne malowidła niczym przeniesione z prehistorycznych grot. Pod każdym zdjęciem dodany jest krótki opis oraz informacja o rzeczywistych wymiarach. Ołówkiem zamieszczono również numery. Od razu domyślałam się, że to numery więźniów, którzy noszą na ciele te konkretne tatuaże.

– Przygotowywałem dla ciebie tę kolekcję przez ostatnie tygodnie.

– Dla mnie?

– Wiedziałem, że w końcu tu przyjdiesz po kolejny obiekt. A może nawet kilka z nich.

„Nie myliłeś się” – dodaję w myślach. Przekładam kolejne strony, przyglądając się zdjęciom. Zatrzymuję wzrok na skomplikowanym tatuażu przedstawiającym koło z wpisanymi w nie znakami przypominającymi znaki zodiaku.

– Napracowałem się, aby uwiecznić go w kolorze – pośpiesznie wyjaśnia Wagner. – Kolory mają w tym przypadku szczególne znaczenie. Przy użyciu odpowiednich światłoczułych materiałów diapozytywowych można oddać je niemal w stu procentach.

Rzeczywiście barwy są żywe i wyglądają niemal jak żywcem przeniesione z natury.

– To mandala, dalekowschodni symbol uniwersalności wszechrzeczy. Koło jest symbolem nieskończoności oraz wieczności, lecz całość wkomponowano w kwadrat oznaczający człowieka i jego duchowość. Obie figury mają centralny punkt wspólny, widzisz?

Wagner staje tuż przy mnie tak, że stykamy się ramionami. Kładzie dłoń na mojej dłoni i prowadzi mój palec po meandrach tatuażu. Przebiega mnie przyjemny dreszcz. Jednocześnie znów wyobrażam sobie swoje nagie ciało. Odsuwam się i spoglądam na nieco zmieszanego lekarza.

– Widzę, że jesteś człowiekiem wielu umiejętności i zainteresowań – stwierdzam z nutą ironii. – Preparacje, fotografia, filozofia dalekiego wschodu...

– Czy czymś cię uraziłem?

– Nie, dlaczego?

– Wydawało mi się, że...

Macham ręką.

– Wytłumacz mi, po co to robisz. To. – Precyzuję, oddając mu plik kartek. – Powiedziałeś, że zwalczając strach, możesz coś przyspieszyć.

– Owszem...

Wagner odkłada papiery na szafkę i podchodzi do stołu. Jednym ruchem ściąga prześcieradło, odsłaniając zwłoki wychudzonego mężczyzny. Przy pomocy niewielkiej dźwigni obraca go na bok i mierzy w niego palcem. Plecy są niemal kompletnie fioletowe.

– To plamy opadowe – wyjaśnia. – Jednak przy odpowiednim ułożeniu mogą być pomocne. Dodatkowo wybarwią tatuaż.

Dopiero po chwili dostrzegam delikatny motyw roślinny wytatuowany między łopatkami zmarłego.

– Udało mi się namówić kilkunastu więźniów do udziału w moim projekcie badawczym – ciągnie Wagner. – Rozmawiam z nimi o kulturowej roli tatuaży, fotografuję je i opisuję metody, jakimi zostały sporządzone. Wszystko przebiega w miłej atmosferze, która jest przecież tak bardzo pożądana. To naprawdę usprawnia pracę.

Zaczynam rozumieć. Wagner opracował swój sposób selekcjonowania osadzonych z najciekawszymi tatuażami. Nie potrzebuje do tego dziurki z okularem do umywalni, a do tego może się im dokładnie przyjrzeć. Co więcej, więźniowie chętnie mu wszystko pokazują, zapewne licząc na dodatkową kromkę chleba lub czas wolny, który może im załatwić, wzywając ich na badanie.

Wybucham niepoohamowanym śmiechem. Podchodzę do szafki i jeszcze raz zaczynam przeglądać zdjęcia.

– Mogę sobie wybrać którego tylko zechcę? – pytam, choć doskonale wiem, że Wagner zrobi, o co go tylko poproszę.

*Erich Wagner za pracę pod znamennym tytułem Przyczynek do zagadnienia tatuaży w 1939 r. otrzymał stopień doktorski na Uniwersytecie w Jenie.*



### 37.

Myślę o tym, jak Karl potraktował mnie dziś w południe. Myślę o jego pretensjach oraz niewypowiedzianym pragnieniu, bym zamknęła się w naszej willi. A może chodziło mu o coś całkowicie innego? Mimo to wiem, że od pewnego czasu nie patrzy już na mnie z pożądaniem. Odkąd urodziłam dziecko, stałam się dla niego nieatrakcyjna i nawet wieczorami trzyma się ode mnie na dystans. Wiem, że ma kochanki, wiem, że zabawia się z innymi kobietami, lecz dotąd to ja byłam jego numerem jeden. Mogłabym skrócić kark naszemu synowi, ale nie wiem, czy to zrobiłoby mi lepiej. Tak...

Trzymam poduszkę i przyglądam się, jak Artwin śpi. Jest ubrany w biały kombinezonik oraz niebieski czepek. Nie wiem, po co w takie upały owija się dzieci jak kokony. Nie interesuje mnie to. Chłopiec cicho oddycha. Jego pierś delikatnie faluje, a usteczka są lekko rozwarte. Jest w nim coś ze mnie i coś z Karla. Z pewnością ma nos po ojcu, ale wydaje mi się, że w pierwszym wrażeniu przyrównałoby się go do mnie. Tak mówią służące, choć wiem, że chcą mi się jedynie przypodobać.

Przekładam poduszkę z ręki do ręki. Jeśli Artwin umrze, Karl nie powinien niczego podejrzewać. Zresztą nie sądzę, by się tym specjalnie przejął. Widział malca ledwie kilka razy i nie odezwał się do niego nawet słowem. Wydaje mi się, że podświadomie mści się na nim za swoje dzieciństwo. To okropne, żydowskie teorie, ale coś w nich jest.

Pochyliłam się nad łóżkiem. Nie zniosę kolejnego upokorzenia i sprowadzenia do roli świni rozplodowej, której od życia nie

należy się nic poza mlekiem w piersiach. Mogę być panią domu, gospodynią oraz karkiem rodziny, lecz nie będę zwykłą mamką. Nikt nie będzie mi wypominał, że nie zajmuję się dzieckiem.

Zaciskam dłonie na poduszce i opuszczam ją ku twarzy Arwina. Chłopiec nagle się porusza. Otwiera oczy i uśmiecha się do mnie. Na mój widok nie płacze, lecz wesoło chichocze. Wyciąga ku mnie maleńkie, czerwone rączki.

– Cholera... – syczę.

Wściekle rzucam poduszkę na łóżeczko i wychodzę z pokoju. Przemierzam korytarz, po czym wypadam na dwór. Mrużę oczy przed ostrym słońcem. Mimo że dochodzi już szósta wieczorem, wciąż jest upalnie. Po ciąży wciąż gorzej znoszę wysokie temperatury. To na pewno wina tego przeklętego dziecka, które wyssało ze mnie energię i piękno. Niemal biegnę w stronę bloku zarządzanego przez Wagnera. Grupa więźniów prowadzonych przez dwóch strażników odwraca wzrok. Nie zwracam na nich uwagi. Z megafonów dobiegają tony nowego marsza skomponowanego specjalnie do obozowych rozgłośni przez któregoś z nadwornych kompozytorów Hitlera. Mogłabym się założyć, że kolejne podniosłe takty powstawały w zaciszu berlińskiej kamienicy. Jestem wściekła na cały świat i muszę znaleźć sposób na rozładowanie tego gniewu. Dwa owczarki ujadają, obserwując więźnia pchającego taczkę wyładowaną gruzem. Ktoś zapewne kazał mu ją obwozić po placu apelowym. Być może przez kilka godzin, może przez cały dzień, a może do momentu, aż nie padnie z wyczerpania. Nad budynkiem obozowej bramy delikatnie powiewa flaga ze swastyką. Symbol naszego zwycięstwa i podporządkowania sobie kawałka wszechświata. Cóż z tego, skoro nie możemy zapanować nad wiatrem – ta myśl przychodzi mi niemal natrętnie do głowy. Flaga nie wydyma się

tak, jak powinna, nie ukazuje pełni potęgi i zawartego w sobie symbolu. Pangermańska moc, mityczna doskonałość zaczerpnięta wprost z aryjskich podań. Symbol siły, który kiedyś chciałam wytatuować na swoim ciele. Tymczasem nie możemy zapanować nad wiatrem!

Wpadam do drewnianego baraku i w nozdrza od razu uderza mnie zapach stęchlizny. Godzinę wcześniej nie zwróciłam na niego żadnej uwagi. A może to fetor śmierci? Pośpiesznie przechodzę do kolejnych drzwi i nie pukając, wchodzę do przestronnego pomieszczenia. Doktor Wagner ponownie majstruje coś przy aparacie. Unosi głowę i zerka na mnie z miną, jakby spodziewał się, że wrócę.

Chwytam plik wciąż leżących na szafce papierów. Przekartkowuję je i niemal na oślep wskazuję kolejne zdjęcia.

– Ten, ten i ten. – Stukam w nie palcem. – Proszę się zająć tym jak najszybciej. Zapłacę, ile tylko pan sobie zażyczy, doktorze.





### 38.

Aby mnie ułaskawić, Karl osobiście wyczytuje przez megafon numery więźniów, których tatuaże wskazałam w albumie doktora Wagnera. Robi to podczas wieczornego apelu, gdy większość z zebranych nie ma siły zastanawiać się, co może im grozić. Posłusznie, zgodnie z rozkazem udają się do ambulatorium. Przez lornetkę obserwuję, że starają się biec, ale wycieńczeni po całodzienniej pracy co chwilę zwalniają. Jeden z SS-manów szczuje ich psem i owczarek wgryza się w łydkę chudego, niskiego więźnia. Momentalnie odkładam lornetkę, po czym rzucam się ku drzwiom.

– Ściągnij psa! – wrzeszczę, wypadając na zewnątrz. – Zabieraj go!

Żołnierz z konsternacją spogląda w moją stronę, lecz posłusznie odciąga owczarka od więźnia. Ten, cały drżąc, kuśtyka ku ambulatorium. Jeden z pozostałych pomaga mu iść. Jestem przekonana, że gdyby mieli odwagę choćby na mnie zerknąć, zrobiliby to z nabożnym wyrazem wdzięczności. Ilse Koch każąca odwołać atakującego ich brytana. Łaskawa Ilse Koch.

Uśmiecham się i pośpieszam ich, siląc się na łagodny ton. Stojący na straży Sturmman przytrzymuje drzwi, obrzucając więźniów czujnym spojrzeniem. W środku już czeka doktor Wagner oraz dwóch pielęgniarzy. Obaj wezwani mężczyźni stają na baczność, przyciskają do boków czapki i spuszczaają głowy. Po ich skroniach spływa pot. Jeden ma około trzydziestu pięciu lat, drugi jest po pięćdziesiątce. Ciężko dyszą. Zastanawiam się, na ciele którego z nich jest mandala. Obstawiałabym młodszego, lecz

ten jest tak drobny, że trudno byłoby znaleźć miejsce bez uwypuklonych kości. A tych nie było widać na fotografii. Chyba że... W pamięci przywołuję jego numer obozowy. Zdaje się, że był czterocyfrowy, co mogłoby świadczyć, że przebywa w Buchenwaldzie niemal od roku, co stanowiło skuteczną terapię odchudzającą. Nie mogę sobie przypomnieć, który numer był przypisany do danego tatuażu.

Po chwili do pomieszczenia wpada młoda więźniarka. Wygląda, jakby miała czternaście albo piętnaście lat, lecz to przez krótko przystrzyżone włosy. Przez ostatnie miesiące nauczyłam się oceniać wszelkie aspekty człowieczeństwa przez pryzmat pobytu w obozie. Godziny pracy na dworze zmieniały cerę, niskie racje żywnościowe pozbawiały tkanki tłuszczowej, brak zarostu u mężczyzn czynił rysy bardziej ostrymi, a spojrzenia głębszymi. Buchenwald tworzył nowy typ ludzi. Mój mąż nazywał ich czasem Untermensch-buchenwaldesis, co stanowiło jeden z jego ulubionych (i regularnie powtarzanych) dowcipów. Mnie nigdy nie bawił.

Więźniarka wygłasza oficjalne formułki, po czym zastyga w takiej samej pozycji, jak jej towarzysze. Każde z nich boi się nawet głośniejsz oddychać i stara się zlać z otoczeniem, jakby to mogło ich uratować. Przy kroczu starszego z osadzonych widzę narastającą plamę wilgoci. Sukinsyn sika w majtki. Zaciska nogi, starając się to powstrzymać, lecz nie jest w stanie. Jego ramiona nagle drżą w szlochu.

– Siadajcie. – Wskazuję na ustawioną pod ścianą ławę. Wymieniam spojrzenia z doktorem Wagnerem. – Chcemy skierować was do pracy na terenie bloku szpitalnego – ciągnę uzgodnioną na poczekaniu historyjkę. – Jednak wcześniej musimy

was zaszczepić przeciw niektórym chorobom zakaźnym. Pracę zaczniecie od jutra.

Więźniowie nie poruszają się. Ten sikający zaczyna płakać na głos, a po chwili dołącza do niego kobieta. Nich ich szlag trafi.

– Siadajcie! – nakazuję. – Natychmiast.

Chwytam starszego za nadgarstek i ciągnę ku ławie. Niemal go na nią rzucam. Ten człowiek, choć wydawał mi się tęższy od towarzysza, to sama skóra oraz kości. Strażnik, widząc zamieszanie, wymownie przeładowuje karabin.

– Mamy braki kadrowe – odzywa się Wagner.

Mówi zaskakująco spokojnie, lecz stanowczo. Nie ukrywa strzykawki, którą trzyma w dłoni. W drugiej potrząsa jakąś ampułką, na której znajduje się nazwa specyfiku.

– Nikt nie zamierza tu robić bałaganu – ciągnie. – To ambulatorium, a nie kostnica. Możecie zobaczyć, że w dłoni trzymam szczepionkę. Uspokójcie się.

Więźniowie wymieniają ukradkowe spojrzenia. Kobieta z ociąganiem siada obok pięćdziesięciolatka, a po chwili dołącza do nich trzeci skazany. Spuszczają głowy między ramiona. Nieustannie krzyczę pochlipywanie, które doprowadza mnie do szału.

– Szybciej – wypowiadam niemo ku Wagnerowi.

Doktor kiwa głową i błyskawicznie dopada do starszego więźnia. Jednym ruchem wbija mu w ramię strzykawkę, po czym naciska tłoczek.

– Widzicie? Nic się nie dzieje.

Więzień podniósł głowę, ale powiódł wokół jedynie przelotnym spojrzeniem. Wydawało mi się, że na jego twarzy widzę ulgę.

– Nawet nie bolało... – szepcze, łapczywie chwytając oddech.

– Szybciej. Nie mamy czasu, doktorze – pośpieszam Wagnera. – Musimy jeszcze dokonać obchodu i ustalić plan działań na jutro. Poza tym ci ludzie wymagają przeszkolenia, zajmie się pan tym?

Nazywam numery ludźmi oraz mówię o przyszłości. Te dwie kwestie sprawiają, że więźniowie chyba się rozluźniają. Kobieta podciąga nawet obozową bluzę, odsłaniając ramię. Wagner natychmiast robi jej zastrzyk. Odwraca się i sięga do metalowej misy po ostatni, przygotowany wcześniej specyfik.

– Od jutra będzie przysługiwała wam większa racja żywnościowa – mówi. – Wszyscy członkowie personelu szpitalnego mają ponadto dodatkowe uprawnienia. Są również rozpatrywani jako pierwsi na liście do zwolnienia za dobre zachowanie.

W momencie, gdy doktor nachyla się nad młodszym więźniem, starszy zaczyna konwulsyjnie drgać. Z jego ust toczy się piana, a oddech staje się świszczący niczym gwizdki kolejarzy. Nagle przechyla się na bok, pada najpierw na ławę, a potem na podłogę.

– Cholera!

Kobieta usiłuje zerwać się z miejsca, lecz nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Wtedy Wagner wykazuje się nadzwyczajnym refleksem. Dopada do młodszego więźnia, kiedy ten jeszcze nie do końca zdaje sobie sprawę, co się dzieje. Być może jest półgłówkiem, a może jego mózg zamroczył wysiłek, lecz dopiero teraz podnosi głowę. Spogląda na mnie pytającym, nic nierozumiejącym spojrzeniem. Otwiera usta, jakby chciał o coś zapytać. Wtedy Wagner wbija igłę w jego ramię. Chyba nie trafia, gdyż zamachuje się ponownie i dopiero teraz widzę strzykawkę sterczącą znad bluzy więźnia. Mężczyzna zrywa się z ławki, lecz doktor z całej siły popycha go na nią z powrotem. Więzień zatacza się, upada i wygina do tyłu głowę. Jego dłonie zaczynają walić o drewnianą podłogę jak płetwy ryby wyrzuconej na brzeg. Szarą

twarz wykrzywia okropny grymas, a z ust dobywa się piana ze śliny oraz krwi. Wydaje mi się, że odgryzł sobie kawałek języka. Drży konwulsyjnie, uderzając raz po raz głową w podłogę.

– Byle tylko nie uszkodził tatuażu! – krzyczę.

Wagner pochyła się nad nim i robi jeszcze jeden zastrzyk. Mężczyzna momentalnie zamiera w bezruchu. Jest już po wszystkim. U moich stóp leżą trzy martwe ciała. Doktor powoli wypuszcza powietrze i ociera pot z czoła.

– Dożylne działanie jest znacznie szybsze i pewniejsze – cedzi zdenerwowany. – Dokonując iniekcji podskórną lub domięśniową, ograniczamy działanie środka.

– W jakim sensie? – dopytuję, choć niewiele mnie to obchodzi. Sednem jest skutek.

Wagner metodycznie podnosi z podłogi igłę oraz strzykawkę. Chowa je do kieszeni fartucha.

– Może ich nie zabić lub spowodować bardzo długotrwałą agonię. Jak w tym przypadku.

Wzruszam ramionami.

– Dla mnie liczą się tylko tatuaże. Czy zedrże je pan z nich, gdy będą półprzytomni, czy martwi, nie robi mi żadnej różnicy.



### 39.

Skronie mi pulsują. Poszarpane myśli kołaczą się w głowie i mam wrażenie, jakby oczy miały mi wypaść z czaszki. Podobne napady zdarzają się co kilka tygodni lub miesięcy, lecz tym razem jest gorzej niż zazwyczaj. To przez te cholerne przytyki Karla. Choć przecież to popołudnie powinno mi całkiem przypaść do gustu. Wszystko potoczyło się tak, jak chciałam, i za paręnaście dni mogę spodziewać się doskonałego efektu. Jesteś ciekawa, co wymyśliłam tym razem? Przekonasz się. Cierpliwości, moja droga. Przecież chodzi o to, by zrobić niespodziankę.

Heloise zrywa się z krzesła, gdy wchodzę do pokoju bawialnego, lecz mijam ją bez słowa. Artwin spokojnie śpi w łóżeczku. Ma zaróżowione policzki i wilgotne usteczka. A tak niewiele brakowało, by był już tylko zimnym, sinawym ciałkiem, nad którym zapewne nie musiałabym wcale udawać rozpaczki. A jednak... Wiem, że rozpaczałabym w głębi siebie, bo chyba nieco kocham tego małego chłopca. Nawet gdy płacze. Czuję, że gdybym go wzięła teraz na ręce, sama poczułabym się lepiej, a ból głowy by minął. To dziwne uczucie. Przecież to dziecko nie ma żadnych terapeutycznych ani magicznych właściwości, a jedynie sprawiło, że moje hormony zabuzowały w nieznanym wcześniej rytmie.

– Artwin... – szepczę i jednocześnie mój głos sprawia, że przez głowę przetacza mi się szereg eksplozji.

Artwin wciąż śpi. Leży na plecach z zamkniętymi oczami i ułożonymi do góry rączkami. Obserwuję, jak koc na jego piersi delikatnie się unosi, po czym opada. Unosi się i opada.



Powinien mieć tu zupełnie ciemno. Ponoć dzieci śpiące przy zapalonym świetle wyrastają na tchórzy, a ich mózgi są w jakimś stopniu ułomne. Nieważne, czy mają miesiąc, dwa, czy pięć lat. Człowiek nie może bać się ciemności. Do momentu, gdy ogień pojawił się w jaskiniach, bardziej przypominaliśmy zwierzęce drapieżniki niż hałastrę potrzebującą światła, by dostrzec zagrożenia. To my byliśmy jedynym zagrożeniem dla stołt tego świata, a ogień nas utemperował. Tę teorię słyszałam z ust doktora Müllera, który zarzekał się, że istnieją dla niej niepodważalne dowody.

Wyprostowuję się i podchodzę do szafki nocnej. Kładę dłoń na włączniku elektrycznym, lecz wcześniej spoglądam na Heloise. W świetle można dostrzec nie tylko zagrożenie, lecz prawdę.

Mrugam, jakby to mogło pomóc mi zebrać myśli. Pilnie przypatruję się służącej. Kobieta ma około czterdziestu lat, jednak jest mocno doświadczona przez życie i przypomina znacznie starszą. Ma podkrążone oczy, ziemistą cerę oraz siwiejące włosy. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała za kolejne czterdzieści lat, o ile w ogóle dożyje tego wieku. Przybędzie jej nieco zmarszczek i właściwie nic więcej. Już teraz przypomina staruszkę. Przez chwilę zastanawiam się, czy to ona mogła komuś nagadać coś o mojej opiece nad Artwinem. Jest jedną z osób, do których miałam bezgraniczne zaufanie, i teraz, widząc w niej bezgraniczną uległość, nadal jej ufam. Nie zdradziłaby mnie. Nie rozniosłaby plotek ani nie nawymyślała mi za plecami.

– Eloise – zwracam się do niej, jak zawsze, ostrym tonem. – Przygotuj mi kąpiel. Moją ulubioną kąpiel – dodaję z naciskiem.

Spoglądam na podświetlony przez pojedynczą żarówkę abażur z tatuażem przedstawiającym słońce. To idealny motyw do pokoju

dziecięcego i gdy tylko go zobaczyłam, musiałam go mieć.  
Wyłączam światło. Teraz nie pora na strach.



## 40.

Rozbieram się i starannie składam ubranie. Nie lubię bałaganu, nawet gdy tkwię w nim sama. Kompulsywnie porządkuję rzeczy w swoim otoczeniu. Chaos rozprasza moje myśli. Chaos sprawia, że jeszcze mocniej boli mnie głowa.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Powinnam czuć ulgę, a nawet zadowolenie, tymczasem wściekłość wciąż rozsadza mi czaszkę.

– Jak długo jeszcze mam czekać?! – wrzeszczę w stronę drzwi.

Heloise guzdrze się z przygotowaniem kąpieli. W momencie, gdy wszystko jest gotowe, zawsze zaprasza mnie do łazienki. Wcześniej spędzam czas w niewielkiej garderobie, której ściany wyłożone są lustrami.

– Proszę o moment cierpliwości. Jeszcze tylko chwilkę.

Dlaczego ona jest taka spokojna? Jej łagodny, tak pasujący do jej fizjonomii ton, przyprawia mnie o mdłości. Czy mogłaby się podobać mojemu mężowi? Nie sądzę, to kompletnie niewyobrażalne, a jednak z nieznanego powodu nachodzą mnie wątpliwości. Czy Karl Koch, SS-Standartenführer, zwróciłby uwagę na szkaradną, posiwiałą czterdziestolatkę? Oczywiście, wydaje się, że Heloise ma zgrabne ciało, ale to wszystko. Jej twarz... Nie, nie, nie... Muszę przerwać te myśli. Przecież nigdy nie byłam zazdrosna. Nie przeszkadzało mi nawet, gdy uprawialiśmy seks w wiele osób, gdy widziałam, jak pieści moje przyjaciółki, gdy zabawiał się z nimi i...

Podnoszę wzrok i spoglądam na swoje odbicie. Mam nabrzmiałe, obwisłe piersi oraz pomarszczony brzuch. Moje uda są szersze niż kiedykolwiek. Po ciąży przerzedziły mi się włosy, ale wciąż

są niespotykanej jasnomiedzianej barwy. Poza kilkoma drobnymi zmarszczkami przy oczach nie dostrzegam żadnych oznak starości. Tylko kiedy zaczyna się starość? Jaki jest punkt zapalny, w którym możemy powiedzieć, że właśnie staliśmy się starzy? Nie sądzę, by wyznaczała go kartka zerwana z kalendarza lub cyfra na formularzu z wysługą lat. Starość ma wiele twarzy i jedną z nich na pewno są twarze dzieci. Jednak bycie matką to nie tylko obywatelskie wyróżnienie, ale przede wszystkim obowiązek prawdziwej kobiety.

– Matką... – szepczę, spoglądając na odbicie swojego brzucha. Dotykam go i gładzę.

Czy moja matka miała takie same dylematy? Ojciec kochał ją do samego końca, bez względu na przybywające kilogramy oraz siwiejące włosy. Nie sądzę, by jedno kiedykolwiek zdradziło drugie, lecz nie wiem, czy to dobrze. Chciałabym, aby o swoim życiu mogli powiedzieć, że przeżyli je najlepiej, jak umieli; sama na łożu śmierci chcę być o tym przekonana. Właśnie... Kiedy umrę? Kiedy nadejdzie mój czas?

Szlag.

Zaciskam pięść i uderzam nią w taflę lustra. Mierzyłam dokładnie w miejsce, gdzie odbijał się mój brzuch, lecz gdy się poruszyłam, trafiłam w odbicie piersi. Co za ironia!

– Szlag, szlag, szlag!

Heloise wpada do pokoju i przerażona spogląda na moją ociekającą krwią dłoń. Rozdziawia usta, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czego chcesz? – warczę. – Przygotowałam wreszcie kąpiel?

Nie krępuję się przed nią. Sycę się jej spojrzeniem przemykającym po moim ciele. Niech patrzy, niech zazdrości albo niech myśli, co tylko uważa. Mam to gdzieś.

– Proszę pani, przyniosę bandaż i...

Uderzam ją otwartą dłonią w twarz. Spogląda na mnie skrzącymi się, nabierającymi łez oczami, lecz zaraz odwraca spojrzenie.

– To za brak odpowiedzi na moje pytanie, rozumiesz?

– Tak.

– Więc?

Kiwa głową.

– Kąpiel jest już gotowa, proszę pani.

– Świetnie. Można tak było od razu, prawda? – Robię krok, uważając, by nie wdepnąć w okruchy szkła. – Posprzątaj tu, a jutro zleć, by w szklarni zrobiono nowe lustro. Musi mieć taki sam wymiar jak to stłuczone i niech oprawią je w starą ramę.

– Tak, proszę pani.

– Idź już, nie chcę cię widzieć.

Heloise posłusznie kieruje się do drzwi, lecz zatrzymuję ją wymownym chrząknięciem.

– Przyjdź za kwadrans. Wytrzesz mi ciało.

Nim znów usłyszę jej potulne: „tak, proszę pani”, trzaskam drzwiami. Wciągam zapach podgrzanej madery. Co miesiąc prosto z Portugalii sprowadzanych jest dla mnie kilka skrzyń wypełnionych butelkami. Uwielbiam kąpać się w winie, o ile Heloise zadba by miało odpowiednią temperaturę. Musi zostać podgrzane dokładnie do trzydziestu pięciu stopni, co zdaniem doktora Hovena najlepiej robi na ciało. Wchodzę do wanny i zanurzam się w maderze cała. Wraz z bolącą głową.



## 41.

Zapytasz, czy było nas stać na paczki z Paryża oraz Portugalii, czy komendant obozu koncentracyjnego mógł kolekcjonować dzieła sztuki i zapewnić żonie kąpiele w wannie pełnej madery. Odpowiedź oczywiście nie jest jednoznaczna. Jeśli zmuszono by mnie do odpowiedzi, powinnam powiedzieć, że nie wiem. Nie znam zarobków mojego męża ani jego źródeł finansowania. Nie powinnam o to pytać. Wiem, że ciężko pracuje dla Rzeszy i że robi, co w jego mocy, by zapewnić nam jak najlepsze utrzymanie. Mówiąc „nam”, mam na myśli również nasze dziecko.

To byłaby jednak dość ograniczona odpowiedź. Nie zawierałaby się w niej cała prawda, a tylko te jej fragmenty, które mogłyby mnie chronić przed odpowiedzialnością. Ponoć kobietom łatwo się wywinąć, zrzucając całą winę na mężów. Być może rzeczywiście tak jest.

Muszę tu wspomnieć o Odynie, szarym wilku hodowanym w obozowej zagrodzie na prezent dla któregoś z oficjeli. Zapewne wyda ci się to dziwne, jaki związek może mieć wilk z kąpielami w maderze oraz paryskimi perfumami? Życie bywa zaskakujące. Pozwól mi się wytłumaczyć.

Odyn był ulubieńcem mojego męża. Karl codziennie zachodził do niewielkiej zagrody, by obserwować postępy w tresurze. Te nie były imponujące, wilk okazał się wyjątkowo krnąbrny i mimo starań sprowadzonego specjalnie z obozu w Dachau opiekuna wciąż sprawiał wiele problemów. Co gorsza, usiłował się rzucać na ludzi – bez wyjątku, czy byłam to ja, Karl, czy ktokolwiek inny. Wobec tego mój mąż nakazał jeszcze intensywniejsze szkolenie,



ostrzegając tresera, że jeśli te zakończą się niepowodzeniem, osobiście się z nim rozliczy. Tych słów nie musiał okraszać żadnym dalszym komentarzem. Cezurę czasową stanowiła przy tym wspomniana już wcześniej zapowiadana z góry wizytacja obozu przez najwyższych oficjeli. Wilk miał być prezentem właśnie dla jednego z nich.

Wiedziona ciekawością wielokrotnie zachodziłam obserwować postępy szkolenia. Zdawało się, że Odyn zaczyna się uspokajać. Reaguje przynajmniej na niektóre komendy. Co prawda, nawet wtedy obrzucał wszystkich gniewnym spojrzeniem złotych, zimnych oczu, mimo to posłusznie ustawiał się przy nodze opiekuna – Kichnego (jednym z jego przywilejów było pozostanie przy nazwisku, a nie stanie się kolejnym numerem).

Czasem obserwowałam szkolenie przez lornetkę z platformy widokowej willi. Już zapewne zwróciłaś uwagę, że podglądanie innych osób z bezpiecznej odległości stanowiło jedną z moich największych pasji. Ludzie, nie wiedząc, że są obserwowani, zachowują się całkowicie naturalnie i pozwalają wyjść na wierzch swoim prawdziwym duszom. Prawdziwa dusza Kichnego była natomiast duszą pospolitego kryminalisty, który, jak sądzę, z wilkami mógł mieć tyle wspólnego, co ja z budową maszyn parowych. Nie ma w tym nic śmiesznego.

Doskonale widziałam, gdy któregoś popołudnia Kichne nie mógł zupełnie zapanować nad Odynem. Zwierzę było pobudzone i złe. Starzło się gryźć swojego tresera, a ten nieustannie osłaniał się skórzaną kapą, która służyła za barierę ochronną. To jeszcze mocniej rozjuszało wilka. Przyglądałam się tym zmaganiom przez dwa lub trzy kwadransy, dostrzegając narastającą złość na twarzy Kichnego. Ten wielki, postawny mężczyzna zdawał się być bliski płaczu. Widziałam, jak coraz częściej w dzikiej furii bije wilka

metalową pałką po nosie. Zwierzę odskakiwało, lecz wrodzona duma nie pozwalała mu na podkulenie ogona i podporządkowanie się. Walka jeszcze bardziej je nakręcała. Nakręcał się również treser.

Po dalszych kilkunastu minutach przepychanki Kichne nie potrafił się opanować. Cały dyszał i parskął. Gdy wilk po raz kolejny nie wysłuchał jego polecenia, wymierzył mu silny cios w tył czaszki. Zwierzę zważyło się na ziemię i zaczęło drzeć. Kichne natychmiast się nad nim nachylił, lecz nie mógł nic zrobić. Widziałam, jak rozgląda się wokół, nie wiedząc, czy ktokolwiek widział całe zajście. Tymczasem moja ciekawość nieustannie narastała i nie mogłam się doczekać, co teraz zrobi.

Tuż po tym, gdy z megafonów oznajmiono, że minęło południe, mój mąż wyszedł z budynku kancelarii. Od zagrody dzieliły go dwa rzędy baraków, które przesłaniały mi widok. Tylko przez chwilę widziałam, jak swoim szybkim, sztywnym krokiem kieruje się, by dokonać codziennej weryfikacji postępów szkolenia. Tymczasem Kichne musiał mu wyjść na spotkanie, gdyż nie było go już w zagrodzie.

Uśmiechnęłam się sama do siebie. Natura nas wszystkich jest nędzna i szkaradna. Choćbyśmy nie wiem, jak tego chcieli, nie ma w nas piękna. Potrafimy wydobyć szczytne instynkty, by zaimponować innym tak samo fałszywym i obłudnym. Zamiast tego powinniśmy pozwolić uwolnić się naszej prawdziwej naturze, a wtedy wszystko być może okazałoby się łatwiejsze.

Jeszcze kilkakrotnie sięgałam po lornetkę, lecz nie dostrzegłam już ani Karła, ani Kichnego. Zrezygnowana wróciłam do willi, by się przebrać. Nadchodziła pora mojej popołudniowej przejażdżki konnej i Bucefał musiał się niecierpliwić. Zawsze wesoło mnie witał, gdy tylko wchodziłam do stajni.

W momencie, gdy przechodziłam głównym korytarzem, otworzyły się drzwi. Rąbnęły o ścianę, a po chwili usłyszałam, jak Karl klnie na czym świat stoi. Skierowałam się w jego stronę. W pierwszej chwili pomyślałam, że zabił Kichnego, że właśnie uchodzą z niego emocje, lecz z bełkotliwych syków zrozumiałam, co się stało.

– Odyn... Odyn... – powtarzał raz po raz. – Ci cholerni Żydzi zabili Odyna. Kichne widział, jak jakaś banda przemknęła się z baraków i zatłukła go na śmierć. Ja im pokażę!

*Fragmenty tego oraz następnego rozdziału pochodzą z wycinków z przesłuchań Ilse Koch przed trybunałami.*



## 42.

Furia Karla nie miała granic. Nie wiem, czy spowodowała ją rozpacz po śmierci kochanego zwierzęcia, czy utrata doskonałego prezentu dla mających się zjawić ważniaków. To bez znaczenia.

Kilka godzin po tym, jak Kichne zatłukł Odyń, zwołany został pilny apel. Więźniowie mieli porzucić wszelkie prace i natychmiast stawić się na placu. Pojawiłam się na nim wraz z Karlem. Trzymałam się nieco na uboczu, przypatrując trupio bladej twarzy męża. Karl poruszał się jeszcze sztywniej niż zwykle i obrzucał wszystkich wściekłym spojrzeniem. Jego rysy były tak napięte, że widać było każdy mięsień poruszający się pod skórą.

– Cholerne bydło! – wrzasnął, gdy więźniowie ustawili się w idealnie równych szeregach. Przeczuwali, że coś się święci i kulili się w sobie jeszcze mocniej niż zwykle. Owszem, można się kulić, stojąc na baczność. – Pieprzona chołota, z którą należy jak najszybciej zrobić porządek.

W tłumie poniósł się krótki szmer, który ucichł niemal tak szybko, jak się pojawił.

– Doskonale wiem, że kryjecie wśród siebie bandytów, którzy zatłukli mojego wilka. Zapewne nie wydacie mi ich już teraz? A może będziecie na tyle rozsądni?

Karl stanął w lekkim rozkroku i chwycił za podbródek znajdującego się najbliżej więźnia. Ten zaczął się trząść, cicho coś bełkocząc.

– Śmieci! Zwierzęta niemogące zasługiwać nawet na miano podludzi. Degeneraci, których powinno się zbiorowo zatłuc, nim

przyjdzie im do głowy kolejny pomysł. Ale dobrze... Milczycie....

Mój mąż założył ręce za plecy i powoli, jakby nieco uspokojony, zaczął się ponownie przechadzać przed szpalerem więźniów. Przez minutę lub dwie na placu panowała zupełna cisza. Wreszcie zatrzymał się i z uśmiechem zwrócił do jednego z obozowych.

– Od dziś wprowadzam zakaz sprzedaży papierosów – oznajmił, pozbawiając tym samym więźniów jedyne przywileju. – Poza tym – uniósł w górę dłoń – wprowadzam dodatkową dyscyplinę. Może całodobowe ćwiczenia nakłonią was do współpracy.

Chciałabym widzieć w tamtej chwili minę Kichnego, lecz ten gdzieś się ulotnił. Być może to nawet osobiście Karl zezwolił mu na pogrążenie się w cierpieniu po stracie podopiecznego. Wydaje mi się, że zawsze był przekonany o szczerości oraz wiarygodności tresera. Odwrócił się na pięcie do adiutanta i na cały głos, tak by go wszyscy słyszeli, zarządził:

– Ćwiczenia należy rozpocząć niezwłocznie. Będą trwały tak długo, aż te dzikusy zdecydują się wydać odpowiedzialnych za śmierć wilka.



### 43.

Zapewne nadal się zastanawiasz, jaki jest związek historii Odyna oraz paryskich perfum i kąpeli w maderze. Pozwól mi to wyjaśnić nieco dokładniej, bez pośpieszania, nie chcę zostać pochopnie osądzona. W końcu już sama ta opowieść wiele znaczy. Płyń wprost z mojego wnętrza, a mogłaby nigdy nie rozbrzmieć, nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Wiesz, tam, gdzie jest dwóch świadków, nie istnieją tajemnice. Istnieje prawda oraz fałsz, ewentualnie fałsz zamienia się w powtarzaną z pokolenia na pokolenie legendę. Jeżeli jedna z tych dwóch osób milczy, prawda nigdy nie wychodzi na światło dzienne. Przynajmniej nie prawda tak kłopotliwa i skomplikowana. Wielu ludzi, którzy nie mieli z nią bezpośredniego związku, lecz łączyły ich z nią wyrzuty sumienia, zrobi wszystko, aby ją wykpić i zamienić w mit. Być może właśnie w ten sposób powstały historie o bogach Olimpu, o Walhalli i chrześcijańskim raju. Może w każdej z nich tkwi ziarno prawdy zamienione przez samego Szatana w ckliwą przypowieść.

Kompania karna liczyła prawie pięciuset więźniów. Wyselekcjonowano tych, którzy zdaniem mojego męża mogli mieć związek ze śmiercią Odyna. Chodziło przede wszystkim o osadzonych w trzech barakach, o pracowników obozowej szwalni oraz zaplecza technicznego. Jego zdaniem to wśród nich musiał kryć się morderca.

Widzisz, w tym przypadku prawdę znałam tylko ja oraz Kichne, który przecież nie mógł jej wyjawić pod groźbą utracenia nie tylko dobrej sławy, ale przede wszystkim głowy. Sądzę, że umierałby



długo i pokazowo, stając się jednym z odstraszaających przykładów zachowań, które w Buchenwaldzie nie były tolerowane. Intrygowało mnie, że znam jego sekret. Ta prawda istniała tylko między nami dwojgiem, choć Kichne o tym nie wiedział. Zapewne chełpił się przed lustrem sprytem i przezornością. Nie sądzę, żeby na widok głodujących od tygodnia pięciuset mężczyzn i kobiet dręczyły go wyrzuty sumienia. Był typem, dla którego liczy się jedynie własne przetrwanie. I być może właśnie dlatego czułam do niego nutę sympatii. A może nawet coś więcej...

– Kichne! – powitałam go w jedwabnym, rozpiętym szlafroku oraz koronkowej bieliźnie.

Zjawił się kilka minut po tym, jak jednemu z obozowych nakazałam go wezwać do siebie. Nie wiem, gdzie go odszukał, zdawało się, że treser ukrywał się przed całym światem, ale mojego zaproszenia nie mógł zlekceważyć. Był bardzo wysoki, postawny i miał pociągłą, prostokątną twarz. Przypominał nieco ilustracje Monstrum stworzonego przez doktora Frankenstein, choć jednocześnie było w nim coś uwodzicielskiego. Mocna szczeka? Bystre, błękitne oczy? Szeroki tors?

– Przekazano mi, że mnie pani wzywa, komendantowo.

Starał się na mnie nie patrzeć, stał w regulaminowej pozycji – na baczność, ze spuszczoną głową. Pod pachą ścisnął obozową czapkę.

– Słyszałam o niepowodzeniu ze szkoleniem wilka – odezwałam się, opierając o ścianę i splatając ręce na piersi. – Przykro mi.

– Szkolenie szło dobrze... – Kichne odezwał się bez pozwolenia, lecz nie zamierzałam mu przerywać. Miałam ochotę się dobrze bawić i jego kłamstwa stanowiły zasadniczy element tej zabawy. – Wszystko szło jak powinno, tylko... Ci cholerni Żydzi...

– Zabili go? Dlaczego?

– Nienawidzili go, bo czasem go na nich szczułem. Wie pani, komendantowo, w ramach szkolenia.

– W takim razie rzeczywiście mieli powód go nienawidzić.

Uśmiechnęłam się i powoli do niego podeszłam. Zatrzymałam się tuż przed nim, tak blisko, że na włosach czułam jego ciężki oddech. Dotknęłam jego klatki piersiowej, a Kichne drgnął.

– Jednak zdaje się, że nie tylko oni.

– Co ma pani na myśli?

– Nic takiego. Po prostu czasem obserwowałam, jak przebiega szkolenie Odyna, i zdaje się, że wilk nie robił należnych postępów. Jak to się mówi, nie dawał powodów do zadowolenia.

Kichne wyprężył się jeszcze mocniej, nerwowo oblizał wargi i nie pohamował westchnięcia. Przez chwilę milczał. Wreszcie odezwał się stłumionym, szorstkim tonem:

– Robiłem, co mogłem, komendantowo.

– Wiem, wiem. – Lekceważąco machnęłam ręką. – Właściwie od początku wydawało mi się, że to szkolenie nie ma najmniejszego sensu. Niektórych zwierząt nie da się opanować i właśnie w tym tkwi ich największy urok.

Wymownie poklepałam go w pierś.

– Niektóre zwierzęta są przystosowane do tego, aby dominować – ciągnęłam. – Aby wygrywać z innymi, mniej odważnymi lub samodzielnymi i spychać je w hierarchii natury na niższe pozycje. Rozumiesz, o czym mówię?

Po raz pierwszy zwróciłam się do niego personalnie. Kichne odchrząknął i bąknął coś pod nosem.

– Nie słyszę.

– Tak, rozumiem, komendantowo.

– Czy myślisz, że jesteś takim zwierzęciem?

– Nie wiem, ja... Tak, chciałbym nim być.

Przyciągnęłam jego twarz do swojej twarzy i namiętnie go pocałowałam. Tkwił przy tym niemal nieruchomy, nie wiedząc, jak się zachować. Wreszcie oderwałam się od jego ust, po czym chwyciłam go za dłoń. Położyłam ją na swojej piersi.

– Podobam ci się?

– Tak, komendantowo.

– Czy uważasz, że po ciąży jestem mniej atrakcyjna?

– Nie... Ja...

– Pokaż mi, jakim zwierzęciem jesteś, a może twój sekret nadal pozostanie sekretem.

Pokazał to kilka razy, przynosząc mi pełną satysfakcję. Po wszystkim mogłam wrócić do Artwina i spojrzeć na niego przychylniejszym okiem. Może to nie ze mną coś było nie tak, ale z Karlem? Tak, na pewno tak.



44.

– Więźniowie wystosowali do pana delegację, panie SS-Standartenführerze.

Karl przerywa obiad i spogląda na swojego adiutanta. Hermann Hackmann stoi w progu naszej jadalni, wyprostowany oraz gotowy w każdej chwili się wycofać. Zdaje się jednak, że mój mąż kazał mu o podobnej sprawie meldować bez względu na porę. Ociera usta serwetką i upija łyk wina. Przez chwilę przytrzymuje je w ustach, wreszcie przełyka i szeroko się uśmiecha.

– Wiedziałem, że w końcu się złamią.

– Zmarło kolejnych dwóch więźniów – raportuje Hackmann. – Jeden z wycieńczenia, drugi powiesił się w baraku.

– Dwa problemy mniej, prawda? – To pytanie Karl kieruje do mnie. Puszcza mi oko i ponownie odwraca się do adiutanta. – Czy przedstawili konkretne propozycje?

– Chcą rozmawiać jedynie z panem.

– Świetnie. Przyrowadź ich tutaj.

– Tutaj?

– Czy wyraziłem się niejasno? Jestem bardziej głodny, niż sądziłem.

Karl ponownie sięga po sztucce. Kroi sztukę mięsa, po czym bierze ją do ust. Wciąż ją przeżuając, zerka na Hackmanna.

– Dlaczego jeszcze tu stoisz?

Adiutant salutuje i pośpiesznym krokiem wychodzi. Przez jakiś czas słyhać stukot jego obcasów, wreszcie zapada cisza.

– Mam nadzieję, że drobna rozmowa nie będzie ci przeszkadzała? – Karl delektuje się kolejnym kęsem. – Czasem

należy działać szybko, nie rezygnując przy tym z przyjemności.

– Czy to jakaś aluzja?

– Nie, skądże!

Czasem mam wrażenie, że wzajemnie rozgrywamy gierkę, w której zasadach całkowicie się gubimy. A może ona nie ma żadnych zasad, lecz dorabiamy je w zależności od potrzeby. W każdym razie, spoglądając na Karla, czuję nieprzyjemny ciężar w żołądku. Czyżby dowiedział się o moim spotkaniu z Kichnem? Zresztą doskonale wiem o jego kontaktach z dwiema żydowskimi więźniarkami, co mogłoby zaprowadzić go na stryczek. Oto prawdy, półprawdy i fałszywe...

Nim cisza staje się krępująca, w głębi korytarza trzaskają drzwi. Słyszę czyjeś przyciszone głosy, a chwilę później do jadalni wchodzi dwóch ledwie stojących na nogach więźniów. Mają podarte ubrania, blade twarze i cali drżą. Ich skórę pokrywa pył z kamieniołomu, co przypomina mi o wydanym przez Karla zakazie korzystania przez więźniów z jakichkolwiek urządzeń sanitarnych.

– Macie równą minutę – oznajmia mój mąż. Nie przerywa przy tym jedzenia ani nawet nie zerka w stronę przybyłych.

Jeden z więźniów robi nieśmiało krok w naszą stronę. Pochyla głowę w czymś w rodzaju średniowiecznego ukłonu i odchrząkuje.

– Panie SS-Standartenführer, pani SS-Aufseherin...

– Do rzeczy. Zostało mniej niż pół minuty.

Więzień przestępuje z nogi na nogę. Zerka na towarzysza, po czym ukradkiem kiwa do niego głową. Dostrzegam te niemal niezauważalne gesty. Po wielu miesiącach spędzonych w obozie człowiek staje się wyczulony nawet na przelotne spojrzenia.

– W ustaleniu z więźniami poddanymi karze, wobec niechęci zgłoszenia się przez sprawców tego haniebnego czynu, chcemy

dokonać zadośćuczynienia.

Karl na moment przestaje przeżuwać i kątem oka łypie na więźniów. Trwa to jedynie ułamek sekundy, lecz wyraźnie widzę jego zainteresowanie.

– Co to za zadośćuczynienie? – pyta, siląc się na niedbały ton.

– Pięćset marek – wyjaśnia więzień. – To dwukrotna wartość wilka oraz zadowalające odszkodowanie.

– Tysiąc. – Karl rzuca to między kolejnymi kęsami. – Dopóki nie dostanę tysiąca marek, wszelkie kary zostaną utrzymane.

– Ale...

– Zjeżdżać mi z oczu, zanim każę do was strzelać.

Więźniowie zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Karl natychmiast odłożył sztucce i uśmiechnął się do mnie tryumfalnie.

– Widzisz? Zdaje się, że właśnie odkryłem sposób, w jaki możemy zarobić, jednocześnie wytrząsając z tego bydła poukrywane w dupach złote monety.

Jest z siebie cholernie zadowolony. Myślę, że ma do tego całkiem niezły powód. Kładę dłoń na jego dłoni i również się do niego uśmiecham.

– Imponuje mi pan, panie SS-Standartenführerze.

*Represje po śmierci wilka doprowadziły do fali samobójstw wśród więźniów. Z obozowego megafonu nadawano wówczas ironiczny komunikat z prośbą, by wieszający się wkładali do kieszeni kartkę z numerem lub nazwiskiem, by łatwiej było ich identyfikować.*





## 45.

Nadal coś między nami nie iskrzyło. Mimo że Karl znalazł sposób na wydobycie prawdziwego skarbu, nasze relacje były oschłe. Wiedziałam o coraz to nowszych karach zarządzanych w rozmaitych blokach. Coraz szybciej się okazywało, że więźniowie są w stanie wysupłać dwa, trzy lub więcej tysięcy marek, byle tylko móc palić papierosy i nie musieć cały dzień tarzać się w błocie. Skierowanie na karne roboty do kamieniołomów budziło tak wielki popłoch, że w ciągu paru godzin do naszego sejfu trafiały kwoty, za które można było kupić nie tylko paryskie perfumy i całe skrzynie madery, ale również odłożyć na przyszłość. W pewnym momencie nie wiedzieliśmy nawet, na co je wydawać. Kolekcja obrazów rozrosła się do takich rozmiarów, że pokryła niemal wszystkie ściany naszej willi, dobudowaliśmy kolejne pomieszczenia i te również zostały wyposażone od podłogi po sufit. Jednak człowiekowi jest zawsze mało, pewnie sama coś o tym wiesz?

– Wpadłem na pewien pomysł. – Karl składa na pół przeczytany przed chwilą list i zerka na mnie figlarnie. – Wiem, jak możemy zarobić znacznie więcej niż dotychczas.

– Jaki to pomysł?

– Zobaczysz. Chodź.

Odkłada list i daje mi znać dłonią, bym za nim poszła. Zerka na zegarek. Dochodzi szósta i zbliża się popołudniowy apel. Wychodzimy z willi, po czym kierujemy się przez niewielki placyk wzdłuż budynków administracyjnych ku barakom. Spoglądam po wieżyczkach strażniczych, w których w słońcu błyskają szkła

lornetek oraz lunet zamontowanych na karabinach niektórych żołnierzy.

Gdy mijamy wewnętrzną bramę, rozlega się sygnał wzywający na apel. Więźniowie wyrastają jak spod ziemi, ich fala wylewa się z baraków oraz przybywa od strony kamieniołomów. Poszczekiwanie psów zlewa się z dudnieniem kroków oraz krzykami SS-manów.

– Zobaczymy, jakimi są tchórzami – oznajmia Karl.

Przyśpiesza kroku i kiwa głową do jednego z podwładnych. Do tego samego, który doniósł mu ostatnio o puszcze farby rozlanej przez grupę żydowskich robotników. Kara musiała być surowa. Pięćset marek albo tydzień bez jedzenia oraz papierosów. Pieniądze oczywiście znalazły się niemal natychmiast tak, że zaczęliśmy podejrzewać, czy na terenie obozu przypadkiem nie utworzono jakiegoś funduszu wsparcia dla represjonowanych albo mennicy. Jednak co nas to obchodziło? Wyglądały autentycznie, więc musiały być autentyczne.

Jestem ciekawa, co chce zrobić Karl. Mijamy dwóch blokowych i przechodzimy wzdłuż formującego się szpaleru więźniów.

– Sprawę należy traktować ideowo. – Mąż łypie na mnie, jakby sondował moją reakcję. – Liczy się pozbycie niechcianego elementu, prawda? A jednocześnie wzbogacenie Rzeszy oraz zabezpieczenie jej interesów. Nic więcej.

– Do czego zmierzasz?

– Zdobyłem pewne kontakty, które zapewnią mi możliwość...

Ucina w pół zdania. Odchrząkuje i wyciąga z dłoni obozowego megafon. Przez chwilę spogląda po zebranym tłumie, uważnie lustrując wzrokiem kolejne twarze.

– Polityka Rzeszy wobec najbogatszych więźniów uległa zmianie – ogłasza bez ogródek, a jego słowa niosą się echem. – Milionerzy

powinni zgłosić się do mnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Być może ich układy na wolności będą mogły wpłynąć na skrócenie pobytu w KL Buchenwald.

Karl oddaje megafon obozowemu i spogląda na mnie spode łba. Uśmiecha się zawadiacko.

– To spore ryzyko – szepczę.

– Nie przejmuj się.

Odciąga mnie na bok i obejmuje. Dziwi mnie ten nagły przyływ czułości, lecz się mu nie opieram. Powoli schodzimy z placu apelowego, zupełnie niczym zakochana para udająca się na randkę.

– Jak myślisz, przyjdą? – pytam, opierając głowę o jego ramię.

– Przyjdą – odpowiada bez cienia wątpliwości. – Cień nadziei potrafi omamić każdego. Zresztą większość z nich nie ma tu nic więcej.

– A wtedy co zrobisz?

– Chyba nasza rywalizacja na zaskoczenia nie dobiegła końca, prawda?

Chichoczemy beztrosko, kierując się ku willi. Ja też mam coś w zanadrzu. Doktor Wagner wciąż pracuje nad moją niespodzianką, która powinna zadziwić świat.



## 46.

– Prowadziłem dwa przedsiębiorstwa zajmujące się produkcją tkanin oraz włóczek, do tego zajmowałem się wymianą handlową ze Skandynawami. Do dzisiaj posiadam spore pakiety akcji... Są ulokowane u mojej rodziny oraz w skrytkach bankowych. Część w Szwajcarii, ale nie tylko.

Karl znudzonym gestem przeciąga dłońmi po twarzy. Odchyła się w krzesło i zakłada ręce za głowę.

– Jak długo zajmie zebranie funduszy?

– To zależy.

– Od?

– Od kwoty oczywiście, drogi panie. Kiedyś byłem bardzo bogaty, ale gdy trafiłem do obozu, stałem się człowiekiem, który nie ma niczego. Tylko złudzenia i wyobrażenia o tym, co było.

– Masz rodzinę, a ja mam kontakty.

– Mam, mam i pieniądze też, choć już nie tyle, co dawniej.

Karl spogląda z pogardą na stojącego przed nim przygiętego do ziemi starca. Więzień ma krótkie, siwe włosy, haczykowany nos i głęboko osadzone oczy. Jest gotów zrobić wszystko, byle mój mąż mu pomógł. Przypatruję się temu z kąta pomieszczenia, siedząc w skórzanym fotelu. Nie odzywam się, jedynie obserwuję rozwój wydarzeń. Zdaje się, że Żyd mnie w ogóle nie zauważył.

– Dziesięć tysięcy – Karl lodowatym tonem wymienia kwotę.

Przez twarz więźnia przetacza się konsternacja, lecz zaraz zamienia się w skrywaną radość. Spokojnie można było zarządzać więcej, a ten gnój szybko uzbierałby całą sumkę.

– Na kiedy? – dopytuje drżącym głosem. – Zdobycie takiej kwoty potrwa, panie komendancie. To... To bardzo dużo. Może moglibyśmy negocjować?

– Dwanaście tysięcy – rzuca Karl.

– Ale... Panie kom...

– Trzy...

– Dobrze, dobrze. Proszę pozwolić mi wysłać listy, myślę, że wszystko uda się załatwić w ciągu co najwyżej dwóch tygodni. Czy to panu odpowiada, komendancie?

Karl wstaje, dając znać, że rozmowa została skończona. Nim Żyd odchodzi, sięga jeszcze do szuflady i wyciąga z niej kilka kart papieru listowego. Bez słowa podaje je więźniowi.

Spotkanie dobiega końca i w gabinecie zapada cisza. Karl odwraca się do mnie, wyciąga z kieszeni na piersi papierosy, po czym zapala jednego. Wypuszcza gęsty kłęb dymu ku sufitowi. A może raczej ku niebu.

*Dzięki rozległym układom Karl Koch za łapówki doprowadził do zwolnienia kilkunastu więźniów KL Buchenwald. Dla niektórych z nich zorganizowano transport na pokładzie statków płynących do Argentyny. O innych słuch zaginęło. Jeszcze inni, mimo przekazanych Kochowi pieniędzy, nie opuścili murów (czy też raczej drutów kolczastych) obozu. W ciągu kilku miesięcy majątek SS-Standartenführera wzrósł do ponad 60 000 marek.*



47.

Sprawa Odyna pokazała ci chyba, że naprawdę lubiliśmy zwierzęta. A może wydaje ci się, że podeszłam do jego śmierci całkowicie przedmiotowo? Owszem, zawsze należy zachować pewne wyrachowanie, jednak nie zmienia to faktu, że tresurę wilka podglądałam również dla przyjemności podziwiania dzikiego zwierzęcia. Z każdym dniem coraz bardziej fascynowało mnie piękno jego ruchów oraz giętkość sylwetki. Imponowało mi nieujarzmienie oraz odporność na ból zadawany przez Kichnego. Wilk, nawet wykonując jego polecenia, zachował godność osobnika stojącego na szczycie łańcucha pokarmowego. Bez względu na to, że człowiek miał możliwość zwyczajnie go zatłuc.

– Moja rodzina prowadziła pod Paryżem niewielki ogród zoologiczny – cedzi jeden z więźniów, którzy podali się za milionerów. To niski, zadziwiająco krępy jak na warunki obozowe mężczyzna. Spogląda raz na mnie, raz na Karła, co chwilę spuszczać wzrok. Wydaje się, jakby miał oczopląs. – Spieniężenie zwierząt nieco potrwa, szczególnie teraz...

– Lepiej, żeby ta gotówka znalazła się jak najszybciej.

– Czy nie mógłbym dać czegoś w zastaw? – skomli Żyd. – Zniknę tak, że nikt o mnie nie usłyszy. Wpisze pan do raportu cokolwiek, nawet to, że uciekłem.

– Żebym miał problemy? Z tego obozu uciec można tylko w jeden sposób.

Wymowny uśmiech na twarzy mojego męża nie pozostawia złudzeń. Tymczasem w mojej głowie rodzi się pewna myśl.

– Jakie zwierzęta są w tym ogrodzie zoologicznym? – pytam.



– Co, proszę?

Więzień przenosi na mnie spojrzenie i zaraz spuszcza głowę.

– A tak, tak... Zwierzęta. No więc jeszcze rok temu były tam dwie żyrafy, nosorożec, trzy lub cztery hipopotamy... Afrykańska klasyka, ale bez słońa. Słoń padł dwa lata temu na jakąś chorobę, której nazwy już nie pamiętam, ale objawiała się tym...

– Nie interesuje mnie choroba padłego słońa. Proszę wymieniać dalej.

Karl poprawia się w fotelu i zerka na mnie niecierpliwie. Mimo to bez słowa czeka, aż Żyd się namyśli.

– Był również niedźwiedź oraz jakiś egzotyczny rodzaj saren. Rysie, żbiki, borsuki. Poza tym... Ja nie pamiętam. Przepraszam, ale to wszystko mogło się zmienić.

– Lwy? – dopytuję.

– Nie, nie. Lwów nie było, gdyż sprawiają mnóstwo problemów z utrzymaniem. Potrzebują ogromnych wybiegów, a inaczej marnieją i padają. Kto by chciał oglądać wyleniałego lwa?

Mój mąż spleta ręce na piersi i głęboko wciąga powietrze. Wiatr uderza w szyby okien, przeciska się przez lufcik, po czym zawodzi pod drzwiami. Zbiera się na burzę. Na niebie kłębią się brunatne chmury w kształcie ogromnych, odwróconych kowadeł. Cumulonimbusy. Niedawno opowiadał mi o nich doktor Hoven.

– A więc zarabialiście na tym ogrodzie zoologicznym? – dopytuje Karl. – Ile?

Więzień kuli się i wzdycha. Niemal niezauważalnie wzrusza ramionami.

– Naprawdę nie wiem, panie Standartenführer. Zajmują się nim moi kuzyni, rodzina matki, ale bardzo mi oddana, więc wiem, że zrobią, o co tylko ich poproszę.

– Żydowska lojalność, co?

– Tak, panie komendancie.

– Dziwne, że ta cała reszta jeszcze nie siedzi w obozie. Właściwie mógłbym kazać ich wszystkich aresztować, a gotówka tak czy siak trafiłaby w moje ręce.

Żyd błagalnie unosi dłonie.

– Nie, proszę... Obiecuję, że zdobędziemy pieniądze tak szybko, jak to możliwe. To trudny interes, proszę mi wierzyć, dużo problemów.

– Dużo problemów. – Karl parska. – Ale ma się ten nos do interesów, co?

– Ja tylko... Nie wiem, pomagam im, napiszę list choćby teraz...

Wstając, przerywam ten bełkot. Podchodzę do męża i dotykam jego ramienia. Spogląda na mnie, marszcząc brwi.

– A może byśmy rozwiązali tę sprawę inaczej? – zagaduję, delikatnie się uśmiechając. – Wiesz, co mam na myśli?

Karl przygryza wargę. Powoli kiwa głową i nagle zaciera dłonie.

– Tak. Chyba tak. Dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić!



## 48.

Dokładnie czterdziestu dwóch więźniów, zamiast wylewać pot w kamieniołomach, zajęło się przygotowywaniem terenu pod niewielki ogród zoologiczny. Niwelowali nierówności, wznosili zagrody oraz oddzielali wybiegi. Prace szły gładko, być może dlatego, że Karl zgodził się na wzbogacenie ich racji żywnościowych o jeden skromny posiłek. Ponadto kilkakrotnie zarządzał rozdanie dodatkowych racji papierosów i kawy. Czasem trzeba naprawdę niewiele, żeby dodać ludziom sił, o które absolutnie by się ich nie podejrzewało.

Transport zwierząt przyjechał na tę samą bocznice kolejową, na której rozładowywano transporty więźniów oraz większych pakunków sprowadzanych przez nas z Europy. Wraz ze zwierzętami przybyło dwóch treserów, którzy dostali osobiste zapewnienia Karla, że pozostaną na wolności, a ich praca będzie wynagradzana tak, jak we Francji. Mimo tych symbolicznych listów żelaznych trzech pozostałych pracowników ogrodu nie zgodziło się na przyjazd. Moglibyśmy ich do tego zmusić, lecz woleliśmy nie robić wokół przedsięwzięcia zbędnego zamieszania. Wiedzieliśmy, że balansujemy na cienkiej granicy zgodności z prawem oraz narażania Rzeszy na stratę. Od czasu do czasu wewnątrz partii nazistowskiej odbywały się polowania na czarownice, przeprowadzano pokazowe procesy i przykładowo karano zdrajców. Z jednej strony nie robiliśmy nic złego, lecz z drugiej należało mieć się na baczności.

Ogród zoologiczny pochłonął znaczną część kwoty uzyskanej od więźniów mamionych wizją wolności. Stanowił

prywatną inwestycję, ale w znacznej mierze zlokalizowaną na terenie obozu. Ponadto lepiej było nie zdradzić źródeł jej finansowania. Wśród oficjeli było wiele osób, które Żydów wołały widzieć martwych, niż dopuszczać myśl, że żyją choćby te tysiące kilometrów stąd. Być może nie mieli odpowiedniego zmysłu do interesu, a może byli zaślepieni ideologią. Nie warto się nad tym zastanawiać.

Przybyłe zwierzęta na szczęście w większości były w dobrym stanie, a w trakcie transportu żadne z nich nie padło. O to martwiliśmy się najbardziej. Zrezygnowaliśmy z przewożenia nosorożca oraz hipopotamów, gdyż wymagały specjalnych warunków oraz pożywienia, z którego zdobyciem mielibyśmy problemy. Komplikacje są niepotrzebne.

Moim ulubieńcem niemal natychmiast został ogromny niedźwiedź brunatny, dla którego przygotowaliśmy osobny wybieg z terenem imitującym bagno oraz ogrodzonym fragmentem lasu. Niedźwiedź szybko się zaaklimatyzował i codziennie wieczorami obserwowaliśmy z Karlem, jak spaceruje po swoim królestwie. Wtedy też przychodziła pora karmienia, gdy podawano mu równo pięćdziesiąt kilogramów mięsa wieprzowego, ryb oraz tłuszczu. Była to racja żywnościowa dostarczająca tyle energii, co porcja dla prawie dwustu więźniów. Nie wiem, czy rzucając tę uwagę, doktor Wagner żartował, ale zdaje mi się, że nawet jeżeli, wcale nie był daleki od prawdy. Nie przeszkadzało mi to. Niedźwiedź był dla natury bardziej wartościowy niż banda kryminalistów oraz politycznych mataczy. Ta myśl podsunęła mi kolejną, którą niedawno podzieliłam się z Karlem.

Teraz stoimy na tarasie widokowym i z kieliszkami wina w dłoniach obserwujemy wybieg. Niespodziewanie nadeszła jesień, drzewa momentalnie oblekły się czerwienią oraz złotem, do

tego wiatr nabrał arktycznego chłodu. Niedawno minęła szóstka, a dzień już na dobre chyli się ku zachodowi. Wydłużone cienie sennie padają na błotnistą ziemię. Niedźwiedź jak zwykle przed porą posiłku krąży między drzewami. Wydaje z siebie ciche, niecierpliwe pomruki, jakby czym prędzej domagał się wydania kolacji.

Od strony dróżki prowadzącej do prowizorycznej bramki dobiega chrzęst kroków. Karl bierze mnie pod ramię i prowadzi na skraj niewielkiej platformy. W dole, pod nami, dwóch strażników prowadzi ślaniającą się, otumanioną więźniarkę. Doktor Hoven po południu podał jej środek, który miał zapewnić, że nie będzie się przesadnie opierała. Nie chodziło o jej całkowite spacyfikowanie, gdyż to odebrałoby jakąkolwiek przyjemność widowiska.

Żołnierze spoglądają ku nam, oczekując rozkazu.

– Jesteś gotowa, kochanie? – Karl przeciąga dłonią po moich plecach, a drugą wznosi kieliszek.

– Oczywiście. Nie mogę się doczekać.

– W takim razie...

Jedno skinięcie mojego męża przesądza los kobiety. Żołnierze otwierają bramę i popychają ją na wybieg. Więźniarka przez chwilę rozgląda się jak oszalała, przymierza do wskoczenia na niezbyt wysoki płot, lecz na widok wymierzonych w nią karabinów rusza w przeciwnym kierunku. Biegnie, lekko się zataczając. Nagle upada prosto w błoto, a lepkie pluśnięcie przykuwa uwagę wygłodniałego od wczoraj niedźwiedzia. Dopiero po chwili więźniarka dostrzega jego majestatyczną sylwetkę wynurzającą się zza linii drzew. Momentalnie zdaje sobie sprawę, dokąd trafiła. Podrywa się, usiłuje biec, lecz znów się przewraca, wzbudzając śmiech mojego męża. Śmieją się również obserwujący zajście żołnierze. Jeden z nich wciąż trzyma karabin, drugi oparł go

o ziemię i pochylił się nad płotem. Niczym widzowie w teatrze wszyscy starają się zająć najlepsze miejsca.

Niedźwiedź wydaje się zaskoczony obecnością tak dużego stworzenia na swoim terytorium. Najpierw na sztywnych łapach robi kilka kroków po łuku, wreszcie kieruje się na wprost usiłującej wstać kobiety. Środki podane przez doktora Hovena działają dokładnie tak, jak chcieliśmy.

Więźniarka podnosi się, utrzymuje równowagę, a z jej piersi dobywa się krótki, rwany krzyk. To błąd. Niedźwiedź strzyże uszami i przyśpieszonym krokiem rusza w jej stronę. Nagle zaczyna biec. Nie sądziłam, że o ciężale, potężne zwierzę może tak szybko się poruszać.

Kobieta przebiega kilka metrów, lecz jej nogi grzęzną w błotnistym podłożu. Stara się czołgać. Zapiera się łokciami oraz kolanami, już nie krzycząc, ale płacząc. Wyraźnie słyszę jej rozpaczliwy szloch.

Niedźwiedź momentalnie do niej dopada. Chwyta ją za szyję, odsłaniając wielkie kły. Aby wszystko widzieć dokładniej, przykładam do oczu lornetkę. Karl odstawia kieliszek na stolik i robi to samo.

– Piękny... – szepcze.

Niedźwiedź rzuca więźniarką jak szmacianą lalką. Kobieta przetacza się po ziemi kilka metrów, a jej strój nasiąka krwią. Mimo to udaje się jej przebiec do niewielkiej kępy krzaków. Liche gałęzie nie mogą jednak stanowić żadnego schronienia. Niedźwiedź tratuje je, po czym wywleka więźniarkę na otwartą przestrzeń. Nadeptuje ją, wbijając pazury w jej pierś. Kobieta szarpie się, lecz nie ma żadnych szans. Próba ucieczki kończy się pobudzeniem wściekłości zwierzęcia. Niedźwiedź głośno ryczy, po czym wbija zęby w ramię więźniarki. Dwa ugryzienia

wystarczają, by je odgryzł i odrzucił na bok. Z rany chlusta krew. Pobudzona adrenaliną kobieta krzyczy wniebogłosy, ostatkiem sił próbując odczołgać się na bok. Wtedy niedźwiedź dopada do jej karku. Wgryza się w niego i szarpie. Szmaciana lalka dosłownie rozpada się na kawałki. Wokół tryska krew i walają się strzępy ciała, ale niedźwiedź nie jest nimi zainteresowany. Pobudza go dzieło niszczenia. Rozszarpuje ubranie, niemal całkowicie obnażając zmasakrowane ciało. Gryzie i siecze pazurami gdzie popadnie – w pośladki, plecy, zwisającą na ścięgnach oraz fragmencie mięśni nogę, w pierś. Więźniarka w ciągu minuty zamienia się w bryłę poszatkowanego mięsa.

Słyszę, że Karl się odwraca i ciężko wzdycha. Odejmuję lornetkę od oczu.

– I tak musimy dostarczyć mu jedzenie – stwierdza, odchodząc w stronę willi. – To była bardziej zabawa niż kolacja...

– Ale powtórzymy ją – rzucam.

– Z pewnością.

*Zgodnie z relacjami więźniów niedźwiedziowi z prywatnego ogrodu zoologicznego Kochów codziennie lub co najmniej co kilka dni dostarczano ludzki pokarm. W ten sposób mogło zginąć nawet ponad stu więźniów obozu.*





## 49.

Bucefał niesie mnie jak zawsze łagodnie, całkowicie zgrany z moim ciałem i bezzwłocznie, lecz spokojnie reaguje na polecenia. Po galopie przez las jest nadal zdyszany, a na jego karku skrzy się pot. To była przyjemna przejażdżka. Za każdym razem staram się wybrać w nieco inną trasę, ale znam już wszelkie zakamarki i szlaki. Zaczyna się jesienna plucha. W puszczy jest coraz więcej obszarów podmokłych, niemal bagnistych, więc muszę nieustannie uważać, by nie zapędzić się w teren niebezpieczny dla konia. Obawiam się, że za tydzień lub dwa większość szlaków stanie się nieprzejezdna. W takim otoczeniu łatwo zrozumieć, dlaczego starożytne i średniowieczne kampanie wojenne zamierały na kilka miesięcy.

Dziki knieje Lasu Teutoburskiego rozciągają się ponad dwieście kilometrów stąd, ale dawna granica Imperium Rzymskiego oraz terytorium Germanów przebiegała całkiem niedaleko. Nie była to oczywiście równa linia, wyznaczona jak na dzisiejszych mapach, lecz w trakcie konnych wędrówek lubię myśleć, że przedzieram się tymi samymi śladami, którymi podążali Arminius i Odoaker, Ariowist i Wadomar. To spuścizna prawdziwej, germańskiej krwi. Szlaki wyrąbane w lasach mogą liczyć tysiące lat, gdzieś widać kładziony przez rzymian bruk. Wykopaliska archeologiczne potwierdzają, że niemal na całym tym terenie nieustannie trwały walki. Całe zastępy wojowników ginęły, oddając życie za władców oraz ideały. W co wierzyli? Nie chodzi mi o bóstwa, ale o to, za co tak naprawdę byli gotowi oddać życie. Za obietnicę pieniędzy, bezpieczeństwa

rodziny, lepszego świata po śmierci? A może bardziej przypominali zwierzęta, które do walki gna po prostu naturalny instynkt? Niezlomni, niezwycięzeni Germanie. Panowie puszcz i dawne źródło naszej krwi...

Niedawno Karl zastanawiał się nad posłużeniem się więźniami przy zakrojonych na szeroką skalę wykopaliskach archeologicznych. Można by odsłonić całe ogromne połacie terenu, odnaleźć ślady dziesiątek wiosek i tysięcy pochówków, przywrócić należną chwałę dawnym autochtonicznym ludom. Pomysł został storpedowany przez wyższe władze. Po pierwsze uznano, że więźniowie mogliby umyślnie niszczyć stanowiska i ukrywać przedmioty, po drugie, co raczej było dominującym powodem odmowy, brakowało właściwej kadry archeologicznej. Najwybitniejsi specjaliści pracowali w świeżo otwartych wykopaliskach na terenie dawnej Polski, we wschodniej Francji, a kilku pod auspicjimi Reichsführera Himmlera poszukiwało śladów german w Nepalu oraz Tybecie. Tysiącletnia Rzesza ma czas na dokonanie przełomowych odkryć. Należy w nie jedynie wierzyć, jak Schliemann wierzył w Troję oraz Mykeny.

Poganiem Bucefała, zmuszając go do ponownego galopu. Koń niemal natychmiast wrywa na przód i w pełnym pędzie wpadamy przez główną bramę obozu. Wokół nas wzbija się kurz. W tym miejscu ziemia zawsze jest sucha i ubita podszwami tysięcy drewniaków. Kilku więźniów w panice odskakuje na bok. Otrzymali zadanie uprzątnięcia tego kawałka terenu i w swej beznadziejnej walce zamiatają go wielkimi miotłami. Mogliby się poddać, ale większość z tych bydła woli stawiać opór. Chcą żyć, jakby ich parszywe życia miały jakąkolwiek wartość. Pędząc obok nich, spluwam, po czym nisko pochylam się w siodle. Bucefał rży nerwowo. Zataczam koło, spoglądam na wieżyczki strażnicze,

a potem zapuszczam się między barakami ku niewielkiej stajni. Poza Bucefałem boksy ma tam kilka koni służących do rozmaitych prac. O dziwo żaden z oficerów zakwaterowanych w obozie nie para się jeździectwem. Karl wręcz nienawidzi koni, uważając, że są zdradzieckie. Mimo to często obserwuje moje przejażdżki i akrobacje. Podobają mu się.

Kątem oka dostrzegam, że ktoś do mnie macha. Spinam Bucefała i się prostuję. Mrugam, starając się spojrzeć przez osiadły na rzęsach kurz. Doktor Wagner stoi przed swoją pracownią, paląc papierosa. To on usiłował zwrócić moją uwagę. Uśmiecha się wymownie i zamaszystym ruchem strzepuje popiół. Powoli podjeżdżam w jego stronę.

– Po twojej minie wnioskuję, że okres czekania wreszcie dobiega końca?

– Chyba tak – odpowiada dziarsko.

– Czy wszystko poszło zgodnie z planem?

Przez ostatnie tygodnie powstrzymywałam się przed jakimkolwiek podpytywaniem. Chciałam, aby doktor skupił się na swojej pracy i nie czuł żadnej presji. Wierzyłam w jego umiejętności.

– Wydaje mi się, że rezultat jest zadowalający.

Lubię powściągliwych mężczyzn. Lubię, jeżeli za ich skromnością kryje się ogromna pewność siebie. Zeskakuję z konia i przełykam pełną kurzu ślinę. Piasek trzeszczy mi w zębach. Kieruję się ku Wagnerowi, który kłania się kurtuazyjnie. Otwiera drzwi do pracowni i ruchem głowy zaprasza mnie do środka.

– Proszę wejść do mojego gabinetu.

W niewielkim holu jest kilka łóżek, na których leżą pacjenci. To wyłącznie więźniowie z rozmaitymi ranami oraz dolegliwościami. Znaczna część z nich odniosła obrażenia w kamieniołomie. Od

kilku tygodni dochodzą mnie słuchy o szczególnie niebezpiecznych wyrobiskach do pracy, w których kierowani są więźniowie polityczni. Nie wiem, po co marnuje się czas oraz środki na ich leczenie. Choć spodziewam się, że doktor Wagner potrafi ich odpowiednio wykorzystać.

Wchodzę do jego gabinetu i uważnie się rozglądam. Biurko jest puste, niewielki stolik również, następnie wiodę wzrokiem po szafce, regale, ale niczego nie widzę.

– Tam. – Wagner staje obok mnie i wskazuje dłonią w stronę drewnianego wieszaka. Jednocześnie drugą dłoń kładzie na moich plecach.

Przebiega mnie dreszcz podniecenia.



## 50.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Coś, co naprawdę robi wrażenie. Karl podnosi wzrok znad dokumentów i zamyślony kiwa głową.

– Będziesz musiał przyjść do mnie, do sypialni.

– Ilse...

– Będę czekała na ciebie za kilka minut. Daj mi jedynie chwilę.

– Ale...

Staję w progu i spoglądam na niego, gniewnie mrużąc oczy.

– Karl, czekam na ciebie w sypialni – cedzę. – Zdaje się, że się wyrażam jasno, ale jesteś moim cholernym mężem i twoim obowiązkiem jest...

– Dobrze, już dobrze.

Odsuwa dokumenty i rozmasowuje palcami skronie. Od kilku dni coraz więcej czasu poświęca jakimś sprawozdaniom, o których nie chcę nic wiedzieć. Spodziewam się, że będzie chciał o nich rozmawiać, więc pośpiesznie wychodzę z jego gabinetu.

– Dwie minuty – rzucam, przemierzając już korytarz. – Ani chwili dłużej!

Po chwili wchodzę do naszej sypialni. Zapalam światło, które rozbłyskuje pod abażurem z pięknie wytatuowanym motywem latarni morskiej oraz statku. Z wezgłowia łóżka spoglądają na mnie dwie miniaturowe, zakonserwowane głowy numerów, o których już zapomniałam. Z czasem człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja i przestaje zwracać uwagę na przedmioty, na które niegdyś niecierpliwie czekał. Wszystko staje się przeciętne. Jednak ja z pewnością nie zamierzam stać się przeciętną dla Karla. Nie pozwala mi na to moja duma oraz przeświadczenie, że

jestem kimś więcej niż jedną z przygód jego życia, które można zasufladkować z adnotacją „powrót niepożądany”. Nawet jeżeli mój mąż spełnia wszystkie moje zachcianki, jeżeli bez zająknięcia przewozi dla mnie spod Paryża całe cholerne zoo, i tak żądam od niego zainteresowania.

Rozbieram się i z przesadnym rozmachem spryskuję francuskimi perfumami. Podchodzę do łóżka. Sięgam po dzieło doktora Wagnera, po czym przez chwilę się mu przyglądam. Jest piękne. Jest naprawdę, cholernie piękne.

W momencie, gdy rozlega się pukanie, jestem już gotowa.

– Proszę! – zapraszam męża do środka.

Karl dziwnie nieśmiało wchodzi do sypialni. Najpierw nawet na mnie nie spogląda, zajęty rozpinaniem munduru, jakby jak najszybciej chciał przejść do rzeczy. Nagle podnosi głowę i wtedy zatrzymuje się oniemiały.

– Niech to diabli... – szepcze. – Czy to...

Kiwam głową.

– Podoba ci się?

Przeciągam się na łóżku i rozkładam nogi. Karl podchodzi do mnie z szeroko otwartymi oczami. Jak zawsze, zamiast zrzucić mundur, odkłada go równo na oparcie krzesła. Jednak nawet wtedy nie odrywa ode mnie wzroku.

Siada na łóżku i delikatnie dotyka mojej łydki. Prowadzi dłoń w górę, po udzie i ku biodrze.

– To mandala – wyjaśniam. – Dalekowschodni symbol nieskończoności i życia wiecznego. A to ponoć wzór znany jedynie jakiemuś afrykańskiemu plemieniu. Poza tym są fragmenty z motywami właściwymi dla amerykańskich Indian, dla Inuitów oraz plemion Australii.



Pręzę się, prezentując doskonale spreparowany strój uszyty ze skór siedmiorga więźniów. Składa się z fragmentów najciekawszych tatuaży opisanych przez doktora Wagnera w jego rozprawie. Kostium opina się na moim brzuchu oraz piersiach, odsłaniając jednak sutki i łono. Karl nie może się powstrzymać przed dotknięciem go i sprawdzeniem dłonią niezwykle delikatnej faktury.

– Pasuje do mojej cery, prawda? – pytam, wyzywająco się przeciągając.

– Tak, Ilse. I wiem, że niczego podobnego nie zdołałbym dla ciebie sprowadzić ani z Berlina, ani z Paryża. Tu mamy nasz raj. Cholera.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy całuje mnie długo i namiętnie.

*11 grudnia 1940 roku Ilse Koch urodziła córkę Gudrun. Dziewczynka zmarła po trzech miesiącach na skutek zaniedbań w żywieniu.*

*Po wyzwoleniu obozu w Buchenwaldzie amerykańscy żołnierze natrafili na fragmenty nadpalonego ubrania z ludzkich skór. Stanowiło ono jeden z dowodów w procesie przeciw komendantowej.*



## 51.

Odseparowanie więźniów ze względu na płeć to tylko teoria. W obozie płodzą i rodzą się dzieci. Wybuchają namiętne miłości, sięją się zdrady oraz toczą konkury. To świat w świecie, który stanowi jedynie lekkie wypaczenie tego, co na zewnątrz. Coś, jak odbicie w kropli wody lub w nieco pofalowanym lustrze.

Parę więźniów, która jest teraz przede mną, przyłapano na schadzce na tyłach obozowej szwalni. Jedno wyszło z belą materiału, drugie niby oddaliło się za potrzebą fizjologiczną. Ponoć tylko rozmawiali, ale ja nie mam wątpliwości, że to dwoje zakochanych, żalonych numerów, które chciały się plugawić, podczas gdy powinny pracować.

– No, przejdźcie do rzeczy!

Kilku stojących obok mnie SS-manów głośno się śmieje. Znajdujemy się w niewielkim pustym baraku, do którego przez okna wpada sporo światła. Więźniowie stoją zmieszani i przerażeni kilka kroków przed nami. On patrzy gdzieś w bok, ona wbija spojrzenie w podłogę z desek. On jest łysy, ona na czubku głowy ma meszek ciemnych włosów. Noszą obozowe pasiaki, podarte i brudne.

– Dalej, dalej! Jakby nas tu nie było!

Zaśmiewamy się, a ta dwójka nie wie, co zrobić. Zaczynają mnie drażnić. Ściskam uchwyt pejczy i ruszam w ich stronę. Nie zastanawiając się, z całej siły uderzam kobietę w twarz. Mężczyzna robi ruch, jakby chciał ją zasłonić, lecz w ostatniej chwili się zatrzymuje. Wie, że to bez sensu. Może ją uratować tylko w jeden sposób.

– Rozbieraj ją – nakazuję.

Zrezygnowany, potulnie rozpina guzik jej bluzy. Co rusz zerka jej w oczy, jakby szukał w nich przebaczenia, lecz wzrok kobiety jest pusty. Nie stawia oporu i jej twarz nie zdradza żadnych emocji. Nie płacze ani nie prosi, by przestał.

– Szybciej! – krzyczy jeden z SS-manów. – Szybciej!

Więzień ściąga z kobiety bluzę obozową i odsłania kościste, wychudzone ciało, niemal pozbawione kobiecych kształtów. Zamiast biustu z klatki piersiowej kobiety sterczą dwa przypominające męskie sutki. Widać jej każde żebro.

– Podoba ci się? – drwię. – Naprawdę ci się podoba? Rozbieraj ją dalej!

Kobieta zaciska usta i zaczyna szybciej oddychać. Po chwili jest całkowicie naga. Stara się zasłonić dłonią łono z takim samym meszkiem włosów, jaki ma na głowie.

– Zajmij się nią – nakazuję. – Zrób to, tak jak o tym marzyliście.

Więzień się waha, więc ponownie unoszę pejcz. Ostrzegawczo ze świstem przecinam nim powietrze.

– Czyżbyś nie miał ochoty? Patrzcie no, nagle mu się odechciało.

Śmiech wypełnia wnętrze baraku, a zawstydzenie kochanków staje się wręcz duszące. Mam dość tracenia czasu.

– Pieprz ją! – wrzeszczę.

Mężczyzna szepcze coś do więźniarki w niezrozumiałym dla mnie języku. Po chwili zgodnie kładą się na podłodze i wtedy widzę spływającą z oka kobiety łzę. Jakie to romantyczne. Robię krok w ich stronę, by móc wszystko lepiej zobaczyć.

– Raz, dwa, trzy!

Kochaś próbuje wejść w swoją oblubienicę, lecz jego męskość nie chce sprostać zadaniu. Cholerny impotent. Te bydlęta nie są zdolne nawet do tego.

– Śmieci! Może to wam pomoże!

Wściekła zaczynam okładać jego plecy pejczem. Uderzam pięć lub sześć razy tak, że tracę dech. Po zebrach mężczyzny ściekają strużki krwi, a leżąca pod nim kobieta już nie hamuje łez. Płacze, głośno chlipiąc. Nic z tego nie będzie.

– Zabierzcie to ścierwo – nakazuję. – Nie mogę na nich patrzeć.

*Liczne relacje ocalałych opisywały skłonność Wiedźmy z Buchenwaldu do nakazywania więźniom uprawiania seksu na jej oczach. Komendantowa często miała się przy tym onanizować i rzucać sprośne uwagi. To przez to osadzeni mieli jej nadać jeden z wielu przydomków: „Suka z SS”.*



## 52.

– Tym razem ja cię czymś zaskoczę.

Mam wrażenie, że nasza relacja opiera się już tylko wyłącznie na próbach wywarcia wrażenia na drugiej osobie. Nie ma w niej ani miłości, ani pożądania, co by nie było takie złe, gdyby substytutem nie stała się rywalizacja. A może to właśnie rywalizacja nakręcała nas od samego początku? Wzajemne ambicje oraz plany snute w oparciu o umiejętności drugiego?

– Mam zamknąć oczy? – pytam zalotnie.

Od wieczoru, gdy wystąpiłam w stroju uszytym ze skór więźniów, Karl spogląda na mnie z pewnym podziwem. Podejrzewałam, że będzie chciał się zrewanżować. Nie miałam jedynie pojęcia, w jaki sposób mógłby to zrobić. Co byłoby charakterystyczne dla jego sposobu myślenia?

– Nie musisz. Wszystko jest już gotowe.

– Wszystko?

– Zaraz zobaczysz.

Przez ostatnie cztery godziny jeździłam konno po okolicy, więc Karl miał sporo czasu na przygotowania, na czymkolwiek by one nie polegały. Teraz wprowadza mnie powoli po schodach od frontu willi. Stojący na warcie SS-man natychmiast mi salutuje. Staram się poznać po wyrazie jego twarzy, czy może wiedzieć, co mnie czeka w środku. Mina dwudziestokilkulatka jest jednak nieprzenikniona. Spojrzenie błękitnych oczu, zgodnie z regulaminem pada gdzieś w nieokreśloną dal, usta są zaciśnięte, a podbródek podniesiony.

– Myślisz, że mnie pierwszej skończą się pomysły? – pytam, stając na ostatnim stopniu.

Karl wzrusza ramionami i podchodzi do drzwi. Otwiera je, przepuszczając mnie przodem.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie sędzę, jesteś zbyt... jakby to ująć... nowatorska.

– Nowatorska? Naprawdę postrzegasz mnie w ten sposób?

Zatrzymuję się w progu, przeciągając chwilę odkrycia niespodzianki. Opieram się o framugę drzwi i przygryzam wargę. Nie zwracam uwagi na stojącego tuż obok żołnierza.

– W ten również. – Karl staje tuż przy mnie. Uśmiecha się bez cienia sarkazmu. – Całkowicie mi to w tobie odpowiada. Co więcej, zdaje się, że właśnie to jedna z cech, które cenię w tobie najbardziej.

– Pomysłowość? Nowatorstwo? – Teatralnie kręcę głową i przykładam palec do ust męża. – Powinieneś czasem zamilknąć. Tak jak wtedy, gdy...

Unoszę brwi, jakbym chciała nimi wskazać stojącego za mną wartownika.

– Są sprawy, które powinny zostać tylko między nami. – Chwytam Karla za dłoń i powoli przekraczam próg.

Nabieram powietrza, jakbym mogła w nim wyczuć, co też wymyślił mój mąż. Wieczorne światło wpada przez okno w głębi korytarza, jednak w domu panuje półmrok. Przez chwilę wsłuchuję się w dźwięki. Z oddali dobiega kwilenie Artwina oraz uspokajający głos Heloise. Poza tym wille zdaje się wypełniać całkowita cisza.

– Co mam robić?

– Po prostu idź. Nie zastanawiaj się nad niczym, tylko zachowuj, jakby wszystko było jak zawsze. Poniekąd zresztą tak jest.



– Co to za gierki, Karl? – dopytuję. – Masz dziwny ton.

– To może być naprawdę emocjonująca niespodzianka.

Nie wiem, czy w głosie mojego męża wyczuwam lekką drwinę, czy tylko się jej doszukuję. Po raz kolejny zżerają mnie wyrzuty sumienia. Przed oczami wyobraźni przewijają się Hoven, Kichne, Wagner... Dość. O każdym z nich Karl doskonale wiedział i nie miał nic przeciwko. Nasz układ jest całkowicie jasny. Był jasny od samego początku.

Powoli kieruję się w głąb korytarza, ku naszym prywatnym pokojom. Mijam wyjście na główną klatkę schodową, przejście do kuchni oraz pierwszą z kilku galerii obrazów. Oczywiście nie zwracam na żaden z nich najmniejszej uwagi.

– Karl, o co w tym chodzi?

– Nie podoba ci się, jak buduję napięcie?

– Nie chcę bezsensownie włóczyć się po domu, szukając, coś ty wymyślił. To nie na tym polega...

– Spokojnie, kochanie. To potrwa jeszcze tylko chwilę.

„To”, czyli co? Stan niepokoju? Niepewności? Moje domysły?

Serce zaczyna mi mocniej bić, a oddech przyśpiesza. Czuję, że na policzki wystąpiły mi pąsy. Podchodzę ku drzwiom do sypialni i je delikatnie popycham. Zawiasy cicho jęczą. Zasłony w oknach zostały spięte i w środku panuje niemal zupełna ciemność. A więc tu ukrył swoją niespodziankę. Ani Heloise, ani żadna ze służących nie ma prawa wchodzić do tego pomieszczenia, a ja zasłaniam portiery dopiero przed snaniem. Karl nigdy tego nie robi.

Wyciągam dłoń ku włącznikowi światła. Uśmiecham się, przekonana, że tajemnica wiąże się z którąś z lamp – co byłoby dość banalne. To mój pomysł i moja koncepcja.

Dotykam włącznika i w tym samym momencie przebiega mnie dreszcz. Zupełnie jakbym włożyła palec w gniazdko elektryczne.

Sypialnię wypełnia jasność, jednak nie zwracam już uwagi ani na abazury, ani na ludzkie głowy. Z szerokim uśmiechem oraz dudniącym sercem spoglądam na wymyślny włącznik. Zamiast przełącznika, w ebonitowej oprawie tkwi zakonserwowany, sztywny ludzki kciuk. To za jego pomocą włącza się i wyłącza światło. Obok jest kolejny, służący zapewne do zapalania kinkietu.

Karl zaśmiewa się wniebogłosy. Zgina się wpół, zacierając ręce jak szalony.

– Myślałem, że już nigdy nie zwrócisz uwagi na te włączniki! – Parska, ledwie hamując śmiech. – Wymieniłem je niemal w całym domu, a ty musiałaś dojść aż do sypialni.

Czuję, że schodzi ze mnie napięcie. Między nami wszystko jest we względnym porządku. I oby tak było jak najdłużej. A włączniki naprawdę mi się podobają.

*Choć wydaje się to niewiarygodne licytacja małżonków Kochów na wykorzystanie preparatów pozyskanych od więźniów trwała w najlepsze. Zakonserwowane kciuki służące jako włączniki światła zostały uwiecznione na fotografiach oraz były wzmiankowane w zeznaniach świadków w trakcie procesu buchenwaldzkiego.*



## 53.

Befehlsleiter Lange przybył w obstawie dwóch zastępców, sekretarki, z którą z pewnością ma romans oraz kota. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z nikim, kto w dwudniową podróż zabierałby ze sobą kota. To biało-rude kudłate stworzenie o złotych oczach natychmiast przypadło do gustu Artwinowi. Nakazałam, by Heloise czuwała nad dwójką, po czym zabraliśmy naszego gościa w dalszy obchód.

Lange zwrócił uwagę na kciukowe włączniki i mimo że był środek dnia, a zasłony rozsunięte, kilkukrotnie z wyraźną przyjemnością włączał i wyłączał światło.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – stwierdził.

– Prezent dla żony oraz kunszt naszego obozowego szefa patomorfologii.

– Nic nie może się zmarnować, prawda?

Lange jest wysokim, dość postawnym mężczyzną z delikatnymi rysami oraz nosowym sposobem mówienia. Porusza się szybko i giętko, jakby nieustannie się śpieszył. Jednocześnie kiedy na mnie spogląda, robi to w sposób przenikliwy, przypominający wzrok naukowców oglądających badany przedmiot. Technicznie jest zaledwie szefem struktur partyjnych na terenie, gdzie znajduje się obóz, jednak w praktyce jego wpływy sięgają Berlina. Ma mocną pozycję i rozległe znajomości, z których ponoć nie waha się korzystać. Dlatego w ciągu kilku lat z podrzędnego działacza stał się wszechwładnym namiestnikiem z całym aparatem pochlebców i karierowiczów. Mimo to uchodzi za człowieka uczciwego oraz skromnego, który nie toleruje gier politycznych.

Skomplikowane, prawda? Lubię ludzi skomplikowanych, lecz w Langem coś mi nie odpowiada. Jego uśmiech bywa nieco cyniczny, a prawdziwe emocje zdają się kryć za fasadą powściągliwości.

– Zwykła, nędzna ozdoba – odpowiada Karl. On również zdaje się nieco zmieszany postawą Langego, co zdarza mu się naprawdę rzadko. – Ale rzeczywiście, wolę ozdobić swój dom niż pozwolić temu zgnić w ziemi. Jestem do bólu praktyczny.

– Do bólu praktyczny... – powtarza Befehlsleiter.

– To chyba właściwe określenie, jak myślisz, Ilse?

Karl kieruje ku mnie spojrzenie mówiące, że ledwie ten człowiek przyjechał, a już ma go po dziurki w nosie, jednak zaraz odwraca się i kładzie dłoń na plecach Langego.

– Przejdziemy się? – proponuje. – Chciałbym pokazać panu obóz.

– Z chęcią, lecz najpierw...

– Tak?

Befehlsleiter nachyla się ku Karlowi i szepcze mu coś do ucha. Mężczyźni cicho się śmieją.

– Oczywiście. – Mój mąż wyprostowuje się i zakłada dłonie za plecy. – Dla wyjaśnienia, panie Befehlsleiter, nie mam tajemnic przed żoną. Ilse piastuje w obozie funkcję Aufseherin i wie o wszystkim, co się tu dzieje. To wzorowa, niemiecka kobieta pracy.

Lange przepaszająco unosi dłoń, ten wybuch szczerości Karla wyraźnie go zaskoczył.

– Proszę wybaczyć – zwraca się do mnie. – Nie chciałem utrzymywać żadnych tajemnic, lecz zazwyczaj są pewne tematy, których ze względu na wysmakowaną duszę kobiet, wolę przy nich nie poruszać.

– Duszę kobiet? – dopytuję.

Nie do końca odpowiada mi, by ktokolwiek wiedział, że jestem świadoma wszystkiego, co tu się dzieje. Mam nawet wrażenie, że Karl rzucił to umyślnie, nie mając jedynie na celu wyrażenia swojego uznania dla mnie.

– Ach, pani Aufseherin, jest wyjątkową kobietą z cechami, do których powinien dążyć ogół Niemek. Widzę, że jest pani wyjątkowo odważna.

Nie odpowiadam. Mierzę Langego lodowatym spojrzeniem. Karl przestępuje z nogi na nogę i głośnym odkaszlnięciem przerywa przedłużającą się ciszę.

– Pan Befehlsleiter chciał zobaczyć kamieniołom – rzuca wreszcie. – Chyba możemy już iść?



## 54.

Do jednej z odnóg kamieniołomu prowadzi „wąskie gardło” – mierzące kilka metrów przejście między ustępami skalnymi. W głębi mieści się jedno z najświeższych wyrobisk, do którego kierowani są specjalnie selekcjonowani więźniowie. Co kilka dni podczas porannego raportu mój mąż wydaje odrębny rozkaz wymarszu. Czasem zakazuje kierowania tam jakiejkolwiek kolumny, lecz wybiera jedynie niewielką grupę lub nawet pojedyncze osoby. Tak też stało się dzisiejszego ranka. Po południowej przerwie dwóch więźniów politycznych powinno już wrócić na miejsce. Praca w tym wąskim, ale stosunkowo długim odcinku wymaga ostrożności oraz uwagi. W każdej chwili bloki skalne mogą się osunąć.

– W ten sposób zginęło już kilkudziesięciu więźniów. – Karl uśmiecha się znacząco i wzrusza ramionami. – W ten albo w bardzo podobny. Sedno, że wynieśliśmy ich stąd nogami do przodu.

Befehlsleiter Langer kiwa głową. Wspinamy się po ostatnich wykutych w skale schodkach. Po chwili stajemy na szczycie kamieniołomu, skąd mamy doskonały widok na nowe wyrobisko. Znajdujemy się kilkadziesiąt metrów powyżej.

Karl podchodzi do skraju skarpy i wskazuje palcem w dół.

– Numery siedemnaście sto trzy oraz dwieście siedemdziesiąt dwa osiemset trzynaście – referuje. – Więźniowie polityczni, członkowie bojówki czerwonych, obaj ujęci w Berlinie w związku z przygotowaniem zamachu na władzę Rzeszy. Adnotacja „powrót niepożądany”, wie pan, co to oznacza?



Lange odpowiada pytaniem.

– Kto nadaje te adnotacje?

– To zależy. Właściwie staram się w to nie wnikać.

– I ci więźniowie...

Karl kiwa głową. Odwraca się do towarzyszącego nam SS-mana i gestem nakazuje mu podanie karabinu. Eskorta Langego została na dole.

– To robota czysta, a co najważniejsze, niezbędna dla państwa. Nie mamy funduszy, aby utrzymywać tych wszystkich wicherzycieli, a o jakiegokolwiek resocjalizacji nie ma nawet mowy.

– Jak wielu więźniów z podobną adnotacją przebywa w obozie?

– Około tysiąca.

– A było ich łącznie...

– Pewnie co najmniej około pięciu tysięcy. Należałoby sprawdzić w archiwum.

Lange w zadumie przygląda się więźniom. Jeden z nich pcha taczkę, a drugi wrzuca na nią kamienie. Nie widzą nas. Sądzę, że nie mają dość siły, by spojrzeć w górę. Poza tym w powietrzu unosi się gęsty pył, który musi utrudniać im patrzenie i oddychanie. Co chwilę słychać ich chrapliwy, rżący kaszel.

– Proszę. – Karl podaje karabin Langemu, a sam wyjmując z kabury pistolet. – To lepsze niż strzelnica. Poza tym nie ma się poczucia zmarnowanych nabojów.

– A inni więźniowie? – Befehlsleiter bez mrugnięcia okiem przeładowuje mausera, po czym przyjmuje pozycję strzelecką.

– Jeszcze chyba niczego się nie domyślają. Nie chcą trafić do tej części kamieniołomu, bo uważają, że często schodzą tu lawiny. Co również jest prawdą.

– Sprytne.

– Musimy być tu niezmiennie nowatorscy.

Mówiąc to, Karl znacząco zerka w moją stronę i się uśmiecha. Tak, wiem, co ma na myśli. Również odpowiadam mu uśmiechem.

– Pański będzie ten po lewej? – rzuca ku Langemu. – Czy woli pan garbusa?

Jeden z więźniów rzeczywiście jest przygarbiony i porusza się bardzo ociężale. Przypomina wyobrażenie Quasimodo ze starej okładki Hugo. Drugi stara się jak najwięcej pracy wykonywać za niego.

– A może chciałby pan sprzątnąć obu, panie Befehlsleiter?

Lange nie odpowiada. Wstrzymuje powietrze, po czym oddaje dwa strzały. Ich echo niesie się po okolicy oraz odbija od ścian kamieniołomu. Obaj więźniowie zastygają w bezruchu. Nagle na piersi jednego z nich rozlewa się plama krwi. Drugi przestępuje o krok, odwraca głowę i wtedy dostrzegam, że pocisk przeorał mu czaszkę, której pokrywa wraz z krótkimi włosami odpadła na ziemię. Mężczyźni niemal równocześnie padają z nóg. Mniej więcej w tym samym momencie cichnie echo wystrzału.

Przedstawienie skończone. Kurtyna w dół!



## 55.

– Ten człowiek wyjątkowo mi się nie podobał. Miałam wrażenie, że przez cały czas nas ocenia i analizuje.

– Jesteś nadwrażliwa, Ilse. To typowy partyjniak, a oni wszyscy są przesiąknięci dziwnymi nawykami.

– Mimo to... – Przetykam ślinę i sięgam po kieliszek wina. – Mimo to niepotrzebnie pokazywałeś mu głowy oraz abażury. Nie podobały mu się.

– Wydawało mi się, że jest pod mocnym wrażeniem.

– Nie. Widziałam, że tłumił w sobie jakiś gorzki komentarz. Podobnie jak wtedy, gdy zobaczył włączniki światła.

– Przecież bawił się nimi jak dziecko.

Karl jest naiwny. Czasem zastanawia mnie, w jak ograniczony sposób spogląda na świat. Nie dostrzega niuansów ludzkich zachowań. Traktuje innych z właściwą sobie prostolinijnością.

– Nie powinieneś mu również pokazywać kamieniołomu, a już na pewno dawać tego karabinu.

– Ilse...

– Zobaczysz. Mam złe przeczucie.

Mój mąż wybucha śmiechem. Sięga po wino i jednym haustem opróżnia cały kieliszek.

– Przecież sam ich rozwalił. – Ponownie sobie nalewa i zerka na trunek pod światło. – To były dwa komunistyczne bydłeta, którymi nikt się nie przejmuje.

– Nie w tym rzecz. Niektórzy... – Staram się ubrać myśli we właściwe słowa, aby Karl zrozumiał mnie jak najdokładniej. – Sądzę, że nie wszyscy akceptują proste metody. Wolą kluczyć,

zbierać papiery, a dopiero potem... Potem nie ma znaczenia, czy sprawa kończy się w krematorium, czy w kamieniołomie. Ale wcześniej musi być wszystko wyłożone na tacy i do raportu. Widziałeś, jak uważnie ten chłystek przyglądał się naszym obrazom?

Karl macha ręką i wstaje od stołu. Podchodzi do okna, po czym stawia kieliszek na parapecie.

– Pewnie interesuje się sztuką. To naprawdę zacna kolekcja.

– Tak, tylko że akurat on doskonale orientuje się, jakie wynagrodzenie przysługuje komendantowi obozu koncentracyjnego – stwierdzam cierpko. – I wie, że przepisy nakazują rozdysponowanie wszelkich środków pozyskanych od więźniów do budżetu państwowego.

– Ewentualnie budżetu SS – uściśla Karl.

– Nadal nie rozumiesz, co mam na myśli?

Odwraca się gwałtownie i spogląda mi prosto w oczy. Ma lekko zaróżowione policzki oraz zaciśnięte usta. Chyba moje słowa wreszcie do niego trafiły. Przechadza się wzdłuż okien, patrząc w podłogę. Nagle przystaje i potrząsa głową.

– Powinniśmy byli dać mu jedną lampkę z abażurem – oznajmia oschle. – Albo jakiś inny prezent.

Ach, Karl. Kiedyś twoja głupota zaprowadzi cię na stryczek.



## 56.

Idziemy z Karlem wzdłuż szeregu wyprężonych jak struny więźniów. Niektórzy z nich ledwie stoją, lecz zgodnie z regulaminem trzymają zdjęte czapki oraz wyginają na nasz widok plecy. Dziś nie zwracam na nich żadnej uwagi. Nie interesuje mnie, które twarze łączą się z ciałami uwiecznionymi w wagnerowskim opracowaniu o tatuażach. Chwilowo straciłam nimi zainteresowanie. Poza tym w głowie krążą mi inne, obecnie znacznie ważniejsze zagadnienia.

Obrzucam wzrokiem karną kompanię złożoną z pięćdziesięciu więźniów z bloku czternastego. Przed trzema dniami oskarżono ich o kradzież świni z obozowej kuchni, a jedyną słuszną karą był wyrok bezwzględnej głodówki aż do odwołania. Skierowano ich przy tym do pracy w kamieniołomach, podnosząc wymaganą wagę łupku, którą muszą pozyskiwać z wyrobiska. Ta banda prezentuje się wyjątkowo nędznie. Kilkoro z nich jest ukradkiem podtrzymywanych przez towarzyszy byle tylko nie upaść. Zadziwiające, że w przeciwieństwie do okresu sprzed paru miesięcy, teraz niewielu więźniów chce trafić do lazaretu lub ambulatoriów. Właściwie bronią się przed tym nogami i rękoma, co zapewne jest spowodowane krążącymi po obozie plotkami. Plotki rodzą plotki. Być może dlatego wśród kierowanych ku nam skrywanych łypnięć przerażenie miesza się z nienawiścią. I dobrze. Tak być powinno.

Unoszę szpicrutę i kilku więźniów stojących najbliżej natychmiast mruży oczy. Jak wytresowane zwierzęta boją się

uderzenia. Ze śmiechem przechodzę obok, ponownie ściskając szpicrutę za plecami. A właśnie, co do tresury...

Odwracam się do Karla i odzywam cichym, lecz stanowczym tonem:

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Mhm?

– Potrzebuję porządnych stajni, a nie tych nędznych boksów. W tych budach wstyd trzymać konia roboczego, nie mówiąc o konkursowym ogierze.

Karl spogląda na mnie i w zadumie marszczy czoło. Zastanawia się tylko przez chwilę, jakby wzniesienie stajni nie było niczym więcej niż zakupem cukierka.

– Myślę, że od południowej strony obozu znalazłoby się miejsce.

– Do stajni musi przylegać ogrodzony teren ujeżdżalni – dodaję.

– Chcę sprowadzić tu kilka dzikich, narowistych koni, nad którymi mogłabym popracować.

– Kilka koni? Skąd?

– Jeszcze nie wiem. Słyszałam o stadninie w Tyrolu, w której hodują konie podobne do amerykańskich mustangów. Do dnia sprzedaży niemal nie znają człowieka i nigdy nie mają na sobie siodła.

Karl gestem dłoni daje znać, że apel uważa za skończony, a następnie skręca ku budynkom administracyjnym. Podążam tuż obok. Na jego twarzy dostrzegam drwiący uśmieszek.

– Co jest? Co cię tak rozbawiło? – dopytuję, przyspieszając kroku.

Mój mąż szybko wbiega po drewnianych stopniach, które dudnią pod jego krokami.

– Dopiero wpadałaś w panikę, wieszcząc, że ten cały Lange sprowadzi na nas jakieś wyssane z palca kontrole. – Staje przed



drzwiami i kręci głową. – Jakby tu cokolwiek było do skontrolowania.

Wiemy, że jest. Doskonale zdajemy sobie z tego sprawę, lecz mimo wzajemnej szczerości Karl zdaje się nieustannie to kwestionować. Zaczynam wierzyć, że jest przekonany o celowości oraz słuszności wszelkich swoich działań. Może ma rację.



## 57.

Ujeżdżalnia jest naprawdę duża, jednak wciąż nie dostarczono mi tyrolskich koni. Bucefał jest wyraźnie znudzony próbami przyuczenia go do wołyżerki. Jest narowisty i krnąbrny, jednak nie mam serca go do niczego przymuszać. Jest dobry w czymś innym i tak musi pozostać. W tym świecie pełnym chaosu wszyscy mamy do spełnienia swoje konkretne role.

Na mój znak więzień przebrany w strój stajennego otwiera drewnianą bramę. W pełnym galopie wypadam na wąską ścieżkę i pędzę w stronę lasu. Bucefał wreszcie jest szczęśliwy. Kocha wolność tak samo mocno jak ja. Zadziwiające, że w trakcie obcowania ze zwierzętami potrafimy dostrzec w nich swoje cechy. Żałuję, że nasz dog jest już zbyt stary, by wybrać się na dalszy spacer lub popędzić za koniem. Jednak nas wszystkich czeka starość – ten ponury okres, gdy coraz mniej zdajemy się na własne pragnienia, a coraz bardziej na kaprysy innych. Pamiętam ojca...

Tętent kopyt niesie się po okolicy i staram się, by przeniknął moje myśli. Nie potrzebuję zmartwień oraz zbytecznych trosk. Jestem tu i teraz, trwam całkowicie szczęśliwa, a to, co będzie... Pal diabli. Pochylam się w siodle i niemal zanurzam w rozwianej, falującej końskiej grzywie. Wiatr szarpie mi włosy, a powietrze wyciska łzy z oczu. Zima wciąż nie nadeszła, więc możemy cieszyć się przejażdżką do woli. Być może po raz ostatni na kilka miesięcy? Na niebie zbierają się granatowe, niskie chmury, a rano świat przykrywał srebrzysty szron. Lada dzień z pewnością spadnie śnieg.

Zmuszam Bucefała do jeszcze większego wysiłku. Musimy wykorzystywać ostatnie szanse, aby pozostały w nas jako wyraźne wspomnienia. Mknijemy przez bezlistny las. Nagie drzewa wydają się odarte z jakiegokolwiek piękna, są zaskakująco powyginane i krzywe. Czy bracia Grimm nie opisywali właśnie tego miejsca? Jeśli nie, ktoś inny powinien to zrobić. Noc Walpurgi, czarownice, skrzaty, chochliki. Tak, wiem, że więźniowie nazywają mnie „Wiedźmą z Buchenwaldu”. Nie mam nic przeciwko.

Wypadam na szeroki dukt prowadzący ku bocznej bramie obozu. W oddali dostrzegam kolumnę obdartusów prowadzonych przez żołnierzy. Czyżby przyjechał kolejny transport jeńców z frontu wschodniego? Tak. Chyba tak. Tych nalanych, bydlęcych twarzy Sowietów nie da się z niczym pomylić. Spinam Bucefała i kieruję się prosto na nich. Żołnierze, znając moje zamiłowanie do tej niewinnej sztuczki, rozstępują się, z zaciekawieniem obserwując całą scenę. Dostrzegam ich jedynie kątem oka. Skupiam się na pełnym zgraniu z koniem. Przez te kilka chwil musimy stanąć z Bucefałem jedność.

Wpadam między więźniów, a Bucefał tratuje kilku z nich. Staje dęba i wtedy odrywam od lejc jedną dłoń, wznosząc ją wysoko w geście zwycięstwa.

– Niech żyje Tysiącletnia Rzesza – krzyczę, wzbudzając euforię żołnierzy.

Bucefał przysiada na zad, po czym gwałtownie się prostuje i robi wykop. Jego kopyta trafiają kolejnego jeńca. Niczym w zwolnionym tempie widzę wypadające zęby oraz bryzgającą krew.

– *Sieg Heil!*

Ponownie bodę konia w boki i kieruję się galopem w głąb leśnej głuszy. Za sobą pozostawiam krzyki przerażenia. Te bydlęta zapamiętają mnie, nim jeszcze dotarły do obozu. Muszą czuć szacunek do niemieckiej kobiety. Muszą się bać.

*Liczne świadectwa byłych więźniów KL Buchenwald opisywały rajdy Ilse Koch na jej ulubionym Bucefale, którym tratowała przypadkowych skazańców. Wiele osób miało wskutek tego zginąć, jeszcze więcej zostać ciężko poturbowanych. Ustalenie konkretnej liczby ofiar jest niemożliwe.*



## 58.

Gładzę dłonią najnowszy prezent od doktora Hovena – okrywający stół obrus zrobiony ze skór sześciu lub siedmiu więźniów. Dostrzegam podobieństwo dwóch tatuaży, choć zdają się pochodzić z innego fragmentu ciała. Rozróżniam faktury, wielkość porów oraz odcienie. Ponoć najlepsze skóry pochodzą od więźniów, którzy w chwili śmierci nie czuli ani bólu, ani strachu, są wtedy najmiększe i najbardziej gładkie. Nie wiem, czy mówiąc to, Hoven żartował, ale przecież mięso krów cierpiących w trakcie uboju jest niezjadliwe. Zdaje się, że to kwestia wydzielanych gwałtownie hormonów i specyficznego krwiobiegu. Człowiek różni się od krowy tylko tym, że potrafi swój ból ubrać w bełkotliwe słowa.

Karl siedzi naprzeciwko i pije czarną, mocną kawę. Dopiero minęła piąta, lecz tej nocy oboje nie mogliśmy zmrużyć oka. To dziwne. Niby nie wydarzyło się nic złego, nic, co mogłoby nas pobudzić lub odebrać sen, a jednak wierciliśmy się, by zerwać z łóżka pół godziny wcześniej niż zwykle.

– Są. – Mój mąż nagle unosi palec, dając mi znać, żebym nasłuchiwała.

Rzeczywiście gdzieś z oddali dobiega stukot równych kroków. Dziś nad ranem do obozu miał przybyć transport oficerów NKWD oraz rozmaitych radzieckich funkcjonariuszy. Zwyczajni żołnierze trafiali do stalagów na wschodzie. Ci, których kierowano do nas, mieli zostać odseparowani i traktowani wedle naszych metod. Dano nam w tym zakresie całkowicie wolną rękę. To już trzeci podobny transport, więc Karl przez ten czas wypracował ściśle procedury.

– Chcę iść z tobą – oznajmiam.

Przeciągam się i dojadam kanapkę z doskonałą francuską marmoladą. W tym czasie mój mąż poprawia mundur, po czym kieruje się ku wyjściu.

– Nie mogę czekać...

Zerka na mnie wymownie.

– Nie musisz.

Chwytam leżące na fotelu futro i narzucam je na koszulę nocną. Wkładam wysokie buty do jazdy konnej, które całkowicie zakrywają moje łydki. Uśmiecham się, a Karl z drwiną kręci głową.

– Chodźmy.

W holu już czeka jego adiutant, który salutuje nam obojgu. Po chwili w trójkę maszerujemy przez mgliste podwórze. Jest jeszcze niemal zupełnie ciemno, lecz niebo na wschodzie przeciera się fioletem. Więźniowie właśnie mają pobudkę i zgodnie z regulaminem składają jedyne meble swoich cel – proste prycze. Mogą się przemyć, skorzystać z nocników, a za chwilę będzie czekał na nich nędzny posiłek oraz rozwodniona kawa. To tutejsza codzienność.

W naszym życiu jest miejsce na pewną różnorodność i dziś, wbrew rutynie, Karl kieruje się ku tyłom jednego z głównych baraków. To w nim niebawem rozpocznie się wstępna selekcja jeńców. Część z nich zostanie skierowana do kamieniołomu, a część do rozmaitych warsztatów. Niektórzy trafią na przesłuchania. Szczególnie niebezpieczni zostaną dokładnie zważeni i zmierzeni. To właśnie na ten proces chce zdążyć mój mąż.

Hackmann rozumie go bez słów. W pewnym momencie odłącza się od naszej dwójki i kieruje się ku głównej bramie.



Przedstawienie po raz kolejny najwyższy czas zacząć.



## 59.

Kilka minut później wchodzę z Karlem do niewielkiego pomieszczenia, którego ściany zrobione są z kilku warstw cegieł. Znajduje się ono niemal na środku baraku, przylegając z jednej strony do „izby lekarskiej”. To w niej dokonuje się wszelkich pomiarów jeńców, których nazwiska zostały zakreślone w specjalnym, tajnym raporcie.

– Już są? – zastanawiam się, starając przeniknąć ciszę.

W pomieszczeniu, w którym się znajdujemy, nie ma światła. Nie może go być, aby nie przeszkodziło w realizacji zadania. Cały system został opracowany przez Karla po pewnych perturbacjach z jeńcami przybyłymi w pierwszym transporcie przed paroma miesiącami. To nie może się nigdy powtórzyć.

– Są, będą wchodzić pojedynczo.

– Ilu?

– Łącznie prawie pięciuset – wyjaśnia szeptem. – Na badanie skierowanych ma zostać trzydziestu jeden, wczoraj podpisywałem listę.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać.

Karl cicho odkasłuje, po czym słyszę, jak rozpina kaburę i wyjmuje pistolet. Przebiega mnie dreszcz podniecenia. W tym wszystkim jest coś niezwykłego. Pięć, dziesięć lat temu nie byłabym sobie w stanie choćby wyobrazić takiego miejsca i tego, co zaraz mnie czeka. To niemal szaleństwo. Oto tkwię w ciemnym lochu, będąc na samym szczycie łańcucha pokarmowego, na samym szczycie rozwoju natury, mając niemal nieograniczoną

władzę nad fragmentem wszechświata. Ja, Ilse Koch, dziewczyna z robotniczej drezdeńskiej rodziny...

Nagle słyszymy cichy stukot wybity w umówionym rytmie. Karl natychmiast, niemal bezgłośnie przesuwa gipsową przesłonę. Przez niewielki otwór widzimy tył głowy radzieckiego jeńca. Ma zmierzwione włosy w podobnym do mojego, miedzianym kolorze. Niczego się nie spodziewa. Któryś z lekarzy właśnie oznajmił mu, że musi ustawić się na specjalnej wadze oraz miarce wzrostu. Nie mógł mieć pojęcia, że element ściany za nią jest ruchomy i że czai się tam na niego śmierć.

Karl oddaje pojedynczy strzał, który niesie się głuchym pogłosem. Cegły dobrze go tłumią. Czaszka Sowietę pęka, mózg nieco się rozchlapuje, a wreszcie żołnierz pada na ziemię. Jeden z pielęgniarzy otwiera zapadnię pod wagą, zrzucając zwłoki na przygotowane niżej wielkie taczki. Drugi pielęgniarz niemal natychmiast wyciera z podłogi ślady krwi. W momencie, gdy pada komenda „następny!”, Karl zamyka przesłonę i przeładowuje pistolet.

– Szybko pójdzie – rzuca. – Ostatnim razem nie dotrwałem do końca.

Ostatnim razem więźniów skierowanych na ważenie była prawie setka. Po dwóch godzinach Karl obawiał się, że zmęczona ręka będzie mu tak drgała, że nie odda czystego strzału i będzie trzeba sprzątać zbyt wielki bałagan.

– Dziś będziemy się zmieniać – szepczę. – Daj mi broń.

Zgadza się bez słowa.



## 60.

– Chcę zorganizować przyjęcie. Dla wybranych oficerów oraz ich żon. Tak, żeby się naprawdę dobrze zabawić.

– Wiesz, że nigdy nie mam nic przeciwko.

– Ale chciałabym również, abys w nim uczestniczył.

Karl przewraca oczami. Zmierzamy właśnie przez pusty plac apelowy ku naszej willi. Heloise powinna lada moment przygotować wszystko do obiadu. Nie lubimy czekać i zawsze staramy się być punktualni. Tego samego wymagamy od służby. Czas to jedyna rzecz, której nie możemy sobie kupić, więc nie cierpię, gdy się go marnuje.

– Kiedy chcesz, żeby odbyło się to przyjęcie?

Wzruszam ramionami. Rozsuwam futro tak, że widać moje piersi, ale Karl nie zwraca na to uwagi. W przeciwieństwie do dwóch żołnierzy, którzy nam salutują.

– Wszystko mi jedno. Właściwie jak najszybciej, mamy zapas wina oraz szkockiej whisky, z innymi towarami również nie będzie problemu.

– Jestem przekonany, że masz już listę gości.

– Prawdę mówiąc... tak.

– Więc?

Karl spogląda na mnie wymownie. Wiem, o co pyta, i nie zamierzam niczego przed nim ukrywać.

– Chciałabym, żeby przyszedł Sturmscharführer Plank, wyjątkowo polubiłam jego poczucie humoru. Poza tym to szalenie przystojny mężczyzna.

– Lubię go. Dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków. Czy wy...

Mój mąż zawiesza głos, a ja kręcę głową.

– Nie, jeszcze nie. Chyba ciągle nie ma pojęcia, że wpadł mi w oko. A ty? – zmieniam odrobinę temat. – Upatrzyłeś sobie kogoś ostatnio?

– Nie bardzo. Wiesz, jak wygląda kobieca formacja... Te siksy, które przybyły tydzień temu, nie powinny mieć prawa nosić insygniów SS. To zbieranina średnio rozgarniętych chłopek z Prus Wschodnich albo jakiejś zapadłej prowincji. Wszystko, co potrafią, to głośno krzyczeć przy byle okazji.

– Może to przydatna umiejętność?

Puszczam do Karla oko, lecz ten tego nie zauważa. Zawsze rozmawiamy na tematy relacji szczerze i bez pretensji. Nasze małżeństwo wyewoluowało w tę formę zupełnie naturalnie. Nie było momentu przełomowego. Nie było kłótni lub długotrwałych ustaleń. Po prostu w pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że sobie nie wystarczamy, lecz dzięki temu możemy się przynajmniej tolerować. Rozwód byłby zanadto skomplikowany, a pozory życia prywatnego członków SS bywają czasem oceniane. Choć w ostatnich miesiącach nic podobnego nie miało miejsca. Najpierw postępy wojsk na wschodzie oraz dobra sytuacja na większości frontów doprowadziły do rozluźnienia obyczajów, a ostatnie symptomy pewnego przesilenia, podawane częściej z ust do ust niż przez oficjalne komunikaty, odebrały chęć weryfikowania członków najważniejszej formacji w Rzeszy. SS jest w tym momencie istotniejsze niż siły zbrojne. Ponadto Himmler ma ponoć decydujący wpływ na wszelkie decyzje Führera.

– Co, u licha?

Karl z irytacją sapie. Dopiero po chwili dostrzegam czarnego mercedesa stojącego na podjeździe przed naszą willą. Znajduje się przy nim dwóch oficerów. Już z odległości witają nas wyrzutem rąk. Mój mąż odpowiada im niedbale, po czym przyśpiesza kroku. Zatrzymuje się obok lśniącego, lecz upstrzonego błotem auta. Oficerowie wymieniają nazwiska, po czym jeden z nich wręcza Karlowi jakiś dokument.

– Co to?

– Proszę przeczytać.

Karl pośpiesznie przebiega wzrokiem tekst. Nagle wyprostowuje się, składa kartkę na pół i zerka na mnie. Jego twarz przybiera dziwny, nienaturalny wyraz. Zaciska usta, marszczy brwi, po czym ponownie zerka na przybyłych oficerów.

– To nieporozumienie. To jakiś kompletny absurd. Czy zdajecie sobie sprawę, że...

– Będzie pan mógł wszystko wyjaśnić, panie Standartenführer. My jedynie wykonujemy rozkazy.

– Karl, o co chodzi? – dopytuję, czując gulę rosnącą w gardle.

Mój mąż bez słowa podaje mi złożony przed chwilą dokument. Przyglądam dłonią kartkę i przypominam sobie, że wciąż mam rozchylony dekolt futra. Nie wiem dlaczego, ale w towarzystwie tych oficerów czuję nagły wstyd. Ukradkiem zapinam guziki, a następnie zaczynam czytać. Z każdym słowem robi mi się niedobrze.





## 61.

Okazało się, że przed bramą do obozu stał kolejny mercedes oraz ciężarówka pełna gestapowców. Ktoś bardzo się obawiał, żeby Karl nie stawiał przy aresztowaniu oporu. Zupełnie, jakby miał tu urządzić jakieś udzielne księstwo, do którego zdobycia Rzesza potrzebowała niewielkiej armii. Obaj oficerowie nie kryli ulgi, że oddaliśmy się w ich ręce dobrowolnie. Jeden wsiadł do auta ze mną, drugi poprowadził mojego męża. Mieliśmy jechać w różnych samochodach, zapewne po to, abyśmy nie mogli się kontaktować. A może pisany jest nam całkowicie inny los? Może już oceniono ciężar naszych win i okazało się, że w ogóle do siebie nie przystają? Cholera.

– Dokąd nas wieziecie? – pytam po kilkunastu kilometrach milczenia.

– Wie pani, że nie mogę powiedzieć, pani Aufseherin.

– Kto wydał rozkaz?

– Przecież widziała pani...

Oficer siedzący obok mnie na tylnej kanapie wymownie zawiesza głos. To młody, elegancki żołnierz, który w innych okolicznościach mógłby mi się całkiem podobać.

– Widziałam dokument podpisany przez Reichsführera, ale nie określono na nim, na czyj wniosek wszczęto postępowanie.

– To nie moja sprawa, pani Aufseherin.

– Czyli pan nie wie? – Umyślnie pomijam jego stopień. Spoglądam przy tym mu prosto w oczy, a on odwraca spojrzenie. Wydaje się zdenerwowany. Być może to jego pierwsza podobna misja lub pierwszy raz spędzony w aucie z kobietą. – Jestem

przekonana, że jednak pan wie, lecz po prostu nie chce mi zdradzić tego... sekretu.

– To nie sekret.

– Więc?

Oficer wzdycha. Ściąga czapkę i przeczesuje palcami włosy. Odwraca się w stronę okna.

– Befehlsleiter Lange oraz księżę zu Waldeck und Pyrmont.

Księżę zu Waldeck und Pyrmont... No, tak. Karl miał z nim od dawna na pieńku. Ten cholerny arystokrata patrzył na nas z góry, o mało nie pękając z napuszenia, że jego rodzina od dwudziestu pokoleń ma tytuł, parę majątków oraz krew o kolorze innym niż chłopi. A Lange... To również mnie zupełnie nie dziwi. Właściwie byłabym zaskoczona, gdyby postępowanie przed trybunałem SS mogło zostać wszczęte z inicjacji kogokolwiek innego. To pewna ulga. Obawiałam się, że pojawił się ktoś jeszcze, komu nie w smak było nasze życie. Żałośni zawistnicy.

– Macie nas aresztować? – dopytuję.

Oficer nadal w pełnym skupieniu spogląda za okno. Przesuwa się za nim ładny, pagórkowaty krajobraz. Ciężkie chmury suną nisko nad ziemią i w każdej chwili może spaść śnieg. Zdaje się, że jedziemy na północny wschód. Może nawet prosto do Berlina.

– Wierzę, że to będzie tylko formalność, pani Aufseherin. Kiedy wszystko zostanie wyjaśnione, natychmiast odwieziemy was z powrotem do Buchenwaldu.

– Lepiej byłoby nas w ogóle stamtąd nie ruszać.

– To był rozkaz.

– Rozkaz – parskam.

Wiem, że moje droczenie się nie może nic zmienić. Mimo to chcę pokazać temu chłopczkowi, że się nie boję. Żaden księżę ani

żaden partyjniak nie są w stanie mnie zastraszyć. Choćbym miała zeznawać przed trybunałem SS, wszystko wyjaśnię i nie mam nic do ukrycia. Niech ci, którzy złożyli przeciw nam donos, zasną się wstydzic. Porozmawiam o nich z samym Himmlerem, a jeśli to nie wystarczy, nie zawaham się wysłać listu do kanclerza. Nie pozwolę sobą pomiatać.

– Jak długo potrwa podróż? – Próbuję inaczej ugryźć temat.

Tym razem oficer w ogóle nie odpowiada. Ponownie zakłada czapkę i zamyka oczy. Opiera głowę o szybę, po czym niemal natychmiast zapada w drzemkę. A może jedynie udaje.



**62.**

## **WEIMAR, WIĘZIENIE GESTAPO**

– Nic nie wiem o działalności Standartenführera Karla Kocha. Choć to formalnie mój mąż, nie łączymy spraw prywatnych ze sprawami służbowymi. Zawsze kierujemy się regulaminem oraz dobrem Rzeszy. Jeśli chodzi o moje indywidualne zdanie czy też opinię, jestem przekonana, że Standartenführer Koch nie mógł działać na szkodę państwa i jakiegokolwiek posądzenie go o to jest zwykłym oszczerstwem. Swoje obowiązki zawsze wypełniał ze szczególną dbałością.

Przesłuchujący mnie gestapowiec, Kriminaldirektor Meiner, bębni palcami w blat biurka. Jego sekretarz z prędkością błyskawicy wystukuje kolejne litery na maszynie. Nigdy nie osiągnęłam w tym podobnej biegłości. Szczęk klawiszy wżyna mi się głęboko w mózg, ale nie daję tego po sobie poznać.

– No, dobrze, dobrze... – Meiner wzdycha. – Nie ma sensu przesadnie zgłębiać zagadnień, o których mówi pani, że nie posiadała wystarczającej wiedzy.

– Jest pan rozumnym człowiekiem, panie Kriminaldirektor.

– Staram się nim być.

Meiner w geście znudzenia przeciąga dłońmi po twarzy i rozmasowuje sobie skronie. Wreszcie wstaje od biurka, po czym podchodzi do sekretarza. Sięga po plik zapisanych kartek i zaczyna je powoli przeglądać. Z korytarza dobiega rozpaczliwy krzyk, który stara się zagłuszyć nerwowymi odchrząknięciami.

– Pani Aufseherin... – Podnosi na mnie wzrok. Wydaje się rzeczywiście zmęczony, nawet bardzo zmęczony, a jego spojrzenie

błaga, bym nie przeciągała tej rozmowy ponad miarę. Chce mieć wszystko załatwione.

– Tak?

– Niestety jest jeszcze sprawa... Dość delikatna ze względu na to, że opiera się po części na, powiedzmy wprost, plotkach.

– To nie jest dobra podstawa dla oskarżeń – parskam.

Meinerowi nie jest do śmiechu. Zakłada dłonie za plecy i podchodzi do okna. Zerka na niebo, obserwując gnane wiatrem chmury.

– Owszem, ale coś musi tkwić w słowach o publicznym znęcaniu się nad całymi grupami więźniów. Nad zbiorowymi ćwiczeniami, podczas których wielu z nich umiera z wyczerpania.

– I? – Dziwię się. – To nasi więźniowie.

– Takie metody nie są właściwe. Nie pochwalamy ich, gdyż mogą prowadzić do zbiorowego nieposłuszeństwa, a tego chcemy uniknąć za wszelką cenę.

Gniewnie uderzam dłonią w oparcie fotela.

– Zbiorowe nieposłuszeństwo? Chyba nie rozumie pan specyfiki funkcjonowania obozu. Zbiorowe nieposłuszeństwo zakończyłoby się w momencie, gdy strażnicy przeładowaliby cekaemy. Zapewniam, że ten dźwięk wybiłby z głowy jakąkolwiek chęć sprzeciwiania się władzom obozu.

– Przedstawiciele Rzeszy nie mogą uchodzić za sadystów i okrutników. Wiemy o ozdobach w waszej willi.

Te słowa wprawiają mnie w konsternację. Czyżby potraktowano to jako coś złego? Poza tym doskonale zdaję sobie sprawę, że Meiner nie ma na myśli obrazów ani drogocennych dywanów. Chodzi mu tylko o tych kilka przedmiotów wykonanych z tatuowanej skóry oraz o żydowskie głowy. Teraz przygląda się mi to tak, jakby chciał ocenić moją reakcję.

Niedbale wzruszam ramionami i wzdycham.

– Lange się pochwalił? Wyglądał na chłopca, który nieustannie ma zamiar się rozpląkać. Na widok naszych ozdób chyba zrobiło mu się nawet niedobrze.

– To nie jest kwestia oceny.

– Mówimy o naszym prywatnym domu – protestuję gwałtownie.

– Nie o pomieszczeniach administracyjnych lub takich, do których jest publiczny dostęp. Nie mówimy o barakach ani placu apelowym. Nikt nie ma prawa zwracać mi uwagi, w jaki sposób wyposażam swoją willę. Nikt nie ma prawa tego kwestionować!

– A jednak w tej willi organizujecie przyjęcia i zapraszacie gości, nie tylko z obozu.

– Te również mają charakter prywatny – torpeduję konstrukcję Meinera. – Całkowicie nieformalny.

– Czyżby? – Kriminaldirektor sapie rozczarowany, że rozmowa się przeciąga. – Przejrzałem rachunki, wśród których są te opiewające na niebagatelne kwoty. Wina, szampany, owoce morza z Normandii, kawior, chce pani powiedzieć, że to wszystko służyło celom prywatnym, a jednak zostało zakupione za państwowe pieniądze?

Cholera. Czuję, że zabrnęłam w ślepią uliczkę. Ten człowiek wie o nas znacznie więcej, niż chce powiedzieć, i znacznie więcej, niż sądziłam. Jak wiele? Gdybym tylko potrafiła to oszacować, mogłabym się właściwie bronić. Tymczasem szafuje niewyrażanymi wprost oskarżeniami, jakby czynił podchody do rannego zwierzęcia. Sprawdza, z której strony najlepiej je podejść, by nie mogło wyrzucić mu krzywdy.

– To jakaś kuriozalna nagonka... – cedzę. – Co mają nasze domowe ozdoby do działań mojego męża oraz moich? Jaki to przesłuchanie ma związek z wydajnością obozu?



Meiner wyprostowuje się i kiwa głową.

– Obóz funkcjonuje bez zarzutu.

A więc i to było weryfikowane. Nie mam wątpliwości, że Kriminaldirektor posiada niejeden raport dotyczący wszelkich aspektów działania KL Buchenwald. To ten cholerny książe i Lange musieli wziąć się na nas, choć nie mieli ku temu żadnego konkretnego powodu. Nie mogli mieć. Przyjmowaliśmy ich z należytą pompą i byliśmy na każde ich zawołanie, a oni odpłacali nam donosami. Mam ochotę splunąć.

Meiner widzi narastającą we mnie złość i odkłada kartki na biurko. Siada w fotelu, po czym powoli nabiera powietrza. Jego zmęczenie sięga zenitu.

– Powiem wprost, pani Aufseherin. – Z każdym słowem zniża głos. – Gdybyśmy chcieli się z wami rozliczyć, już byśmy to zrobili. Macie jednak poparcie najwyższych władz i nie zamierzam tego ukrywać. Część roboty, i pani, i pani mąż, wykonujecie naprawdę doskonale. Dlatego wolimy uniknąć skandalu, a wszelkie wątpliwości stłumić w zarodku. Żebyśmy nie musieli się spotykać ponownie. Rozumiemy się?

Muszę przemyśleć te słowa. Co dokładnie proponuje mi Kriminaldirektor?

– Czy chce pan zawrzeć jakiś układ? – dopytuję.

– Można to tak nazwać. Powiedzmy, że to jedyne honorowe wyjście nie tylko dla was, ale i dla aparatu państwowego.

Przebiega mnie lodowaty dreszcz.



## 63.

Nie, Kriminaldirektor nie proponował mi samobójstwa. Nie zostawił mnie w pokoju z odbezpieczonym pistoletem lub ampułką cyjanku. Oznajmił, że mój mąż zostanie przeniesiony do Konzentrationslager Lublin „Majdanek”. Nieoficjalnie była to najgorsza możliwa zsyłka, daleko na wschód, co gorsza do obozu uchodzącego za stanowiący udrękę dla całej kadry. Oficjalnie był to oczywiście awans oraz zaszczyt.

Może to się wydać dziwne, lecz w pierwszej chwili poczułam ulgę. Z Karlem łączyły mnie już od dawna jedynie czysto służbowe relacje, uzupełnione wzajemną rywalizacją o zaskoczenie drugiego. Żadnego uczucia, żadnej wizji przyszłości. Tylko interes. Dzieci również nie stanowiły problemu, miały zapewnioną opiekę i było im zupełnie bez znaczenia, czy pozostaną ze mną, czy wyjadą wraz z ojcem. Sądzę, że były mocniej związane z Heloise niż z nami.

Plany dotyczące mojej przyszłości były znacznie mniej skomplikowane. Miałam pozostać w Buchenwaldzie, na swoim stanowisku, jednak bezwzględnie wymagano, bym skończyła z wystawnymi przyjęciami oraz zamówieniami towarów z zagranicy. Zapowiedziano kontrolę dokumentacji obozowej oraz weryfikację stanu liczbowego więźniów z rzeczywistością. Zdaje się, że Gestapo wiedziało o kilku żydowskich milionerach, którzy przepadli bez śladu. Otrzymaliśmy wyraźne ostrzeżenie, lecz cała sprawa kończyła się względnie łagodnie. Wszystko dzięki niepodważalnym zasługom, jakie mieliśmy na polu zwalczania

niepożądanego elementu przybyłego z kolumnami jeńców ze wschodu. Rzesza nie zapomina zasług.

Po raz ostatni Karla widziałam na korytarzu weimarskiego więzienia. Był rozluźniony, uśmiechnięty i zdawało się, że całkowicie pogodzony ze swoim losem. Podszedł do mnie swym szybkim, stanowczym krokiem. Wziął moją dłoń i pocałował mnie w czoło. Poczułam przyływ smutku oraz krystalizującej się tęsknoty za czymś, co wkrótce mam utracić. Może nie kochaliśmy się, może nie tworzyliśmy doskonałej rodziny, lecz wbrew pozorom byliśmy ze sobą bardzo blisko. To skomplikowane.

– Zobaczmy się za jakiś czas. – Karl dotknął mojego policzka, jakby chciał otrzeć łzę, lecz wiem, że nie płakałam. – W Buchenwaldzie, Lublinie lub gdziekolwiek indziej.

„Choćby w piekle” – dodałam w myślach.

Myślę o tym, siedząc na tylnej kanapie starego horcha. Śmierdzi w nim tytoniem oraz potem, a kierowca nie jest nawet podoficerem. To zwykły żołnierz, który dostał rozkaz odwiezienia mnie do Buchenwaldu i który jest tym najwyraźniej rozdrażniony. Co kilkanaście minut odrywa wzrok od drogi, by zerknąć na pomiętą mapę sztabową. Nie odzywa się, jakby wiedział, że z mojej strony nie padnie żaden rozkaz. Choć formalnie jestem wolna, pozostaję więźniarką. W aucie jest chłodno, więc szczerzej otulam się futrem. Zaskakujące, że nie zwrócono uwagi na to, że nigdy nie pojawiałam się w mundurze. Może mężczyźni woleli patrzeć na mnie w takim stroju i odstępstwo od regulaminu im nie przeszkadzało. A może na długiej liście moich uchybień to jedno było całkowicie nieznaczące.

Czy spotkamy się w piekle? Czy za nasze zasługi czeka nas kiedyś nagroda? Zazwyczaj starałam się odegnać te myśli, jednak

teraz powracają raz po raz, wzbudzając we mnie dziwny niepokój. Czy zrobiłam coś złego?

Nieważne. Liczy się tylko to, by przeżyć życie jak najlepiej. Wierzyłam w swoje ideały oraz w ideały męża. Nigdy nie naruszyłam przekonań oraz nie splamiłam honoru SS. W przeciwieństwie do tych cholernych donosicieli, którzy rozczarowani własnym życiem, musieli nastawać na szczęście innych.

Wybudzam się z półsnu w momencie, gdy przejeżdżamy przez punkt kontrolny przed obozem. Kierowca prowadzi auto ku naszej willi. Widzę przed nim ciężarówkę oraz kilku żołnierzy wchodzących i wychodzących ze środka. Noszą rozmaite pakunki.

– Co, do cholery?!

Wyskakuję z auta, nim to się zatrzymało. Szybkim krokiem zmierzam w stronę willi, lecz na mojej drodze staje oficer z papierosem w ustach.

– Co tu się dzieje? – warczę. – Co ci ludzie robią w moim domu?

Oficer uśmiecha się i wyrzuca niedopałek na ziemię.

– Otrzymałem rozkaz zarekwirowania kolekcji obrazów znajdujących się w willi. Mają zostać spieniężone, a uzyskane pieniądze przekazane na fundusz SS.

– To moje obrazy. Kupiłam je razem z mężem i na wszystko mam dokumenty.

– Naprawdę?

Wściekła zagryzam usta. Te bohomyzy nie są warte tyle, co moje życie. Nie zamierzam się o nie kłócić ani drażnić sprawy, bo wiem, dokąd mogłaby zaprowadzić prawda. Niech je szlag. Nie żałuję ich jako przedmiotów, ale zawsze traktowałam je jako ewentualne zabezpieczenie przyszłości. Ponoć na rynku antykwarycznym mają ogromną wartość. A za pieniądze, wbrew temu, co mówią,

można kupić życie. Tego nauczyłam się przez miesiące spędzone w obozie.

*Większość buchenwaldzkiej kolekcji malarstwa zebranej przez Kochów zaginęła. Dzieła, często o ogromnym znaczeniu dla światowej kultury, mają status strat wojennych.*



## 64.

Rok czterdziesty czwarty włókł się niemiłosiernie, by pozostawić po sobie kompletny brak wspomnień. No, może z wyjątkiem tego, że towarzyszyło mi nieustanne poczucie upokorzenia. Kilka wymierzonych kar chłosty nie mogło dostarczyć właściwego pobudzenia. Doktorzy Hoven oraz Wagner musieli zaprzestać swojej działalności na skórach pacjentów, a choć kominy krematorium dymiły niemal nieustannie, nie brałam udziału w usuwaniu więźniów.

Nowy komendant, Hermann Pister, zabrał się za uporządkowanie sytuacji. W ramach struktur obozowych utworzył specjalne Komando 99, którego głównym zadaniem była eliminacja niewygodnych jeńców sowieckich. Zastanawiasz się, skąd ta nazwa? Sądzę, że doskonale pamiętasz o mojej stajni oraz o Bucefale. Pozbawiono mnie jej tak, jak i pozbawiono mnie kolekcji obrazów, części biżuterii oraz strojów. Owe dziewiątki to numer wewnętrzny do boksu, w którym utworzono miejsce straceń. Ironia historii spowodowała, że znaczna część przywożonych do Buchenwaldu enkawudzistów oraz partyjniaków trafiała do nas wprost z więzienia Gestapo w Weimarze. Nie doszukiwałam się w tym żadnego wyjątkowego znaczenia, lecz była to kolejna okoliczność, która sprawiała, że odczuwałam nieprzyjemną duszność.

Do egzekucji wykorzystywano dokładnie taki sam mechanizm, jaki opracował mój mąż. W stajni wybudowano oddzielne pomieszczenie z wagą oraz umieszczoną pod nią zapadnięą. Strzały zagłuszano głośną muzyką, a zwłoki natychmiast



przewożono wprost do krematorium. Strzelali dwaj znani mi jedynie z widzenia SS-mani, wyznaczeni bezpośrednio przez Pistera. Czasem, gdy widziałam nadchodzącą kolumnę Sowietów, miałam ochotę ruszyć do stajni i poprosić, by pozwolono mi wyeliminować choć kilka z tych ścierw, jednak honor oraz poczucie godności nigdy mi na to nie pozwoliły. Całymi godzinami wspominając dawne chwile, wpatrywałam się w dym ulatujący z kominów krematorium.

Z Karlem prowadziłam regularną korespondencję. Wymienialiśmy uprzejme listy, relacjonowaliśmy sobie bieżące wydarzenia oraz składaliśmy fałszywe wyrazy miłości. O dzieciach niemal nie pisywaliśmy. W tych krótkich, dość serdecznych wiadomościach żadne z nas nie mogło się skarżyć ani być w pełni szczere. Mieliliśmy pełną świadomość, że nasłani przez Langego oraz księcia ludzie uważnie śledzą nasze poczynania, czekając tylko na następne spotkanie. Musieliśmy się pilnować. Przynajmniej miałam nadzieję, że Karl to robi, a jego skłonność do hazardu nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Nie chciałam go o to pytać choćby między wierszami. W lecie do listów załączałam suszone kwiaty z łąk oraz leśnych polan Buchenwaldu. Wydawało mi się to miłym gestem oraz pewnym symbolem, na jaki niemiecka żona powinna być zawsze gotowa. Chciałabym, aby Karl choć na moment, czytając moje bazgroły, rozchmurzył się i pomyślał o mnie z przyjemnością. Miałam nadzieję, że tak jest. Przyszłość niebawem miała zweryfikować wszelkie przypuszczenia.



## 65.

Na polecenie Pistera Hoven oraz kilku innych lekarzy skupili się na eksperymentach przeprowadzanych z udziałem więźniów. Poszukiwano szczepionki na tyfus plamisty, którą wreszcie z powodzeniem uzyskano z płuc zwierząt. Mimo to nadal weryfikowano jej skuteczność oraz dopracowywano skład. Powstawały różne partie, które trafiały do jednostek SS na wszystkich frontach.

Zachodzenie do ambulatorium stało się jednym z moich nowych rytuałów. Większość lekarzy traktowała mnie jak niechcianego gościa, więc zjawiałam się tam głównie wtedy, gdy miałam pewność, że przypada zmiana Hovena. Tak jest i teraz.

– Czy wiadomo coś o sytuacji na wschodzie?

Doktor zadaje to pytanie niemal za każdym razem. Wiem, że na froncie białoruskim ma brata, od którego nie otrzymał od dawna żadnych wieści. Muszą być ze sobą bardzo zżyci, bo przez ostatnie tygodnie postarzał się o wiele lat. Mam wrażenie, że spodziewa się, iż przekażę mu informację o ewakuacji Majdanka lub o tym, że Sowieci przekroczyli Wisłę. Tak naprawdę nikt z nas nie zna prawdziwego obrazu sytuacji.

– Niestety... – odpowiadam, po czym pokrzepiająco klepię go po plecach.

Hoven trzyma w dłoni słoik, a na lewo od niego siedzi przywiązany do krzesła, kompletnie nagi mężczyzna. Mimowolnie stwierdzam, że na ciele nie ma żadnych tatuaży. Szkoda. Międli wepchnięty do ust knebel oraz wytrzeszcza oczy. Zdaje się, że przypuszcza, co się z nim stanie za moment.

- To już końcówka. – Doktor rzuca ni to do niego, ni do mnie.
- Kończówka? Czego?

Wymownie na mnie spogląda i zaciska usta. Tak, wiem, co ma na myśli, choć nie dopuszczam tego do świadomości. Wojny to nieustanne sinusoidy. Pasma zwycięstw zamienia się w pasmo klęsk, by finalnie przynieść ostateczny tryumf. Do tego potrzeba ofiar, wysiłku oraz determinacji.

Hoven odkręca słoik i podchodzi do więźnia. Potrząsa nad nim naczyniem, wytrząsając ze środka setki insektów. Te przywierają do nagiego ciała, po czym zaczynają po nim leniwie pełzać. Część wpada do miski z wodą, w której ustawione jest krzesło powstrzymujące insekty przed rozlezieniem się po pomieszczeniu. To prowizorka pozwalająca utrzymać teoretyczną sterylność warunków eksperymentu.

Więzień zaczyna się szarpać i miotać, jednak więzy zbyt mocno krępują jego ciało, by zdołał się uwolnić. Jego oczy wytrzeszczają się jeszcze mocniej. Zasysa knebel, którymi niemal się dławi. Przez chwilę Hoven go obserwuje, zastanawiając się zapewne, czy nie powinien czegoś zrobić, lecz ostatecznie całą uwagę skupia na niemal opróżnionym słoiku. W środku pozostała jedynie warstwa pełzających po sobie robaków.

- Są zakażone – wyjaśnia mechanicznie. – Jednak nie możemy ocenić, jak wiele z nich i czy w wystarczająco mocnym stopniu. To utrudnia systematyzację prac.

- Słyszałam, że zrobiliście pewne postępy? Szczepionka miała trafić na front...

- Tak, zdaje się, że tak się stało.

- Czyżbym wyczuwała wątpliwości? To sukces, z którego należy być dumnym.

Hoven zakręca słoik i odstawia go na szafkę.

– Moim zdaniem badania powinny być kontynuowane. Ostatnio zmusza się nas do zbyt szybkiego działania i bazowania jedynie na pobieżnych wynikach badań. – Bezradnie rozkłada ręce. – Co by się stało, gdyby ze szczepionką wiązały się skutki uboczne? To mogłoby się przełożyć na sytuację na froncie, ale nikt zdaje się tym nie przejmować. A już na pewno nie dowództwo.

– Czy on umrze? – pytam, wskazując głową więźnia.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie, bo wstępne wyniki były całkiem obiecujące.

– Ilu?

– Mówimy o statystyce?

– Tak.

Hoven odruchowo sięga do szafki, w której zapewne przechowuje ostatni raport. Mimo to nie wyciąga go, lecz referuje z pamięci.

*Według danych zebranych przez rozmaite komisje w trakcie badań nad szczepionkami (m.in. na błonicę, dezynterię, gruźlicę tyfus plamisty, zgorzel gazową) w Buchenwaldzie zmarło ponad stu więźniów. Kilkukrotnie więcej poniosło śmierć w wyniku eksperymentów dotyczących rozmaitych chorób oraz lekarstw. Starano się przeprowadzać również terapie homoseksualistów oraz osób chorych psychicznie. Sprawdzano możliwości dokonywania transfuzji przeterminowanej krwi.*



## 66.

Jesienią otrzymałam list, w którym Karl informował mnie o powtórnym aresztowaniu. Wiedziałam, że mógł mi zdradzić w nim jeszcze mniej niż dotychczas, jednak domyśliłam się, że ponownie chodzi o defraudację majątku państwowego. Jednym słowem powracała sprawa obrazów, gotówki otrzymanej od więźniów oraz części pozyskanych od nich precjozów. Przynajmniej nikogo nie interesowało wykorzystanie ich zwłok. Mimo to ja również zostałam dwukrotnie przesłuchana przez psa gończego Gestapo, a potem sędziego SS, Konrada Morgena.

– Szczegóły działalności mojego męża nie są mi znane. Nie wiem, jak wysokie były jego zarobki ani jakie kwoty przeznaczał na życie. Nie ukrywaliśmy naszych dochodów i, o ile mi wiadomo, nie posiadamy zagranicznych kont. Wszelkie oszczędności przechowujemy w Banku Rzeszy. Jeżeli Karl posiadał jakikolwiek inny rachunek, nic mi o tym nie wiadomo i nigdy nie odniosłam z tego tytułu żadnej korzyści.

To było sformułowanie, które na rozmaite sposoby wypowiedziałam kilkadziesiąt razy przed różnymi oskarżycielami. Konsekwentnie odmawiałam odpowiedzi na większość pytań, aby nie zaburzyć wydźwięku tej przemowy. Grałam wierną i oddaną żonę, która z wszystkich sił stara się bronić honoru męża. Jeżeli popełniałam jakikolwiek błąd, jeżeli narażałam się na niełaskę śledczych, robiłam to tylko z oddania dla niego. Jednocześnie nie dopuszczałam myśli, że moje działania w jakikolwiek sposób mogą zaszkodzić Tysiącletniej Rzeszy. Zawsze przyświecał mi jeden cel – służba ostatecznemu zwycięstwu. Jestem przekonana,

że ten sam cel przyświecał każdemu postępowaniu SS-Standartenführera Karla Kocha i że nigdy nie uchybił on godności munduru.

To był straszny okres. Nim spadł pierwszy śnieg, zakazano mi opuszczania Buchenwaldu oraz odebrano część uprawnień służbowych. Nie zostałam zdegradowana ani przeniesiona, lecz stałam się kimś w rodzaju skazańca na areszt domowy. Żadnych przejazdów konnych, żadnych kontaktów z wyższą kadrą obozową, żadnych rautów.

Już nikt nie ukrywał, że front zbliża się z dnia na dzień. Do obozu przyjeżdżało coraz mniej transportów z jeńcami radzieckimi, a działania dowództwa obozu stawały się coraz bardziej chaotyczne. Uporządkowany dotąd Pister wydawał się kompletnie zagubiony. Widziałam ciężarówki podjeżdżające pod krematorium, stojące pod bramą do niego, a potem odjeżdżające z pełnymi pakami wciąż żywych ludzi. Na placu apelowym niemal codziennie płonął stos dokumentów. Więźniowie już nie spuszczaali wzroku, gdy na nich patrzyłam i na ich twarzach coraz częściej można było dostrzec wyraz tryumfu. Załoga obozu wykruszała się, gdyż co rusz kolejne jednostki wysyłano na front. Kilkukrotnie ogłaszano alarmy lotnicze i kilkukrotnie okolica była celem amerykańskich bombardowań. Podczas jednego z nich uszkodzono część infrastruktury, a więźniowie o mało co nie wywołali buntu. Sytuację udało się opanować po wielu godzinach kompletnego zamieszania. Świat walił się w posadach.

Dlatego któregoś dnia postanowiłam położyć się spać i już nigdy nie wstać. Nie, nie myśl, że po raz kolejny rozważałam samobójstwo. Po prostu położyłam się w łóżku, zasłoniłam wszystkie zasłony i zapaliłam lampki kryte wzorzystymi abażurami. Przez wiele godzin wpatrywałam się w nadgniłe



wbrew zapewnieniom Wagnera głowy więźniów. Głowy numerów. Heloise zajęła się dziećmi i nic ani nikt nie powinno mi przeszkadzać. Nie czułam głodu ani senności, momentami być może odpływałam ku innej rzeczywistości, lecz częściej oddawałam się szaleńczej gonitwie myśli. Wspomnienia przewijały się jedno za drugim. Drezno, praca sekretarki, księgarnia, poznanie Karla... To wszystko wydawało się tak niedawno. Nie miałam dość czasu, aby uporządkować swoje życie, choć wydawało mi się, że doskonale nad wszystkim panuję. To najsmutniejsza konstatacja. Dzieci... Coraz częściej pojawiają mi się przed oczami, choć teraz leżą za ścianą, w pokoju obok i gdybym tylko chciała, mogłabym do nich pójść. Jednak czy to w ogóle moje dzieci? Czy cokolwiek do mnie czują? Doskonałe wychowanie polega na stworzeniu życia, które będzie gotowe umrzeć za kraj oraz ideę, jednak czy my kiedykolwiek byliśmy gotowi na taką śmierć? Czy w ogóle mieliśmy ideały?

Z zamyślenia wyrywa mnie walenie do drzwi. Nie odpowiadam, ale odgłos po chwili się powtarza.

– Zostaw mnie! – krzyczę. – Odejdź!

Nie wiem, kto się dobija, lecz nie chcę widzieć nikogo. Mimo to drzwi się otwierają i do środka wchodzi doktor Hoven. Nie widzieliśmy się od wielu tygodni. Ja ze względu na wydany przez śledczych zakaz, on traktując mnie jak zatruty owoc. Staje w progu i spogląda na mnie z politowaniem. Nie potrzebuję tego. W jego szarych, inteligentnych oczach widzę współczucie.

– Zostaw mnie – cedzę.

Mam ochotę zerwać się z łóżka i dać mu w twarz, lecz brakuje mi siły. Jak długo nie jadłam? Dzień? Tydzień?

Hoven spuszcza wzrok i nabiera powietrza.

– Właśnie otrzymałem wiadomość o wyroku Oberstes SS und Polizeigericht<sup>[2]</sup> w Monachium – cedzi bez przywitania.

Z trudem podnoszę się i opieram o wezglowie łóżka. Niemal uderzam policzkiem o zakonserwowaną głowę. Spoglądam w zaszyte powieki.

– Standartenführer Koch został skazany na karę śmierci – oznajmia Hoven. – Nie przysługuje mu już żadne odwołanie.

<sup>[2]</sup> Sąd Najwyższy SS i policji.



## 67.

Nie przejmowałam się sytuacją Karla. Przynajmniej nie w tym sensie, żebym mu szczególnie współczuła lub odczuwała przez nią jakiś głębszy niepokój. Ten zresztą towarzyszył mi od wielu tygodni, zupełnie bez związku z moim mężem. Jednak wieści przekazane przez doktora Hovena jeszcze mocniej rozbudziły karuzelę wspomnień. Wmieszała się w nie świadomość, że śledztwo prowadzone przeciwko mnie nadal jest w toku. Nie zawieszono go ani nie umorzono. Byłam taką samą oskarżoną, jak jeszcze niedawno oskarżonym był Karl. Jego status zmienił się w niedoszłego trupa, a mój nadal pozostawał niejasny.

– Aufseherin Ilse Koch – przedstawiam się, ściskając słuchawkę telefonu. – Proszę o połączenie z sędzią śledczym Morgenem.

– Sędzia...

– Nie przyjmuję do wiadomości żadnych tłumaczeń. Dzwonię po raz kolejny i za każdym razem jestem zbywana. To zmusza mnie do napisania skargi prosto do...

Przerywa mi wymowne sapnięcie. Po chwili słyszę serię kliknięć, wreszcie w słuchawce odzywa się szorstki, męski głos.

– Pani Aufseherin... – Sędzia wita mnie z wyczuwalną ironią. – Przykro mi z powodu tego, jak rozwinęło się postępowanie przeciwko pani mężowi.

– Nie dzwonię w tej sprawie.

– Czyżby?

Morgen jest wyraźnie zdziwiony. Odchrząkuje.

– Wobec tego czym mogę pani służyć?

– Bądźmy szczerzy, nie potrzebuję pańskiej kurtuazji ani łaski.  
– Staram się brzmieć pewnie, a nawet buńczucznie, lecz nie najlepiej mi to wychodzi. – Interesuje mnie śledztwo w mojej sprawie. Nie poczuwam się do jakiegokolwiek winy i pragnę mieć na piśmie dowód uniewinnienia.

– W pełni panią rozumiem.

– Więc?

Morgen zawiesza głos. Buduje napięcie tak, jakbym znajdowała się właśnie naprzeciw niego w jego nędznym pokoju przesłuchań. Chcąc odegnąć tę wizję, lewą dłonią chwytam miękkie oparcie fotela i odginam głowę do tyłu. Spoglądam w kryształowy żyrandol sprowadzony do willi przed dwoma laty z Lyonu. Ponoć zdobił jakiś piękny pałac z rozległym ogrodem, którego właściciele zostali rozstrzelani. Może ten cholerny żyrandol przynosi pecha?

– Szczerze mówiąc, ostateczne pismo w pani sprawie leży przede mną na biurku. – Sędzia śledczy mówi wolno, delektując się każdym słowem. Aż dziwne, że tak długo powstrzymywał się przed tą rozmową. – Miałem wysłać po panią samochód, ale być może nie będzie takiej potrzeby. Dostaliśmy wytyczne, by za wszelką cenę oszczędzać benzynę.

– Co to za pismo?

Przełykam ślinę i wierzchem dłoni ocieram pot z czoła. Nie zdawałam sobie sprawy, że mój los tak bardzo mnie przejmuje. Przez cały czas dopuszczałam możliwość najgorszego rozwoju wydarzeń, ale nie analizowałam jego konsekwencji. Dopiero wyrok wydany na Karla sprawił, że oprzytomniałam. Leżenie w łóżku i oddawanie się przemyśleniom okazało się zbyt trudne. Jeżeli każda pojedyncza myśl zmierza ku wyobrażeniu sobie siebie dyndającej na stryczku lub przed plutonem egzekucyjnym,

lepiej robić cokolwiek innego niż myśleć. Choćby wydzwaniać po trybunałach.

– Pani mąż, to znaczy Standartenführer Koch, wziął całą winę na siebie – oznajmia Morgen. – Nie rzucił na panią choćby cienia podejrzeń. Nawet teraz, gdy to jest już bez jakiegokolwiek znaczenia, utrzymuje, że działał sam, w przeświadczeniu braku szkodliwości swojego czynu. Nie mogę się powstrzymać przed dodaniem, że to żałosne.

Pot oblepia mi dłoń, która nagle zaczyna drżeć. Przed oczami przewijają się twarze dzieci, rodziców, kochanków... Przejazdźki na Bucefale, praca w fabryce... Życie jest piękne. Chcę żyć, to pragnienie jest mocne jak nigdy wcześniej.

– Co zrozumiałe, Standartenführer stanowi jedyne źródło dowodów, a procedury sądowe są jasne. Nic, kompletnie nic pani nie obciąża, pani Aufseherin.

Czekam na „ale”, lecz to nie następuje. Zamiast tego Morgen ponownie odchrząkuje i rzuca krótko:

– Została pani uniewinniona.

Nieomal wypuszczam słuchawkę. Udaje mi się względnie opanować, bełkoczę kilka nieskładnych zdań, po czym się rozłączam. Wstaję z fotela, lecz przetaczająca się przez moje ciało fala ulgi sprawia, że muszę się podtrzymać oparcia. Robi mi się miękko w nogach. W pierwszym odruchu kieruję kroki ku drzwiom, chcąc zobaczyć dzieci, jednak w pół drogi coś mnie powstrzymuje. A jeśli on tylko dalej ze mną pogrywa?

Nie. To wydaje mi się całkowicie niedorzeczne. Sądy nie działają w ten sposób, a Morgen, mimo skłonności do teatralizowania, jest zbyt drętwy, by zakpić ze mnie w ten sposób.

Przeczesałam palcami włosy i zatrzymuję się w progu. Wychyłam głowę na korytarz.

– Heloise! – krzyczę dumna, że mój głos jest mocny i nie słychać w nim choćby nuty niedawnego strachu. – Przyprowadź do mnie dzieci. Chcę im coś powiedzieć.

Zamykam drzwi i nagle nachodzi mnie pustka. Co miałabym im powiedzieć? Że je kocham? Że ich ojciec lada dzień będzie trupem? Że wszystko, do czego kazałam je przyuczać, wkrótce może okazać się pozbawioną oparcia fantazją?

Gdy po minucie lub dwóch rozlega się pukanie, zaciskam pięści.

– Odejdźcie – warczę. – Nie chcę nikogo widzieć.





## 68.

Nagle wybuchł chaos. Do obozu przybyły tysiące więźniów z obozów likwidowanych na wschodzie. Wszyscy z nich byli ledwie żywi, wyczerpani, a ich ubrania miały więcej dziur niż materiału. Czasem szli przez setki kilometrów, czasem kazano im nieść sprzęt, który nie mógł być przewieziony z powodu braków w środkach transportu. Zastanawiałam się, czy któryś z nich mógł pamiętać surową dłoń mojego męża rządzącego Majdankiem. Pewnie niejeden.

Niemal w tym samym czasie kominy krematoriów zaczęły dymić bez przerwy. Woń dymu wyczuwało się nawet w środku nocy, gdy tylko wychodziłam na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza. W ciągu dnia nieraz dobiegała mnie muzyka puszczana w stajni tak głośno, by zagłuszyć odgłosy wystrzałów.

Jednocześnie z dnia na dzień ubywało strażników. Kolejne ciężarówki przyjeżdżały puste i odjeżdżały wyładowane ludźmi oraz dokumentami. Widziałam Hovena ładującego się do niewielkiego samochodu z otwartym dachem, który odjechał z piskiem opon. Zniknęli również doktorzy Wagner i Müller.

Dzisiejszego poranka obserwowałam, jak Hermann Pister dogląda załadunku dwóch wozów zaprzęgniętych w konie oraz ciężarówki. Wreszcie wsiadł do kabiny pojazdu, po czym cała kawalkada wyjechała przez główną bramę. Nie towarzyszyła temu żadna muzyka. Wszystko przebiegało w porażającej ciszy. Orkiestra obozowa zapewne już dawno ulotniła się z Buchenwaldu i w surmy dmą jedynie ptaki pobudzone rozkwitającą wiosną.

Nie pozwolę, by do kolejnego wozu zaprzęgnięto Bucefała. Mam nadzieję, że nikt go jeszcze nie ruszył i że koń jest w jednym ze starych boksów. Tęsknię za nim.

Oddycham z ulgą, gdy widzę jego pysk wystawiony ponad drewnianą przegrodą. Na mój widok cicho rzy i strzyże uszami. Podchodzę, powoli wyciągając dłoń ku jego chrapom. Gładzę go, spoglądając w jego wielkie, ufne oczy. Razem pokonaliśmy tyle dróg i przeżyliśmy tak wiele pięknych chwil. Wydaje mi się, że nigdy żadnego człowieka nie kochałam tak mocno, jak tego konia. Niekiedy stawaliśmy się jednością i wiem, że nawet nasze myśli, chwilowe postrzeganie świata zlewały się w jedno. Wtedy byłam naprawdę szczęśliwa. Może jedynie wtedy.

– Mój drogi... – Między palcami przepuszczam czarną jak smoła grzywę Bucefała. Pochylam się, dotykając czołem jego pyska. – Co za szaleństwo, prawda?

Całuję go delikatnie i przytulam się, jakbym przytulała się do dziecka. Płaczę, a koń, cicho rżąc, płacze wraz ze mną.

– Już dobrze... Przepraszam.

Wyprostowuję się i wyciągam z przypiętej do pasa kabury pistolet. Przynajmniej tego nie zdołano mi odebrać. Oddaję dwa strzały prosto w pysk zwierzęcia. Oba roztrzaskują jego czaszkę, koń unosi przednie nogi, jakby próbował podskoczyć, lecz zaraz zamiera w bezruchu, po czym wali się na ziemię. Słyszę, że wstrząsają nim śmiertelne konwulsje, lecz już na to nie patrzę. Ocierając łzy, szybkim krokiem wychodzę ze stajni.

– Pani Aufseherin, wszędzie pani szukałem!

Otto Barnewald podchodzi w moją stronę. Ten Sturmbannführer SS pełni funkcję kierownika administracji obozu i zawsze wydawał mi się typowym gryzipiórkiem. Ma nawet

odpowiednią urodę – jest drobny, smukły, z pociągłą twarzą oraz czujnymi oczami.

– Tak?

Odwracam głowę, starając się ukryć zaczerwienione oczy. Barnewald musiał je zobaczyć, bo taktownie zatrzymuje się kilka kroków ode mnie.

– Mam wiadomość do przekazania – rzuca, przekrzykując nagle włączoną syrenę alarmową. – Czy pani mnie słyszy?

– Mów, mów! Nie mam czasu.

– Chyba że pani już wie... Pani mąż...

– Co z nim?

– Właśnie dotarł do mnie telegram, że kara śmierci została wykonana. Został rozstrzelany.

Ponuro kiwam głową, lecz przed oczami wciąż mam czułe oczy Bucefała.

– Dziękuję – mówię cierpko, po czym kieruję się ku willi. – Muszę zająć się dziećmi.

Głowę rozsadza mi ciche, żalosne rżenie. Wariuję.



## 69.

Spoglądam na pozostający w tyle zarys głównej bramy obozu. Opuszczone wieżyczki wartownicze, dym unoszący się nad częścią administracyjną, dobiegające z lasu strzały, to wszystko składa się na ponury obraz.

Na ciągniętym przez dwa, wychudzone konie wozie jest ośmiu żołnierzy. Większość poobrywała z mundurów wszelkie dystynkcje, nie zważając na to, że w razie aresztowania będzie czekał ich sąd wojskowy, a potem śmierć. Kto miałby ich sądzić i karać? W tym momencie śmierć wcale nie wydaje się najgorszym wyjściem. Na świecie zapanował kompletny rozgardiasz. Amerykanie są ponoć mniej niż sto kilometrów od nas i z ich rąk również nie możemy spodziewać się łaski. Nikt nie ma co do tego wątpliwości. Przynajmniej w tym towarzystwie nie muszę się obawiać, że zostanę wydana lub powstrzymana. Formalnie przecież wciąż powinnam przebywać w buchenwaldzkiej willi. Na co miałabym jednak czekać? Na kogo?

Nie interesuje mnie, dokąd jedziemy. Mam na sobie znoszony płaszcz, który wyciągnęłam z jednego z nieotwieranych od lat pudeł. Francuskie futro wszem wobec oznajmiłoby, że jestem żoną oficjela Rzeszy. Albo że nią byłam, bo żoną się jest tylko wtedy, gdy mąż żyje i wraz z jego śmiercią staje się jedynie spadkobierczynią jego grzechów. Przynajmniej na tym polegają obecne czasy.

– Co pani zamierza? – dopytuje mnie siedzący naprzeciw żołnierz z siwymi włosami na skroniach oraz z podkrążonymi

oczami. Zdaje mi się, że jest jednym z dowódców kompanii wartowniczej. Był. To słowo klucz.

Wzruszam ramionami. Odwracam głowę w drugą stronę, by nie patrzeć już ani przez chwilę na to przeklęte miejsce.

– Nie wiem. Zacznę nowe życie – oznajmiam, nie mając pojęcia, na czym to nowe życie mogłoby polegać. Na pewno nie chcę, aby było takie jak to, zanim poznałam Karla. A może taka perspektywa wcale nie byłaby zła?

Karuzela myśli w mojej głowie rozpędza się. Zerkam na dwójkę moich opatulonych przez Heloise dzieci. Nie mam pojęcia, jak mogłabym się nimi zająć ani czy w ogóle powinnam je była zabierać z obozu. Z jednej strony oddanie ich na pastwę losu Amerykanom nie wydawało się złym wyjściem, jednak wtedy zaprzepaszczone zostałyby całe moje dziedzictwo. Nikt nie dowiedziałby się, że to krew z mojej krwi. Przepadłyby w odmęcie dziejów tak, jak przepadają dzieci większości ludzi i wszystkich pokoleń. Stają się anonimowe niczym podrzutki, zrównują się z najpodlejszymi ze zwierząt. Z drugiej strony odebranie im przyszłości zepchnęłoby je w otchłań już tu i teraz. Nie wiem, czy jakakolwiek przyszłość w ogóle istnieje. W pewnej chwili wydaje mi się, że nie, że nie może być żadnej przyszłości po upadku, lecz za chwilę dostrzegam zakręt drogi i uświadamiam sobie, że właśnie na tym polega nasze życie – na pokonywaniu zakrętów.

Odwracam wzrok od przytulonych, przysypiających dzieci i zwracam się ku siedzącym naprzeciw żołnierzom. Może oni mają klarowną wizję przyszłości? Przez chwilę przypatrujemy się sobie w milczeniu. W oddali brzask przeradza się w pogodny, wiosenny świt. Łąki pokrywają miliony łez rosy, łyskając w pierwszych promieniach słońca. Odgłosy strzałów oddalają się, lecz nie milkną.

– A wy? Jaki macie plan?

Siedzący naprzeciw mnie żołnierz się uśmiecha. Od razu wiem, że nie wierzy w jego powodzenie.

– Są dwie koncepcje – mruczy. Kiwa głową w stronę siedzących po jego lewej. – Oni chcą się dostać do Hiszpanii, a potem do Ameryki Południowej. Ja myślę o trzymaniu się gdzieś na uboczu z nową przeszłością.

„Nowa przeszłość” to chyba kolejne z haseł, które niebawem zyskają popularność. Kim mogłabym być w innym życiu? Lekarzem? Prawnikiem? Bzdury. W innym życiu byłabym do ostatnich dni sprzedawcą w położonej na uboczu drezdeńskiej księgarni pełnej politycznych szpargałów. To byłoby inne życie. Prawdę powiedziawszy, być może wcale nie takie złe.

– Najważniejszy cel to dożyć do swojej śmierci – rzuca jeden z żołnierzy, a reszta wybucha nerwowymi śmiechami.

Nadszedł czas wymownych sentencji. Nie pozostało nam nic innego.





## 70.

Ludwigsburg to niewielkie miasto tuż obok Stuttgartu, ponad trzysta kilometrów na południowy zachód od Buchenwaldu. Mimo że mieściły się w nim koszary, lotnictwo aliantów było łaskawe i okolica została zbombardowana tylko jednokrotnie, do tego nie ponosząc większych strat.

Właśnie Ludwigsburg wydał mi się doskonałym miejscem do wtopienia się w falującą masę wojennych uchodźców z wszystkich stron świata. Wirtemberskie ustronie, miasto trzech pałaców, równych ulic oraz spokojnych ludzi. Miasto zapomniane i miasto zapomnianych. Dotarcie do niego zajęło mi niemal tydzień, który zdawał się najgorszym okresem mojego życia. Spałam z dziećmi w opuszczonych stodołach, zniszczonych domach oraz przepełnionych gospodach. Płaciłam złotymi monetami, które w wielu miejscach nie miały żadnej wartości. Ludzie litowali się nad samotną matką z dwójką dzieci. Na cały mój bagaż składało się nieco ubrań oraz gotówki, którą chciałam zachować na przyszłość. Nie miałam pojęcia, co będzie za kolejnym zakrętem życia. Trwałam, bo trwać nakazywał mi wewnętrzny pęd życia.

Docierające do mnie wieści z frontu zdawały się tworzyć rozmaite rzeczywistości. Niektórzy utrzymywali, że cudowna broń Hitlera została wreszcie skonstruowana, że lada dzień uderzy w cele aliantów i odwróci bieg wojny. Widziałam żarliwe spojrzenia, pełne zacięcia wyrazy twarzy oraz wsłuchiwałam się w nieznośną sprzeciwu ton. Inni, całkowicie przybici, donosili o swoich bliskich poległych na wschodzie, o całkowitej porażce i drapieżnych bestiach z Armii Czerwonej,

które siały dzieło zniszczenia. Oczywiście można było wierzyć w obie narracje, lecz od dawna nie miałam złudzeń. Milczałam.

Milczenie stało się dla mnie sposobem przeżycia, sposobem na to, aby udawać niemal oszalałą z trwogi matkę, niewiedzącą skąd ani dokąd zmierza. Było zresztą w tym wiele prawdy. Nie miałam konkretnego planu ani pomysłu działania. Ucieczka do Ameryki Południowej wydawała mi się całkowicie absurdalnym pomysłem, być może dlatego, że wciąż tliła się we mnie iskra nadziei. Kiedy myślę o sobie z perspektywy obcej osoby, poza szaleństwem dostrzegam właśnie to żarliwe spojrzenie oraz zacięty wyraz twarzy. Tysiącletnia Rzesza nie mogła się skończyć ot tak. Nie mogła zawalić się niczym domek z kart i przepaść w bestialskiej pozodze. Wydawało mi się, jakby tkwiły we mnie dwie różne osoby, wyznające całkowicie sprzeczne religie.

– Chcę jedynie wynająć pokój. Nie mam dokąd pójść...

Właściciel niewielkiego pensjonatu spogląda na mnie badawczo. To siedemdziesięciokilkulatek, który jest chyba zbyt schorowany, by trafić na front jak wielu innych w jego wieku. Ledwie trzyma się na nogach, cały drży, lecz jednocześnie wydaje się zaskakująco pełny życia.

– Mam zakaz kwaterunku... – mówi ściszym głosem. – Na wypadek, gdyby istniała potrzeba natychmiastowego przyjęcia żołnierzy.

– Żołnierzy! – parskam. – Czy pan zwariował? Tu nie ma żadnych żołnierzy. Nasi są już kilkadziesiąt kilometrów na wschód i jeśli ktokolwiek się tu pojawi, będą to Amerykanie.

Starzec wydaje się nieprzekonany.

– Nawet jeśli, oni również będą potrzebować kwaterunku.

– Zajmą pałace oraz koszary. Zaręczam, że nikt nie będzie szukał noclegu w podrzędnym, cuchnącym pensjonacie. A już na

pewno nie dostanie pan za niego nawet grosza, rozumie pan?

– Ja po prostu...

Wyciągam dwie złote monety. Dla starszych ludzi kruszec wciąż ma znaczenie i wiedzę, że jest warty więcej niż rulony marek z podobizną Hitlera.

– Na wozie jest dwójka moich dzieci. – Używam ostatecznego argumentu. – Jeśli nie pozwoli nam pan zanoć, będę musiała spędzić z nimi kolejną noc pod chmurką, a zbiera się na ulewę.

– Czy ma pani jakieś dokumenty?

Nagle zaczynam rozumieć. Ten człowiek boi się, że mogłabym wmieszać go w jakieś kłopoty. Nie wiem, po czym poznał moją przeszłość, lecz nagle czuję się całkowicie naga. On wie. Amerykanie też mogą dostrzec to „coś”, czego nie widzę w swoim wyglądzie.

– Straciłam wszystko w pożarze domu – kłamię.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Drezna. Po ostatnich bombardowaniach zaczęłam kierować się na zachód.

Starzec mruży oczy i przygryza wargę.

– Kiedyś byłem tam w pewnej mleczarni wyłożonej porcelanowymi płytkami...

Wiem, że to test, więc natychmiast podłapuję.

– Pfunds Molkerei przy Bautzner Straße! Robią tam doskonałe jogurty oraz kawy mleczne sprzedawane w tubkach. Moje dzieci się nimi zajadały...

– Być może. Tak naprawdę słyszałem o tym od znajomego.

– I?

– Niech pani bierze rzeczy i nie robi zamieszania. Wydam pokój na samej górze.

Z ulgą wypuszczam powietrze.



**71.**

**LUDWIGSBURG, 30 CZERWCA 1945 R.**

Zaskakujące, jak łatwo człowiek adaptuje się do zmian. A może to zmiany nigdy nie są tak drastyczne, jak mu się wydawało? Gdyby nie amerykańscy żołnierze, którzy zajęli budynek ludwigsburskich koszar i z tryumfalnymi minami w tę i we w tę przemierzali miasto, nie wiedziałabym, że wojna dobiegła końca. Życie toczyło się dalej, otwierano sklepy, targi, gospody... W pensjonacie, w którym wynajmowałam pokój, zakwaterowało się kilka rodzin przybyłych aż z Prus Wschodnich. Wiosna jak co roku gładko przeszła w lato, zrobiło się gorąco i parno. Natura nie dostrzegła, że jeden świat umarł, by narodził się kolejny. Było jej to zupełnie obojętne.

Złoto ponownie stało się cenne. Zasobna sakiewka, którą trzymałam ukrytą pod zwojami sukienki, stanowiła nasze główne źródło utrzymania. Część monet umieściłam w rozmaitych skrytkach, jakie odnalazłam w pokoju. Nie musiałam się martwić o przyszłość, przynajmniej jeżeli nadal miałabym tkwić w tej wilgotnej, dusznej ruderze. O powrocie do buchenwaldzkiego stylu życia nawet nie marzyłam.

Przez ostatnie dwa miesiące nauczyłam się zajmować dziećmi. Zamieniłam z nimi więcej słów niż przez całe ich wcześniejsze życie. Początkowo traktowały mnie niechętnie, niemal jak obcą kobietę, lecz z czasem zrozumiały, że jestem ich jedyną szansą przetrwania. Tak, człowiek zaskakująco łatwo adaptuje się do zmian, nawet gdy ma jedynie kilka lat doświadczenia na karku.

Nie żałuję, że wcześniej unikałam kontaktu z dziećmi. Staram się w tym dostrzegać zrządzenie losu oraz szansę. Teraz wyraźniej widzę, jak bardzo Artwin staje się podobny do ojca. Ma jego oczy oraz kształt ust. Jest małomówny, raczej zamknięty w sobie i doskonale hamuje emocje. Gisela stanowi jego przeciwieństwo oraz uzupełnienie. Z cichej dziewczynki w ostatnim czasie przemieniła się w kontaktową, roześmianą istotkę, która uwielbia się do mnie przytulać. Żadne z nich ani razu nie wspomniało o ojcu, co wydaje się normalne, zważywszy, że większość życia dorastają bez niego. Czy w ogóle go pamiętają?

– Kochanie, daj rączkę.

Wierzysz, że wypowiedam te słowa? Może stałam się innym człowiekiem, ale naprawdę potrzebuje tego uścisku delikatnej dłoni. Sprawia mi on przyjemność. Artwin dziarsko maszeruje tuż obok, trzymając się skraju mojej sukienki.

Będzie dobrze – pocieszam się. Nie spotkałam żadnego z żołnierzy, z którymi opuściłam Buchenwald, lecz ich twarze często powracają mi w myślach. Chyba nawet częściej niż twarze doktorów Hovena i Wagnera. Równie często jak abażury lamp oraz zakonserwowane czaszki, o których myślę niemal za każdym razem, gdy wieczorem układam się do snu.

– Mamo, kiedy pójdziemy do zamku? – Gisela puszcza moją dłoń i unosi głowę, by spojrzeć mi w oczy. – Obiecałaś to nam.

– I do parku... – nieśmiało dodaje Artwin.

Tak, obiecałam to już kilka tygodni temu. Dzieci podłapały temat zasłyszany na targu, podczas rozmowy przekupek. Amerykanie mieli udostępnić wnętrza tutejszego zamku oraz wystawić tam jakąś niezwykłą ekspozycję. Nie interesowało mnie to ani nie miałam najmniejszej ochoty na zwiedzanie zabytków.

– Mamo, proszę. – Gisela robi błagalną minę. – Do obiadu mamy sporo czasu.

Zamek znajduje się w parku niedaleko centrum, więc właściwie czemu miałabym nie sprawić dzieciom małej przyjemności? I tak większość dni spędzamy na bezcelowym zabijaniu czasu.

– Chodźmy tam teraz – proponuję. – Chętni?

Odpowiada mi pisk radości. Staliśmy się zwykłą, przeciętną rodziną.





72.

Przed wejściem do zamkowego parku stoi amerykański posterunek. Dwa dżipy, szlaban, wąskie przejście oraz budka strażnicza. Wokół jest sporo ludzi i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że dziś jest niedzielny poranek. Od lat straciłam rachubę czasu i nie dzieliłam go na miesiące ani tygodnie, lecz na pory roku oraz godziny apeli. Niedziele miały znaczenie po raz ostatni, gdy pracowałam w dreźnieńskiej księgarni. Później zlały się z innymi dniami, których ciągnę przypominał nieustanną błogość. Teraz wiem, że to były pozory. Uśmiecham się zadowolona, że tak oto właśnie nadeszła niedziela, zapełniły się kościoły oraz ścieżki spacerowe. Jest w tym coś uroczego. Ludzie zapomnieli o nieszczęściach tego świata i wbrew wszystkiemu usiłują żyć jak dawniej. Jak dużo dawniej.

– Co to za wystawa? – dopytuje Gisela. Odkąd skierowaliśmy się ku zamkowi, jest podekscytowana i niemal nie przestaje mówić. – Co zobaczymy w środku? Czy to może być taki zamek jak te z książek, które czytała nam pani Heloise?

Na wspomnienie tego imienia przeszywa mnie nieprzyjemny dreszcz. Co stało się z tą pracowitą, sumienną kobietą? Czy w ogóle żyje? Czy mogłaby pokutować za grzechy, których nie popełniła?

- Może są tam rycerze i smoki – wtrąca się Artwin.
- Smoki nie istnieją.
- Właśnie, że tak. Tylko ukrywają się przed ludźmi.
- Cisza. Dość!

Ostro przerywam tę dziecięcą wymianę zdań i nagle dostrzegam utkwione we mnie dwa spojrzenia, które są mi doskonale znane. Spojrzenia istot ledwie zdających sobie sprawę, kim jestem. Trwają tylko ułamek sekundy, lecz serce uderza mi ze zdwojoną siłą.

– Przepraszam, ale nie możecie tak krzyżeć. Zachowujcie się.

– Dobrze, mamusiu – korzy się Artwin.

Gdyby tylko Karl widział, na kogo wyrasta jego syn... Podobieństwo, które dotąd dostrzegałam, rozmywa się w łagodnej, ciamajdowatej osobowości chłopca niepotrafiącego wykrzesać z siebie ani krzty dumy lub choćby pozorów stanowczości. To musi być wina wychowania Heloise.

– Chodźcie.

Bez problemu mijamy punkt kontrolny i kierujemy się aleją parkową na północ. Przed nami znajduje się przysadzista budowla z dwoma skrzydłami zamykającymi niewielki dziedziniec. Główną część fasady wieńczy wieżyczka z kopułą, na której szczycie powiewa amerykańska flaga. Przed wejściem stoją pojedynczy ludzie oraz kilku żołnierzy. Nie mam pojęcia, jaka wystawa jest prezentowana w środku, lecz przypuszczam, że takowa w ogóle może nie istnieć. Stworzyła ją taka sama plotka, jak ta mówiąca o tajnej broni Hitlera oraz ukrytych schronach SS w Bawarii. Od tysięcy lat ludzie mają skłonność do opowiadania sobie mitów.

– Cieszy się, że tu przyszliśmy?

Artwin i Gisela jednocześnie podskakują i zapewniają mnie o swojej radości. Jak niewiele potrzeba, aby usłyszeć od dzieci słowa uznania. Doskonale wiem, że zamiast nich należałoby mi się potępienie i dozgonna nienawiść.

– Nie wiem, czy będziemy mogli wejść do środka. Otwarty dla zwiedzających może być jedynie park.

– Ale tamta pani...

– Nie ufaj wszystkiemu, co mówią ludzie. Rozumiesz?

Spoglądam z ukosa na Artwina, a chłopiec na moment zaciska usta. Po chwili jego twarz rozluźnia się i chłopiec kiwa głową.

– Tak, mammo.

„Niech cię szlag” – klnę w duchu.

Mocniej ściskam kruchą rączkę syna i przyśpieszam kroku. Gisela z trudem za nami nadaża. Zwalniam dopiero, gdy wchodzimy na główny dziedziniec. Wydaje się, że grupki spacerujących tu osób przyszły, by zwiedzać. Jednak nikt nie wychodzi z zamku, przed którego wielkimi, podwójnymi drzwiami waruje patrol wojskowy.

– Nic z tego – stwierdzam, zatrzymując się przy przerośniętej rabacie kwiatowej. Najwyraźniej od dawna nikt nie zajmował się ogrodem, a mimo to stanowi on zaskakującą oazę spokoju na tle ozywających wspomnień.

– Ale mammo, przecież...

Gisela milknie, widząc zmierzającego w naszą stronę żołnierza. To amerykański oficer w oliwkowym mundurze oraz hełmie. Mimowolnie odwracam wzrok tak, jak dawniej robiono to przede mną i wciągam dłonie do dzieci.

– Chodźmy, czas wracać.

– Pani Ilse Koch? – zwraca się do mnie Amerykanin. – Proszę się zatrzymać.

Posłusznie staję w miejscu i udaję zdezorientowaną. Z pewnością zaskoczyła mnie jego gładka niemczyzna.

– Ja... Jak pan mnie nazwał? Pan mnie z kimś myli, pułkowniku.

– Kapitanie. Proszę o dokumenty.

Posłusznie podaję mu niedawno wyrobiony identyfikator tymczasowy zawierający całkowicie zmyślane dane. Kosztował mnie fortunę. Kapitan uważnie się mu przygląda, coś cicho mruczy, po czym zwraca się ku dzieciom.

– Gisela, Artwin?

– Tak, proszę pana – odpowiada moja córka.

Po karku spływa mi lodowaty pot. Rozglądam się wokół niczym spłoszone zwierzę, ale nie mam szans na ucieczkę. Aleje parkowe są długie i proste. Nie ma tu żadnych miejsc, w których mogłabym się ukryć. Gdybym zaczęła biec, natychmiast by mnie zastrzelono.

– Mam pieniądze... – szepczę.

Kapitan uśmiecha się kpiąco. Gestem przywołuje drugiego żołnierza i kładzie dłoń na kaburze.

– Poznaj panią Ilse Koch... – rzuca do towarzysza. – Poznaj Wiedźmę z Buchenwaldu, kobietę, przez którą zginęło więcej osób, niż jesteś w stanie zliczyć.

A podobno wiedźmy i smoki nie istnieją.



### 73.

Szok? Trauma? Niedowierzenie?

Jeśli myślisz, że moje pierwsze tygodnie w więzieniu przepełniały te emocje, nadal mnie nie rozumiesz. Nadal nie jesteś w stanie pojąć, jakim jestem człowiekiem. Przeciwności losu rzadko mnie paraliżują. Zazwyczaj podejmuję wszelkie wyzwania i traktuję je jako okazję do gry. Jeśli ktoś mnie zaskakuje, robię wszystko by zaskoczyć jego, o tym wiesz z pewnością.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że amerykańscy prokuratorzy dwoją się i troją, szukając dowodów, przesłuchując świadków i podsuwając pytania, które mają zaprowadzić mnie na szafot. Moje całe zeznanie sprowadzało się do nieco przekształconej formułki wygłaszanej niegdyś przed niemieckimi śledczymi, przed Morgenem i jego bandą psów, które chciały mnie dopaść.

„Jestem tylko żoną i matką dzieci, nic mi nie wiadomo o czynach mojego męża, a wszelkie insynuacje, że sama byłam pobudką jakichkolwiek zbrodni, to wyssane z palca bzdury. Skupiałam się na prowadzeniu gospodarstwa domowego i dbaniu o jak najlepsze wychowanie dzieci. Owszem, mój mąż bywał okrutny, ale tego wymagały okoliczności”.

Teraz sytuacja jest nieco prostsza niż wtedy, gdyż mogę wszystko zrzucić na Karla. Gdyby żył, nigdy bym tego nie zrobiła. Obwinianie trupa to nic strasznego. Właściwie to nawet jakaś naturalna kolej rzeczy, której poddaję się bez mrugnięcia okiem.

„Mój mąż dokonywał straceń i osobiście podpisał rozkaz eksterminacji części jeńców sowieckich, brał również udział

w egzekucjach, do czego mnie namawiał. Z obawy o życie oraz zdrowie dzieci towarzyszyłam mu, lecz nigdy nie pociągnęłam za spust”.

– A abażury z ludzkiej skóry? – dopytuje amerykański porucznik.

– Karl je kolekcjonował.

– Wiemy, że to pani rozdawała je w formie prezentów oraz chwaliła się ich posiadaniem. Czy zlecała pani ich wykonanie?

Zastanawiam się, czy Hoven, Wagner lub Müller zostali ujęci? Nawet jeśli, jestem niemal pewna, że nie pisnęliby nawet słowa. Nie zdradziliby świętej przysięgi SS. A może nie ma sensu wierzyć w czyjąkolwiek wierność, tym bardziej że oni mogą uważać, że ja również jestem już martwa? A jeśli Karl żyje? To by było szaleństwo, lecz przecież nie widziałam jego ciała. Przypominają mi się wersety Biblii cytowane przez ciotkę: „Niewierny Tomasz, włóż swoje palce w tę ranę...”. No, dobrze. Jednak w czasie, gdy przekazano mi wieść o śmierci mojego męża, na Ziemi zapanował Chaos. Naprawdę zaczynam wariować. Myśli mi się płaczą i urywają.

– Pani Koch...

Mrugam i ponownie spoglądam na porucznika.

– Abażury z ludzkiej skóry? Myślałam, że to wyroby ze zwierząt. Nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że...

– Mamy jasne zeznania, że osobiście wybierała pani więźniów z tatuażami.

– Bzdura.

– To zeznania kilkudziesięciu osób. Raczej nie uda się ich pani podważyć.

– Mszczą się! Mszczą!

Zaczynam krzyczeć i bić dłońmi o oparcie krzesła. Wpadam w furję. Klnę i szarpię się z żandarmami usiłującymi mnie powstrzymać. Jednego z nich uderzam w twarz, a drugiego opluwam.

– Jestem niewinna! – Słyszę echo swoich słów niosące się w kamieniołomie. Tyle że doskonale wiem, że tu nie ma kamieniołomu. – Wypuście mnie i pozwólcie wrócić do dzieci! Moje dzieci, moje kochane dzieci...

Zanoszę się płaczem, lecz żandarmi bezlitośnie ciągną mnie ku celi. Nie zważają, że paznokciami rozdarłam sobie skórę z nadgarstków i całe dłonie mam umazane we krwi. Ciskają mnie w mrok, po czym trzaska zasuw. Nieustannie fascynuje mnie ten dźwięk słyszany ze środka zamykanego pomieszczenia. Zanoszę się śmiechem. I jednocześnie ocieram łzy.

*Trybunał buchenwaldzki uznał, że ataki szatu oraz akty samookaleczenia Ilse Koch stanowią jedynie element jej strategii obrony, a kobieta pozostaje w pełni świadoma i zdrowa psychicznie. Proces mógł ruszyć bez żadnych przeszkód. Jednak Wiedźma z Buchenwaldu nie wyciągnęła jeszcze ostatniej karty.*





74.

– Myśli pani, że kogokolwiek oszuka?

– Dlaczego miałabym kogokolwiek oszukiwać? Czy wy, Amerykanie, nie jesteście w stanie niczego wziąć na słowo? Musicie wszystko nieustannie podważać?

– Rozmawiamy z perspektywy narodowości? – Sanitariusz parska. Przywiązuje mnie do noszy i przewraca oczami. – Sądzę, że to właśnie wy, Niemcy, nauczyliście świat kwestionowania wiary w człowieczeństwo.

– Mówi pan jak poeta.

Mężczyzna mruży oczy, przez chwilę mi się przypatrując. Najwyraźniej nie wie, czy ma odebrać moje słowa jako sarkazm, kokieterię, czy przejaw szaleństwa, w które wiem, że niektórzy wierzą.

– Raz, dwa...

Sanitariusze odliczają i unoszą mnie w górę. Jęczę przy tym z bólu i staram się obrócić na bok, lecz pasy trzymają mnie zbyt mocno. Przez moją ostatnią awanturę teraz jestem transportowana tak, żebym nie mogła nikogo zaatakować. Może zagalopowałam się w ślepy zaułek?

– Kiedyś uwielbiałam amerykańskie filmy – szepczę, wpatrując się w przesuwający się sufit. – Macie specyficzną urodę. Jesteście męscy i dumni, no i co ważne, dobrze jeździecie konno. Lubię wasz styl jazdy.

– Proszę się nie odzywać.

Nie zwracam uwagi na te wypowiedziane koślawą niemczyzną słowa.

– Przed wojną miałam do czynienia z niezbyt wieloma Jankesami, ale wszyscy czymś mi imponowali. Pamiętam pewnego dyplomatę, który doskonale grał utwory Beethovena. Nie potrafił wczuć się w Brahmsa, ale to zapewne wina miłości. Beethoven składa się wyłącznie z miłości, nie uważacie?

– Niech się pani zamknie, bo wrócimy do celi.

– Kocham cię, chłopaku.

Wydymam usta i posyłam młodzikowi namiętnego całusa. Udaje mi się przesunąć na tyle, że ukazuję kawałek obrzmiałej piersi. Spojrzenie pielęgniarza natychmiast się na nią kieruje. Uśmiecham się, po raz kolejny pojękując z bólu.

Po chwili trafiam do ambulatorium. Jakże się różni to sterylne, przestronne pomieszczenie od tego, w którym pracował doktor Hoven. Do środka przez wielkie okna wpada światło zachodzącego słońca. Mogłabym tu spędzić ostatnie chwile życia. Staram się spojrzeć na rozciągającą się panoramę, lecz pielęgniarze zdejmują mnie z noszy i sadzają w fotelu. Moje dłonie natychmiast zostają skrępowane skórzanymi klamrami. Pewne procedury są niezależne od miejsc, czasów i okoliczności.

– Wyjdźcie – nakazuje lekarz. – Wróćcie za kilka minut. To z pewnością nie potrwa dłużej. Przecież ta historia jest tak bzdurna, że tracimy jedynie czas.

Zabiera się do badania, a ja nie mogę powstrzymać tryumfalnego uśmiechu.

*W 1947 r., na kilka miesięcy przed wydaniem wyroku, okazało się, że Ilse Koch jest w ciąży. Wiedźma z Buchenwaldu konsekwentnie odmawiała wskazania, kto jest ojcem jej dziecka. Nikt nie miał jednak wątpliwości, że była to zagrywka mająca pomóc jej uniknąć kary śmierci.*



**75.**

– Powstać, ogłoszony zostanie wyrok!

Krótką komendą wprawia mnie w popłoch. Za wszelką cenę staram się go nie pokazać, lecz nie wychodzi mi to zbyt dobrze. Kładę dłonie na brzuchu i nabieram powietrza. Jest mi na przemian gorąco i lodowato zimno. Nogi mi drżą, a po kręgosłupie spływa zimny pot. Przez ostatnie tygodnie słyszałam o zbyt wielu wyrokach skazujących na karę śmierci. Słyszałam stukot zbijanej na więziennym placu szubienicy.

Mój adwokat, Amerykanin, zachowuje kamienną twarz. Przez cały proces był właściwie jedynie figurką, ozdobnikiem, który miał służyć temu, by nikt nie przyrównywał „ich” do „nas”. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy dokładnie tacy sami. Zwycięzcy sądzą pokonanych, drapieżcy rozliczają się ze swoimi ofiarami.

– Chcę zobaczyć moje dzieci! – krzyczę, ale sędzia jedynie zaciska usta.

– Pani Koch, jeśli przerwie pani odczytywanie sentencji wyroku, nakazuję pani wyprowadzenie z sali i o swoim losie dowie się pani za jakiś czas, gdy werdykt dotrze listem do celi.

Prostuję się i kiwam głową. Nie, czekanie by mnie zabiło. Każdy dzień przygotowuje mnie o bóle głowy i nieustanne dreszcze. Jeżeli mają mnie skazać na śmierć, niech zrobią to teraz, już, natychmiast. Dość mam zastanawiania się nad tym, co będzie jutro. Dość mam nieustannej niepewności.

Sędzia odchrząkuje i monotonnym głosem rozpoczyna odczytywanie wyroku. Puszczam ten bełkot mimo uszu, czekam jedynie na najważniejsze. Zazdroszczę Karłowi, że mógł zginąć od

kul karabinów, a nie powieszony na szubienicy jak złodziej. Amerykanie chcą nas upodlić. Czy tuż przed śmiercią byłabym w stanie wzniesć dłoń w geście hitlerowskiego pozdrowienia? Czy wykrzyczałabym jakieś słowa pożegnania? Jak by brzmiały?

Niczego nie żałuję. Nie chciałabym przeżyć tysiąca lat bez francuskich perfum, bez wykwintnych dań oraz własnej stadniny. Wieczność byłaby przekleństwem. Dość dni straciłam, tkwiąc w małej, cuchnącej księgarni albo w fabryce. Dość życia zmarnowałam w drezdeńskim mieszkanku moich rodziców. Od początku byłam stworzona do wielkich rzeczy i teraz przychodzi zapłacić za nie cenę. Wiem jednak, że historia o mnie nie zapomni. Dziesiątki dziennikarzy właśnie piszą relacje z procesu, notują każdy mój ruch oraz gest. Podnoszę wyżej podbródek i delikatnie się uśmiecham. Już nie muszę grać. Wszystko niebawem będzie skończone, choć nie wiem jedynie, w jaki sposób.

Przypomina mi się agitator polityczny, którego powieszzonego trupa widziałam ćwierć wieku temu. Ćwierć wieku! To dość czasu, by nacieszyć się życiem. O czym myślałam, spoglądając na tamte dyndające zwłoki? Czy mogłam przypuszczać, że i mnie spotka podobny koniec? Nie, z pewnością nie. Nigdy nie byłam przesądna i nie wierzyłam w przeznaczenie. Czy istniały dla mnie jakiegolwiek dogmaty? Bóg, religia, wiara? Chyba nie. Może jestem na to zbyt ograniczona, lecz te tematy nigdy mnie nie interesowały. Nie poświęcałam im nawet chwili, nawet przelotnej myśli, pokornie wiedząc, że nie znajdę żadnych definitywnych odpowiedzi. Po co więc pytać? Właśnie tego nauczył mnie chyba dogorywający latami ojciec. Po co pytać i kwestionować naturalny bieg rzeczy? Należy mu się poddać, starając się jedynie uszczknąć z życia, co można.

– ...skazuje Ilse Koch na karę dożywotniego pozbawienia wolności – brzęczy mi w uszach.

Uginają się pode mną nogi. Wieczność spędzona w ciasnej, cuchnącej celi. Wieczność bez życia...

– Jednak biorąc pod uwagę nadzwyczajne okoliczności, wymierzoną karę trybunał zamienia na wyrok czterech lat pozbawienia wolności, na poczet których zostanie zaliczony odbyty areszt.

Z trudem powstrzymuję narastające mdłości. Tym razem niczego nie udaję.

*W trakcie przemowy końcowej z ust jednego oskarżycieli padły znamienne słowa: „Jeśli był kiedyś krzyk, słyszany na całym świecie, był to krzyk torturowanych niewinnych ofiar, które zginęły z jej ręki”.*

*29 października 1947 r. Ilse Koch urodziła syna – Uwe Köhlera. Dziecko odebrano jej natychmiast po porodzie. Chłopiec miał nigdy nie poznać, kim była jego matka, lecz po latach odnalazł prawdę o swoim pochodzeniu.*





**76.**

**1951 R.**

Od lat byłam przezorna. Przed aresztowaniem w Ludwigsburgu odpowiednio rozdysponowałam część pieniędzy oraz złota. Oczywiście te, które znajdowały się w wynajmowanym mieszkaniu na poddaszu, przepadły, ale i tak zostało mi tyle, by żyć. Jakoś żyć.

Gdy tylko wyszłam z więzienia, przez posłańca zwrócił się do mnie jeden z byłych członków SS, którego imienia nigdy nie poznałam. Proponował mi wyjazd do Ameryki Południowej lub wsparcie pieniężne. Odmówiłam obu propozycjom. Nie wiem dlaczego, lecz czułam, że w tym świecie nie ma miejsca na ciągłe uciekanie. Na życie w przeświadczeniu, że jest się uciekinierem i nie ma swojego kawałka wszechświata. Że często nie ma się nawet swojego imienia ani nazwiska. To nie było rozwiązanie dla mnie. Nawet jeżeli tamten członek SS nie był szpiclem, jeżeli jego intencje były dobre, coś podświadomie nakazywało mi nie nawiązać tego kontaktu. Zdawałam się na przeczucie.

Ponownie wynajęłam mieszkanie i usiłowałam wtopić się w otoczenie. Wierzyłam, że kiedyś, za rok lub dziesięć lat, szczęście znów się do nie uśmiechnie. Zresztą już to zrobiło. Większość skazanych wraz ze mną zawisło na stryczkach lub nadal gniło w celach, a mnie udało się wyjść na wolność. Czy to nie jest cholerne szczęście? Czego mogłabym chcieć więcej? Nawet jeżeli nie ma Boga, nie ma nic ponad, to przecież los okazał mi łaskawość. Przypomniał mi się pogrzeb ojca i matka wrzucająca

do grobu pomięte kartki wyrwane z Pisma Świętego. Przypomniała mi się cisza, w której przecinały powietrze.

Wszyscy oddamy się ciszy, ale na mnie jeszcze nie nadszedł właściwy czas. Idę z lekkim uśmiechem na twarzy oraz woreczkiem złota w kieszeni. Będę żyć na przekór wszystkim, którzy chcieliby inaczej. Na ich wyzwanie odpowiadam swoim, na ich niespodziankę, wymyślam swoją, jeszcze lepszą.

– I jeszcze tamto wino... – Wskazuję palcem.

Stoję w niewielkim sklepie, delektując się chwilą, że mogę wybrać, co tylko pragnę. Mogłabym wykupić niemal wszystko, lecz co nadeszłoby jutro? Czy powinnam się tym w ogóle przejmować?

– To? – Sklepikarz z powątpiewaniem unosi brwi. – Jest bardzo drogie, to bordeaux z winnicy Château Lafite-Rothschild... Zostało jeszcze po wojnie.

– Wiem, co to jest.

– Doprawdy?

Mężczyzna przygląda mi się uważnie i kątem oka dostrzegam, że to samo robi kilka osób stojących w kolejce za mną. Niech się patrzą. Mam nadzieję, że pamiętają wielkość Rzeszy oraz chlubę munduru SS, nim światowa zgnilizna zdusiła to wspaniałe przebudzenie. „Zwycięstwo jest nasze” – pamiętam, jak z tym okrzykiem wpadłam na Bucefale na teren obozu i pogalopowałam przez plac apelowy. Te czasy w końcu powrócą, na tym polega sinusoida dziejów, o której kiedyś rozmawiałam z Wagnerem. Sama chyba nigdy nie spojrziałabym na to z tej perspektywy.

– Ilse Koch – szepcze stojąca obok mnie kobieta. Ma ciemne, kręcone włosy sięgające ramion oraz niebieskie oczy. Dobiała czterdziestki, choć wciąż ma ładne kształty.

– Pani Ilse Koch – cedzę z dumą.

Skupiają się na nas spojrzenia wszystkich obecnych w sklepie. Sklepiarz pakuje towary, lecz co rusz zerka zza lady. Ta kobieta musiała zobaczyć moje zdjęcie w którejś z gazet. Wiem, że było tego całkiem sporo i choć w większości fotografie okraszono bzdurnymi tekstami, cieszę się, że w pewien sposób jestem znana. W końcu straciłam cztery lata życia, pokutując za wiarę w wyznawane ideały oraz za oddanie wartościom. To powód do dumy.

Kobieta zagryza usta i robi krok w moją stronę. Przez moment nie wiem, czy się uśmiecha, czy jest bliska płaczu.

– Przez takich ludzi jak pani zginął mój mąż – cedzi. – Podłaska... Więzień polityczny Hans Kurz, numer dwa tysiące osiemdziesiąt sześć, zmarł na zawał serca. Już ja wiem, jak wyglądały te zawały...

Kobieta spluwa mi w twarz. Unoszę dłoń, aby ją spoliczkować, lecz tuż przy niej stają kolejne osoby.

– Nie obsługuj tej jędzy. – Ktoś nakazuje sklepiarzowi. – Nie pozwól jej tu niczego kupować.

– Nie wstyd wam? – Zmuszam się do pogardliwego uśmiechu. – Tak traktuje się kobietę i Niemkę, która...

Łysy, niski mężczyzna bierze mnie pod ramię i na siłę wyprowadza ze sklepu. Nikt nie zwraca uwagi na moje protesty.

Jestem przeklęta.



77.

Wytykanie palcami nie robi na mnie żadnego wrażenia. Plucie i przeklinanie również. Robią to ludzie, którzy niegdyś mogli mi służyć za podnózek, za rozrywkę i za sposób na rozładowanie frustracji. Służący. Więźniowie. Przegrani.

Ja nigdy nie będę przegrana, o ile zdołam wysoko unieść podbródek i zaśmiać się im w twarz. Po latach znów czytam książki. Dotykam płóciennych okładek i przypominam sobie te wykonane z ludzkiej skóry. Gdy zamykam oczy, widzę tatuaże na abażurach lampek stojących w sypialni. Przypominam sobie strój z mandalą oraz obrus z tatuażami sześciu lub siedmiu więźniów. Pamiętam zeszpecone rysy twarzy numerów, których głowy posłużyły za ozdobę mojego łóżka. Włączniki świateł, rękawiczki oraz torebki. Ponoć sam generał Patton po zobaczeniu tego wszystkiego był oniemiały. Bełkotał coś niezrozumiale, wyrzucając przy tym swoje śmieszne sentencje o kondycji ludzkości. Tak, ludzkość to zwycięzcy. Zgniła wrażliwość zachodu zapanowała nad światem, strosząc się przed dziką bestią z czerwoną gwiazdą na czapce. Jeżeli wybuchnie wojna, znów będziemy potrzebni. Tacy ludzie jak ja, jak mój mąż i cała reszta.

Wyglądam przez okno, starając się przeniknąć ciemność. Na zewnątrz panuje cisza. Do tej pory nie mogę się przyzwyczaić, że mojego życia nie regulują sygnały wzywające na apele oraz że gdzieś z dala nie dobiegają obozowe marsze. Cisza czasem wydaje mi się przerażająca. Zaciska się wokół mnie i miażdży mnie w swojej pięści.

– Karl – odzywam się do wyobrażenia swojego męża. – Czy istnieje przyszłość?

Nie słyszę żadnej odpowiedzi. Nie pomyśl, że widzę duchy albo że próbuję z nimi rozmawiać. Po prostu bardzo doskwiera mi samotność. Chciałabym mieć kogoś u boku, by chwycił mnie pod ramię i poprowadził dalej, choćby ku śmierci. Nawiązałam listowny kontakt z Artwinem. Mój syn ma dwanaście lat, lecz wydaje się nadzwyczaj dojrzały. Ponownie dostrzegam w nim najlepsze cechy Karla.

Gisela przebywa u rodziny zastępczej, jednak nie znam jej dokładnego adresu. *To właśnie do Ciebie, kochanie, kieruję ten list. Jeśli czegoś nie rozumiesz, jeśli masz mnie za zło swojego życia, zrozumieć to. Właściwie nie szukam usprawiedliwiania ani odpuszczenia grzechów. Starłam się trwać tak, jak pozwalały mi na to okoliczności.*

Przyznaję, nie chciałam dla swoich dzieci ani źle, ani dobrze. Oddałam je, lecz nie zostawiłam. Wiedziałam, że pod opieką Heloise lub kogokolwiek innego będą miały lepiej niż przy mnie. Być może przeczuwałam, jak rozwinie się przyszłość. Może, nazywając mnie Wiedźmą, ludzie wcale tak bardzo się nie mylą. Czy dopuszczenie takiej myśli do świadomości to objaw szaleństwa?

Odkładałam pióro, bo wiem, że jeszcze nie czas na kończenie tego listu. Teraz słowa nie płyną z mojego serca, lecz z umysłu, a ja zawsze mocniej wierzyłam w metafizykę. Mogłam udawać pragmatyczną ateistkę, lecz była to tylko poza.

Z zamyślenia wyrывa mnie dudnienie do drzwi. Różni ludzie starają się mnie nachodzić i przyzwyczałam się do tego. Dudnienie powtarza się raz po raz. Wreszcie, zaciskając zęby, kieruję się do przedpokoju. Nie boję się. Jednym ruchem

przesuwam zasuwę i otwieram drzwi. Spoglądam na trzech tłoczących się na korytarzu policjantów.

– Pani Ilse Koch. – Jeden z nich pokazuje jakiś dokument, który ginie w półmroku. – Jest pani aresztowana. Proszę nie stawiać oporu i pójść z nami.

Kiwam głową. Chyba zaczyna braknąć mi sił.





78.

– Nie poczuwa się pani do winy?

– Nie. W żadnym wypadku.

– Przecież już w procesie przed amerykańskim trybunałem została ona pani udowodniona. Muszę stworzyć konkretną linię obrony, a bazowanie na zaprzeczaniu wszystkiemu to kopanie się z koniem. Rozumie pani?

Adwokat spogląda na mnie zza grubych szkieł okularów. To okrągły, niski człowiek, któremu z pewnością bardziej zależy na moim losie niż owemu jankeskiemu młokosowi, któremu przydzielono mi w poprzednim procesie. Wygląda na mężczyznę, który w innych okolicznościach lubi się śmiać i pewnie opowiada wyborne dowcipy. Teraz jednak jest całkowicie poważny. Zerka raz na mnie, a raz do swojego notesu, w którego kartki stuka skuwką pióra.

– Zaprzeczam wszystkiemu, bo nic mi nie udowodniono.

– Została pani skazana.

– W wyniku nagonki zwycięzców, niech to pan przyjmie do wiadomości. Zwycięzcy piszą historię, słyszał pan to przysłowie?

– Obawiam się, że nadal jest pani w obozie przegranych. I nie ma żadnych atutów.

Adwokat wymownie spogląda na mój brzuch. Uśmiecham się kpiąco i kręcę głową.

– Robiłam, co do mnie należało. Tak samo, jak pan robi teraz.

– Moglibyśmy próbować pójść na ugode, gdyby zgodziła się pani współpracować. To byłoby...

Wchodzę mu w zdanie.

– To oznaczałoby przyznanie się do porażki, a tego nigdy nie zrobię. Mój ojciec zmarł w łóżku, w sile wieku, bo uznał swoją klęskę.

– Wszyscy kiedyś umrzemy. Może pani jednak jeszcze pożyć nieco na wolności. Za ileś lat, ale myślę, że to możliwe.

– Naprawdę?

Do pomieszczenia wchodzi policjant. Odchrząkuje i ukradkiem wskazuje na zegarek.

– Czas iść.

– A więc linia obrony pozostaje niezmienna – stwierdza ponuro adwokat. – Miałem nadzieję, że...

– Zrobił pan, co mógł, mecenasie – ponownie mu przerywam. – Nie może pan sobie niczego wyrzucać.

Posłusznie pozwalam się prowadzić korytarzem ku sali, w której ma mnie przesłuchać prokurator. Morgen, McKinley, Stanley, co za znaczenie. Milczę. Odmawiam odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i pozwalam, by mówił za mnie adwokat. Przyglądam się, jak w pocie czoła stara się mnie tłumaczyć, a jednocześnie uniknąć zabrnięcia w ślepe zaułki. Zachowuje się jak piskorz. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mu na tym zależy, ale naprawdę się stara. Wiem jednak, że prokurator nie zamierza odpuścić i lada dzień dojdzie do rozprawy przed trybunałem. Wiem też, że sędziowie będą bezlitośni. Nie robi mi to różnicy. Spoglądam na całą scenę, jakbym była gdzieś obok, jakbym na chwilę opuściła swoje ciało i mogła ocenić się z perspektywy obcej osoby. Zestarzałam się, moja skóra pożółkła i pomarszczyła się. Mam podkrążone oczy, zaokrąglone policzki i zmierzwiłone włosy. Dawniej zawsze wypiełgnowane dłonie teraz przypominają dłonie robotnika. Nie wyglądały tak nawet wtedy, gdy pracowałam w fabryce.

Przynajmniej wykorzystałam najlepsze lata. W jakimś ogólnym rozrachunku wydaje mi się, że wyszłam na zero. A może nawet na lekki plus. Chcę zapamiętać tę myśl i umieścić ją w liście do córki. Ona też była tą wartością dodaną, choć w żaden sposób jej tego nie pokazałam. Prawdziwą matczyną miłość czułam tylko kilka razy, lecz przecież to również ma znaczenie. Nie mogę zmienić tego, jaka jestem.

– Wykąpałabym się w maderze – szepczę. – Proszę kazać przygotować mi kąpiel.

– Pani Koch...

– Choć może najpierw pójdę do stajni. Bucefał dziś był pełen energii.

– Proszę się uspokoić, jest pani w biurze prokuratora. Takie zachowanie w niczym pani nie pomoże i...

– Zamknij się, bo każę cię wychłostać!

Zrywam się z miejsca, choć natychmiast chwytają mnie silne ręce policjantów. Krępują mnie, po czym momentalnie wyprowadzają na korytarz. Udaje mi się jeszcze uchwycić zatroskane spojrzenie adwokata. Czy znaliśmy się wcześniej? Nie sądzę. A jednak ten człowiek jest tak samo nadgorliwy, jak ja.

Zaczynam się śmiać. Nie mogę powstrzymać spazmatycznego płaczu mieszającego się z chichotem. Znowu to samo. Czy piekło polega na nieustannym przeżywaniu *déjà vu*? Czy w tym *déjà vu* zamieniamy się tylko rolami z innymi ludźmi?

*Ilse Koch po raz kolejny usiłowała odgrywać chorobę psychiczną, jednak śledczy ponownie jej nie uwierzyli. 15 stycznia 1951 roku została skazana przez sąd w Augsburgu na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Rozpoczęła się jej ostatnia batalia.*



**79.**

**16 LAT PÓŹNIEJ**

**WIĘZIENIE W AICHACH, 2 WRZEŚNIA 1967 R.**

Dwadzieścia osiem pism z prośbą o przedterminowe zwolnienie, kilkanaście odwołań oraz apeli do sumień ludzkich, odezwa do samego papieża i kilku prezydentów. Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby wyjść na wolność. Wykorzystałam wszelkie środki i możliwości. Walczyłam tak długo, jak mogłam. Część moich krzyków pozostała bez odzewu, na część przyszły lakoniczne odpowiedzi odmowne. Z czasem zapominano, kim byłam, a tylko nieliczni strażnicy wskazywali na mnie palcami, rozsiewając kolejne anegdoty lub plotki. Szeptano, lecz już nie z takim zainteresowaniem jak dawniej. Świat się zmieniał, choć bez mojego udziału. Nie doszło do wojny zachodu ze wschodem, a Niemcy nadal były podzielone. Stanowiłam jedynie element przeszłości, który nigdy nikomu nie będzie już potrzebny. Folklor z wioski, która nie wiecieć kiedy stała się skansenem.

Każdy dzień mija tak samo. Monotonia potrafi przyprawiać o mdłości i szaleństwo. Pamięć zaciera się, a wraz z nią twarze przyjaciół oraz kochanków. Czasem staram się sobie przypomnieć, ile wieżyczek strażniczych otaczało obóz, lecz okazuje się, że rozmywają mi się nie tylko one, ale nawet zarys naszej willi. Jak wyglądał jej salon? Wreszcie, jak wyglądały stajnie i zoo? Co się stało z niedźwiedziem? W chwili, gdy nie można opierać się na przeszłości, wszystko przestaje mieć sens. Nie pozostaje w nas już żadne zwycięstwo. Zacierają się nawet obrazy mandali, latarni morskiej i statku. Czy tatuażysta wiedział, skąd ten statek

wypląnął i dokąd zmierzał? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, a co gorsza, ta myśl sprawia, że staję się smutna.

Poprawiam perkalowy szal wypleciony w jakiejś francuskiej mieścinie pod Reims. Nie pamiętam, od kogo to prezent. Przeciagam dłonią po delikatnym, ciasnym splocie, co zawsze sprawia mi przyjemność. Przynajmniej w wyobraźni mogę uciec z tej ciasnej, ciemnej celi i wybrać się w podróż w miejsca, których i tak nigdy nie odwiedziłam. Snułam rozmaite plany... Może Ameryka Południowa nie byłaby taka zła?

Siadam do drewnianego, maleńkiego stolika i czytam ostatnie napisane przez siebie zdania. Nie są ani piękne, ani wymowne. Nigdy nie potrafiłam jasno formułować myśli, lecz starałam się przynajmniej być możliwie wyrazista. Czas odebrał mi nawet tę umiejętność. Czas sprawił, że jestem przeciętna, zwyczajna i nijaka, jak wszystkie kobiety tego świata.

Staram się sobie przypomnieć zapach francuskich perfum oraz smak raków przywożonych dla Karła z Normandii. W zamian w gardle osiada mi cuchnąca stęchlizną wilgoć.

Ile jeszcze odmów mogę uzyskać? Do kiedy powinnam próbować? Mam sześćdziesiąt jeden lat, skończę je dokładnie za trzy tygodnie, więc ile mi pozostało? Piętnaście, może dwadzieścia... Nie wiem, czy uzyskanie wolności tylko po to, by dogorywać na niej jako niedołączona staruszka, ma sens.

„Poczytaj mi”.

Dużo łatwiej byłoby, gdybym mogła kogokolwiek o to poprosić. Wybór lektury nie miałby żadnego znaczenia, nie przeszkadzałoby mi nawet Pismo Święte. Księga Koheleta.

„Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd, wszystko, choć ukryte: czy dobre było, czy złe”[\[3\]](#). Te słowa napawają mnie jednak nieprzyjemnym uczuciem. Dość mam już sądów

i trybunałów. Bóg mógłby mnie sądzić wtedy, gdyby wcześniej nie osądzali mnie ludzie. W przeciwnym razie wszystko staje się wleczoną ku wieczności ironią. Piekłem samej koncepcji.

Chwytam pióro i próbuję napisać kolejne zdanie. Nie myślę już o Giseli, lecz o synu. Uwe... Jego twarz pamiętam najlepiej, choć zdaje się, że to twarz Karla. Chcę wezwać strażnika, lecz okrzyk zamiera mi w gardle. I tak nie spełni mojej ostatniej prośby, więc po co miałabym się przed nim korzyć. Wiedźma z Buchenwaldu już nie potrafi rzucać uroków.

Uśmiecham się ponuro, sama do siebie i przegładam dłonią leżącą przede mną kartkę. Wreszcie do głowy przychodzi mi właściwe ostatnie zdanie. Nie. Nie może przekazać go strażnik, nie może zostać wypowiedziane, gdyż tak, jak znaczna część mojego życia, ono również zamieniłoby się w plotkę. Spisuję je bardzo powoli, starannie kreśląc litery. Nagle każdy ogonek, każda kropka i zawijas nabierają dodatkowego sensu.

Dmucham, by atrament się nie rozmazał. Wstaję od stolika i po krześle wchodzę na jego blat. Wszystko jest już od dawna gotowe. Jeszcze raz dotykam perkalowego szalu, który jest moim ostatnim, wyraźnym wspomnieniem. Delikatnym kopnięciem przewracam stolik. W tym samym momencie powietrze przecina gwizd, głośniejszy niż kiedykolwiek słyszałam. Staje się jasne, że wieczność to nie „nigdy”, lecz „zawsze”. I że w „zawsze” nigdy nie panuje cisza.

—= FADE TO BLACK =—

[3] Biblia Tysiąclecia, Koh 12,13-14.





Ilse Koch powiesiła się na prześcieradle w celi więzienia w Aichach 2 września 1967 roku. List pożegnalny skierowała do syna Uwego. Jego jedyne zdanie brzmiało: „Nie mogę postąpić inaczej. Śmierć jest dla mnie jedynym wybawieniem”. Ciało Wiedźmy z Buchenwaldu spoczęło w bezimiennym grobie na terenie cmentarza w Aichach.

Otto Barnewald został osądzony w procesie załogi Buchenwaldu i skazany na karę śmierci. W wyniku rewizji wyrok zmieniono na dożywotnie pozbawienie wolności. W 1956 roku opuścił więzienie w Landsbergu. Zmarł 14 marca 1973 roku.

Hermann Hackmann został ujęty i stanął przed Trybunałem Wojskowym w Dachau. Skazano go na karę śmierci przez powieszenie, zamienioną następnie na dożywocie. W 1955 roku zwolniono go z więzienia. W 1976 roku został ponownie aresztowany i stanął przed sądem w procesie załogi Majdanka. Skazano go na 10 lat pozbawienia wolności. Zmarł 20 sierpnia 1994 roku.

Waldemar Hoven został ujęty przez Amerykanów i osądzony przed Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Za zbrodnie wojenne oraz przeciw ludzkości został skazany w 1947 roku na karę śmierci. Wyrok przez powieszenie wykonano 2 czerwca 1948 roku w więzieniu w Landsbergu.

Konrad Morgen został ujęty i postawiony w stan oskarżenia, a ostatecznie oczyszczony z wszelkich zarzutów przez trybunał w Norymberdze. Wskazywano, że jako sędzia śledczy SS mógł działać na szkodę zbrodniczego systemu, starając się hamować zapędy niektórych komendantów obozów.

Hans Müller w ostatnich dniach wojny ewakuował się z obozu Buchenwald. Jego dalsze losy są nieznane.

Hermann Pister został ujęty przez Amerykanów po dwóch miesiącach ukrywania się. Stanął przed Trybunałem Wojskowym w Dachau. Skazano go na karę śmierci przez powieszenie. Zmarł na zawał serca 28 września 1948 roku.

Erich Wagner został ujęty przez Amerykanów, lecz w 1948 roku udało mu się zbiec z więzienia. Pod koniec lat pięćdziesiątych powrócił do praktyki lekarskiej. W 1958 roku aresztowano go ponownie i oskarżono o zbrodnie popełnione w Buchenwaldzie. 22 marca 1959 roku popełnił samobójstwo w więzieniu Oberkirch.

Jozjasz, książę Waldecku-Pyrmontu, został aresztowany i oskarżony przed wojskowym trybunałem o sprawowanie władzy zwierzchniej nad obozem Buchenwald. Skazano go na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Ze względu na zły stan zdrowia zwolniono go 1 grudnia 1950 roku. Zmarł 30 listopada 1967 roku.

Przez KL Buchenwald przeszło ponad ćwierć miliona więźniów. Zginęło blisko sześćdziesiąt tysięcy z nich. Po wojnie Buchenwald

znalazł się w sowieckiej strefie wpływów, a do obozu trafili żołnierze niemieccy oraz członkowie organizacji antykomunistycznych. Część z nich zginęła w egzekucjach przeprowadzonych przez NKWD i została pochowana w lesie nieopodal dawnych koszar SS. Historia zatoczyła małe koło.



## POSŁOWIE

Zdaje się, że sprawiedliwości stało się zadość. Że sprawcy zbrodni zostali osądzeni i ponieśli karę. To wniosek, który nasuwa się przy lekturze sentencji wyroków procesów norymberskiego oraz kadry obozu KL Buchenwald. Jednak mnie nachodzi inna konstatacja. Otóż ludzie ci przeżyli w najlepszy sposób (z ich perspektywy) wiele lat swojego życia. W ogólnym rozrachunku, podobnie jak Ilse Koch, mogli być zadowoleni. Wyszli na zero lub nawet niewielki plus. Być może dlatego ostatnie słowa niektórych z nich brzmiały „*Heil Hitler*”, a tylko nieliczni okazali skruchę.

Zupełnie odmienną kwestią jest rozważanie nieludzkości pewnych zachowań człowieka. Czy w ogóle można mówić w kontrze – o jakiegokolwiek średniej, o owej „ludzkości”? Może człowiek jest tak samo zdolny do czynienia zła, co dobra? Może dobro jest jedynie bytem idealnym, obwarowanym hamulcami moralnymi, społecznymi czy religijnymi?

Pewne jest, że Ilse Koch dokonała okrutnych czynów. Liczne dokumentacje fotograficzne obrazują wyroby z ludzkiej skóry odnalezione w willi Kochów, świadectwa ocalałych wspominają o jej konnych rajdach, o szczuciu więźniów psami, o obnażaniu się, wymierzaniu chłosty, można wymieniać naprawdę długo. By prawdzie stała się zadość, nadmienić należy, iż w procesie buchenwaldzkim nie została uznana za winną bezpośredniego zlecenia wykonywania wyrobów z ludzkiej skóry. Jej wina w tym przedmiocie nie została dostatecznie udowodniona, a ogrom innych zbrodni i niechybny wyrok co najmniej dożywotniego pozbawienia wolności pozbawił śledczych determinacji. Być może

zabrakło też odpowiednich świadków, gdyż większość z nich nie żyła. Podkreślić należy solidarność, jaką kierowali się byli SS-mani, odmawiając odpowiedzi na pytania, które mogłyby pograżyć innych członków organizacji. Robili to nawet ci, którzy wydawali się prywatnie skłóceni. Za niepodważalne uznano jednak, iż Ilse Koch osobiście wskazywała więźniów, którzy mieli na ciałach nietypowe tatuaże. W jakim celu? Trybunał nie postawił kropki nad i.

Co ciekawe, jedynym wyjątkiem był wzmiankowany już Konrad Morgen, sędzia śledczy SS, który po wojnie zgodził się zeznawać na niekorzyść dawnych członków zbrodniczej organizacji. Kurt Titz, więzień często wykonujący prace bezpośrednio dla Wiedźmy z Buchenwaldu, nie wahał się opowiedzieć o wymyślnych przedmiotach z domu Kochów. Inny więzień, Kurt Froboess, zeznał: „Kopaliśmy rowy. [Koch] Miała na sobie krótką spódniczkę, a stała okrakiem po obu stronach rowu. Nie miała majtek. Zapytała więźniów, na co patrzą, po czym zaczęła ich bić”, dodał też, że w willi widział rozmaite przedmioty z ludzkiej skóry. Karl Sitte, Niemiec pracujący w obozowej pracowni patologii, przyznał, że napisy z lampy Ilse Koch widział na ciele jednego z więźniów. Podobnych świadectw było więcej, lecz nie ma sensu ich przytaczać, gdyż składają się na całą opowiedzianą powyżej historię.

Na zakończenie chciałbym poruszyć kwestie, które frapowały mnie niemal przez cały czas spisywania tej powieści. Jakie zdarzenie sprawiło, że wrażliwa dziewczyna, urocza córka przeciętnego robotnika, stała się wyrafinowaną sadystką? Czy szereg czynników mógł uwolnić tkwiący w niej od zawsze gen zła? Czy taki gen zła tkwi w nas wszystkich, lecz wspomniane mechanizmy hamulcowe większości ludzi są bardziej sprawne? Po

raz kolejny stawiam te pytania i nie znajduję odpowiedzi. Jednak świadomość ich obecności obrzydza mi wydźwięk terencjańskiego „nic co ludzkie, nie jest mi obce”. Wiedźmy przecież też są jedynie ludźmi.

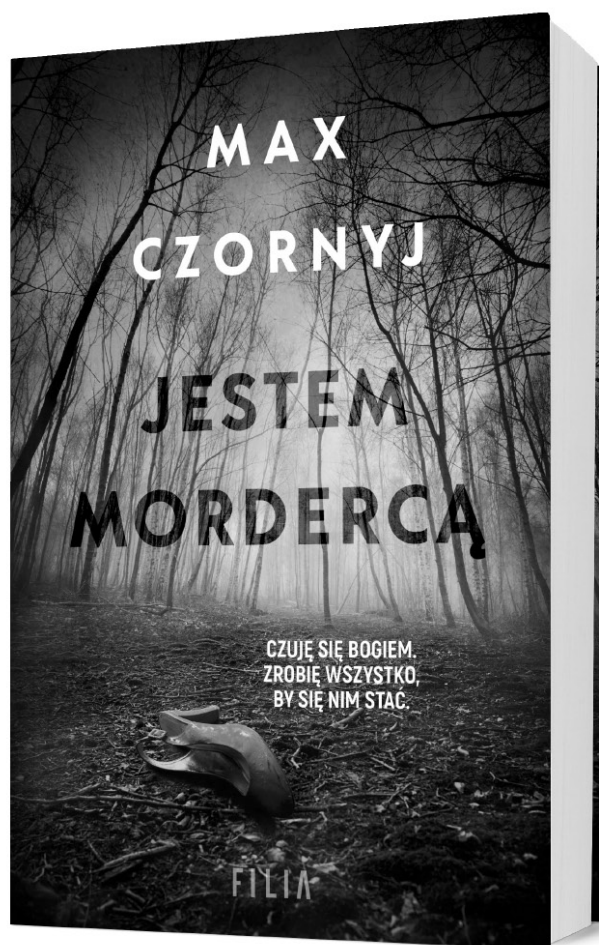
Ukłony

Max Czornyj





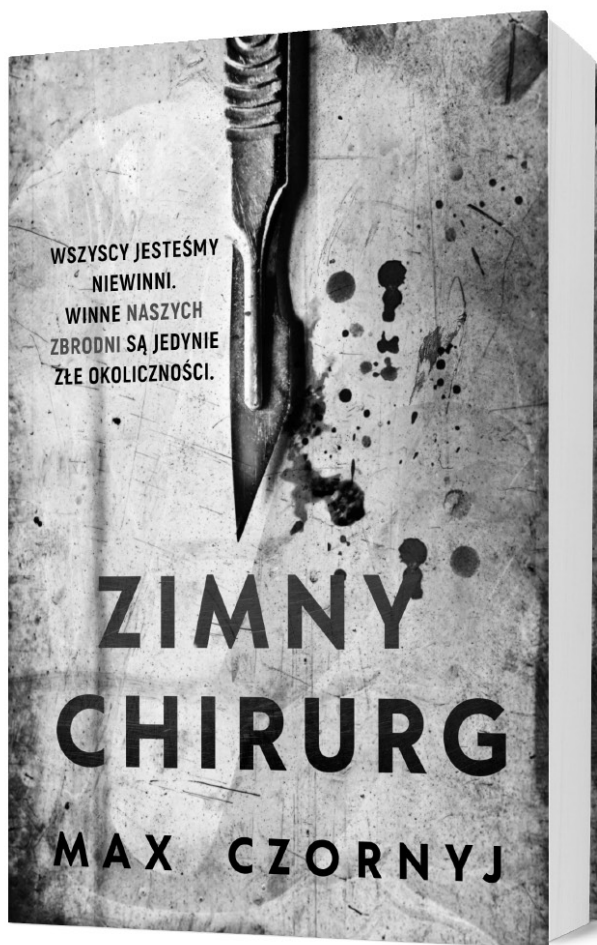
Prawdziwa historia jednego z najbardziej bestialskich seryjnych morderców świata. Dewianta, który zdrwił z biegłych psychiatrów i wymiarów sprawiedliwości kilku państw. Uwodzicielskiego psychopaty, ulubieńca mediów oraz elit towarzyskich.



**FILIA**  
NA FAKTACH



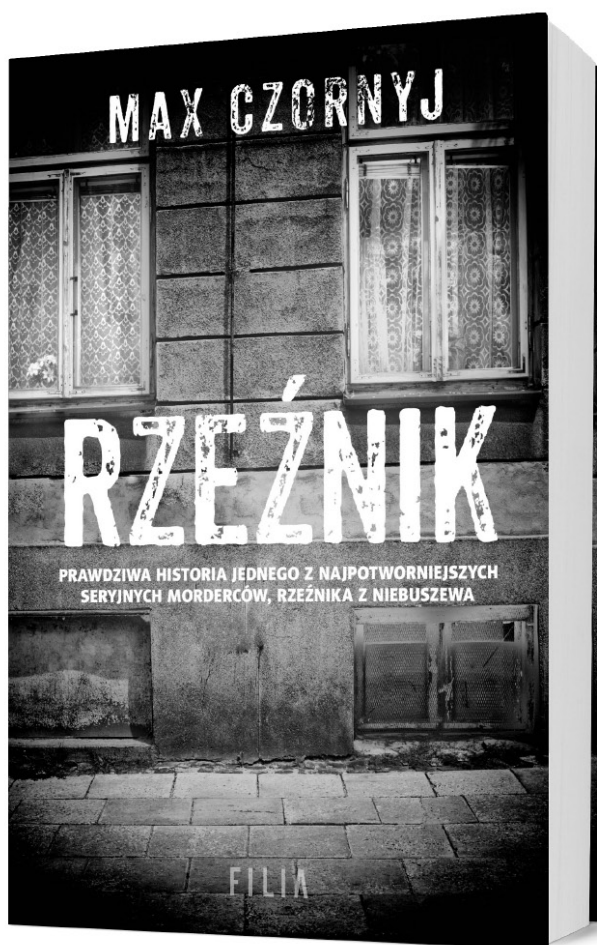
Prawdziwa historia najbardziej makabrycznego seryjnego mordercy. Psychopaty, który trafił do podręczników kryminalistyki na całym świecie.



**FILIA**  
**NA FAKTACH**

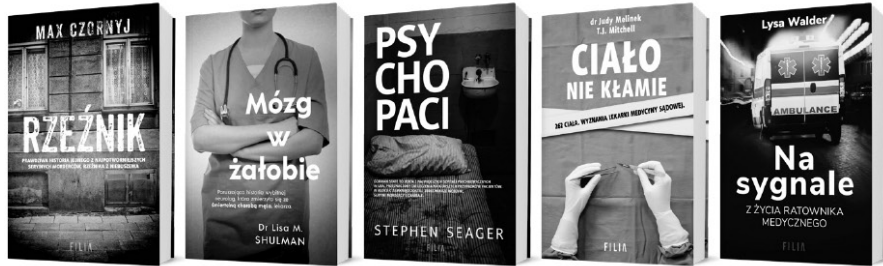


Powieść inspirowana prawdziwą historią seryjnego mordercy Józefa Cypka, Rzeźnika z Niebuszewa.



**FILIA**  
NA FAKTACH





**FILIA**  
**NA FAKTACH**





## **SPIS TREŚCI**

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytaty](#)

[\\* \\* \\*](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

66.

67.

68.

69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

76.

77.

78.

79.

\* \* \*

POSŁOWIE

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Reklama 4

Copyright © by Max Czornyj, 2021  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcia na okładce: © Asher Legg/Unsplash;  
© Jamey Meirndorf/Unsplash

Redakcja: Marta Akuszevska  
Korekta: Monika Ślusarska  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-693-2

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

**Seria: FILIA NA FAKTACH**